

19540

WALTER SAVAGE LANDOR

**DYALOGI
FIKCYJNE**

Z ROZPRAWĄ R. W. EMERSONA.

PRZEŁOŻYŁA I WSTĘPEM POPRZEDZIŁA
MARYA RAKOWSKA.

WALTER SAVAGE LANDOR



Symposion XIV. Walter Savage Landor.

<http://rcin.org.pl/ifis>



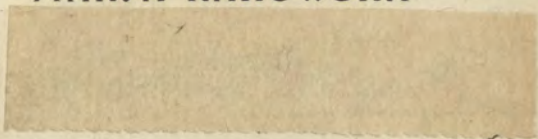
WALTER SAVAGE LANDOR

DYALOGI
FIKCYJNE

19540

Z ROZPRAWĄ W. E. EMERSONA.

PRZEŁOŻYŁA I WSTĘPEM POPRZEDZIŁA
MARYA RAKOWSKA



LWÓW 1911.

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ B. POŁONIECKIEGO
WARSZAWA — E. WENDE I SKA (T. HIŻ I A. TURKUŁ)



19540

H-122639

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“ WE LWOWIE.

ж.
30.5.59

№ 3695
<http://cin.org.pl/ifis>

WALTER SAVAGE LANDOR.

(1775—1864).

Urodzony w zaraniu wielkiego okresu romantycznego i wstąpiwszy na widownię twórczą współcześnie z inicjatorami rozpoczynającego się ruchu odnowczego — Landor nierównie mniej znany jest od nich szerszym sferom czytelniczym, zarówno w Anglii, jak na kontynencie. Wypełnił jednak siedmdziesiąt prawie lat długiego żywota produkcją literacką, nie słabnącą w sile ekspresyi ani głębi myśli do późnego bardzo wieku. U schyłku już istnienia napisał jeden z najdoskonalszych swych dyalogów, w którego tonie i nastroju Carlyle słyszy „szczęk oręża żołnierza rzymskiego, godzącego w hełmy barbarzyńców“. Pierwszy jego poemat *Gebir* ukazuje się w tymże roku (1798), co epokowe *Lyrical Ballads* Wordswortha i Coleridgea, ostatnie utwory zjawily się w dobie, gdy Tennyson piastuje zwierzchnie władztwo w dziedzinie poezyi, a Browning dał niektóre z dzieł swych najznakomitszych. Był świadkiem tryumfów Byrona, pośmiertnej glori Shelleya i cennionego przez się nadewszystko Keatsa. Patrzył na trzy pokolenia poetów, przekazujące sobie kolejno spuściznę romantyczną, stojąc sam poza wspólną im

linią rozwojową, a raczej przejawiając niektóre tylko z cech kierunku, posiadającego tak wiele pierwiastków, tkwiących organicznie w psychice nacyi.

Istotnie, gatunek jego umysłowości i natura wpływów, którym ulegał najsilniej, czynią go w literaturze ojczystej zjawiskiem wyosobnionem. Jak Milton, w którym czcił jednako wielkiego poetę i wielkiego republikanina, zajmuje samotne zgoła stanowisko na olimpijskich wyżynach, kędy wkroczył wraz z najszlachetniejszymi twórcami wszechliteratury i będąc, podobnie piewcy R a j u u t r a c o n e g o, typowym wyobrazicielem pewnych właściwości ducha narodowego, odbiega w zupełności pod innymi względami od wspólnego prądu. Dzieło jego lat dojrzałych zwłaszcza, powstające stopniowo w okresie całkowitego skryształizowania talentu, głośne D y a l o g i f i k c y j n e, które zdobyły mu dziś sławę wszechświatową, wyodrębniają się na tle ogólnego dobytku angielskiego piśmiennictwa odrębnym na wskrós konturem.

Dążności literackie epoki skierowywały ją ku dobie elżbietańskiej i wcześniejszym okresom produkcji narodowej, z których skarbnicy czerpała odżywcze pierwiastki twórcze. Landor zwraca się, jak inni, ku dobytкови przeszłości, darząc w nim najżywszem uwielbieniem geniusz Szekspira, Milтона i Bacona, u których, poza wyobraźnią, znajduje „substancję“, nadającą w jego oczach każdemu dziełu najistotniejsze jego wartości. Jest bowiem zdecydowanym prze-

ciwnikiem czystej imaginatywności, zbyt bezcielesnej dla jego konkretnego umysłu, tak, jak nie uznaje żadnej z form mistycyzmu. W starożytności greckiej i rzymskiej, którą pogłębia z nierównie większym zapałem niż literaturę nowożytną, darzyć będzie szczególnem uznaniem filozofów najwięcej pozbawionych subtelności metafizycznych — Epikura, Epikteta, Dyogenesa, Cycerona. Wystarczy przeczytać dialogi, w których rozwijają przed nami swe teorie, zbijając przeciwnika i zmuszając go do cofnięcia się ze swych pozycji, by odczuć bliską jego z nimi spójność.

Nikt ze współczesnych mu nie posiadał niewątpliwie równie rozległej jak on kultury humanistycznej. I to właśnie ściśle i ciągle obcowanie z arcydziełami literatury klasycznej, urabiające w pewnej mierze kształty jego myśli, podyktowało mu także jej wyraz słowny. Już w dobytku poetyckim uderza, wraz z niepospolitą nieraz czystością formy, jej zwartość i siła. Ale dopiero w prozie *DIALOGÓW* fikcyjnych, które poczyna pisać od r. 1821, podczas pobytu swego we Florencji, ujawniają się w pełni dominujące wpływy arcy mistrzów starożytności, stwarzając język jedyny w swym rodzaju w literaturze angielskiej. Zwięzła i ogołocona z ozdób, pełna jednak mimo to i szlachetna zarazem, jasna i dobitna, wskrzesza przejrzyste piękno, spokój i prostotę formy antycznej, a uderza tem więcej, że Landor zamyka w nią treść romantyczną — potężną wybujałość

swego temperamentu, niepohamowaną fugę bojową i impet rewolucyjny. Emerson, który zalicza jego dyalogi do rzędu wybranych swych lektur, dostarczających duchowi nieprzebranego karmu i który przybył, jak wiadomo, specjalnie do Europy w r. 1833, w celu poznania kilku najwybitniejszych pisarzy ówczesnych, a Landora w ich rzędzie, streszcza w taki sposób swą o nim opinię, po wizycie, złożonej mu w willi jego w Fiesole: „Umysł zdumiewający, gwałtowny, niewyczerpany — umysł żołnierza, którego przypadek rzucił na arenę piśmiennictwa, trawiony charakteryzującą Anglika potrzebą akcji i heroizmu“. Wtłoczenie treści tego umysłu i jego porywów w kadry prozy klasycznej, dało najciekawsze i najoryginalniejsze dzieło Landora. Dodać wszelako należy, że przyoblecenie swych przemyśleń i odczuć w formę literacką nie wystarczało na zaspokojenie głodu akcji, nurtującego istotnie poetę. Prowadził on go w życiu do takich faktów, jak uzbrojenie i wystawienie własnym kosztem oddziału żołnierzy ku pójściu z pomocą Hiszpanii, podczas wojen Napoleońskich w r. 1808. W trybie bytu codziennego wyładowywała się, niestety, owa energia w sposób mniej interesujący, przykry aż nazbyt często dla otoczenia, dotkliwy w następstwach dla samego Landora. Wybuchowość jego, zaczepność i wyłączność wplątywały go w nieustanne zatargi i niezliczone procesy — co więcej, zmusiły wprost do spędzenia połowy życia poza krajem. Lecz wszystkie

przywary i ułomności, związane z naturą namiętną a bezwzględną, a komplikujące w sposób wysoce niepożądany jego istnienie i stwarzające mu całe zastępy nieprzyjaciół, — nie powinny i nie mogą przyćmiewać i przesłaniać wysokich cech jego ducha, które zjednywały mu niemniej gorących zwolenników, jak wspaniałe urzeczywistnienia jego talentu — a więc nieposzlakowanej prawości charakteru, wielkiego umiłowania wolności i niemilknącego nigdy protestu przeciw wszelkiemu ciemństwu.

Dzieło, które wprowadza nas w naistotniejszą treść jego ducha i objawia w pełni najcenniejsze zasoby jego indywidualności literackiej, wraz z głębią i rozległością jego kultury, składa się ze stu dwudziestu pięciu dyalogów, napisanych w okresie lat trzydziestu mniej więcej, poczynając, jak zaznaczone było wyżej, od r. 1821. Landor, którego dłuższe utwory, jak np. *Count Julian*, tragedia, natchniona wspomnieniami wyprawy do Hiszpanii, szwankują brakiem zmysłu dramatycznego, wykazał niejednokrotnie w tych dyalogach wysokie jego poczucie i niepoślednią umiejętność doprowadzania momentów wzruszeniowych do najbardziej intensywnego ich napięcia. Browning, z którym łączyły go węzły serdecznej przyjaźni i wzajemnego uznania, nazywa go „wielkim poetą dramatycznym”. Colvin, najlepszy skądinąd z jego biografów, idzie dalej i jeszcze, oświadczając, że Szekspir jedynie i zaledwie góruje nad nim w kreśleniu typów kobiecych, zdu-

miewających różnorodnością i znakomitą uwypukleniem zasadniczych linii postaci. Niepodobna zgodzić się bez zastrzeżeń na jedną ni drugą ocenę. Siła dramatyczna, stwarzająca konflikty duchowe i umiejająca koncentrować energię, gwoli wydobycia najwyższej emocji, występuje przeważnie w dialogach krótkich, będących nieraz skończonymi arcydziełami w swym doskonałym zespoleniu krzepkiej zwartości formy i wytężonej mocy zderzenia. Jest to wszelako zawsze dramat statyczny, a nie dynamiczny. Nie widzimy rozwoju akcji, powolnego wypełniania instynktów, kiełkowania i wykwitnięcia uczuć, burzenia się namiętności, Landor stawia nas zazwyczaj wobec pewnych stanów psychicznych i moralnych w samej chwili ich starcia. W dłuższych dialogach pierwiastek dramatyczny występuje w znacznie słabszym stopniu; mają one przeważnie charakter argumentacyjny i refleksyjny i interesują nade wszystko bogatą substancją myślową, jaką włożył w nie pisarz, przemawiający sam z poza maski Epikura, Diogenesa, Cyserona, Epikteta, nieraz zaś jak np. w dialogu p. t. *Alfieri i Salomon, żyd florentyński*, kładący swe myśli w usta obu stron dyskutujących. Nie trudno poznać głos jego i wyróżnić potężne jego akcenty. Te to zresztą postaci, w które wlewa znamienne elementy własnej indywidualności, zespalając się z nimi ściśle, pulsują najprawdziwszym życiem, są tworamami z krwi i ciała. W innych jego kreacjach nie znajdujemy

najczęściej tej organicznej istności, mimo całe ich piękno, ich poezję czy wspaniałość, ich patos, czy grozę.

Zarzut ten stosuje się między innymi, w znacznej mierze do kobiecych bohaterek Landora wynoszonych tak wysoko przez Colvina. W obfitej nader ich galerii sąsiadują najgłośniejsze imiona niewieście historii i literatury, światłe promieniowanie czystości, miłość, ekstaza, heroizm, przepojona cynizmem ambicya, wyzuta ze wszelkich skrupułów przewrotność, kaprys i słabość. Słodka Godiwa, prosząca męża o politowanie dla jego ciężko doświadczonych głodem wassali, Leonora d'Este, wsłuchana w przysięgi Tassa i Beatrycza, Anna Boleyn, wysoce bezprzecznie ciekawa i oryginalna w ujęciu, Joanna Grey, królowa dni kilku, o tragicznym przeznaczeniu, Elżbieta Gaunt, tak wielka duchem, nie słabnąca na chwilę nawet w obliczu strasznej śmierci, Joanna d'Arc i Agnieszka Sorel, cesarzowa Katarzyna i przyjaciółka jej i powiernica księżna Daszkow, Leontion i Ternissa, dyskutujące z mistrzem swym Epikurem, tyle innych sylwet kobiecych jeszcze przesuwają się przed nami w długim korowodzie. Ale postaciom tym brak przeważnie rzeczywistego zróżnicowania. Landor nie sięga czujną analizą w głąb ich duszy i nie szuka wewnętrznych dróg myśli i pobudek czynu — wydobywa sytuacje raczej, niż charakter, wstrząsając czy przejmując siłą ich napięcia.

Obcowanie z nim nie może dać powierzchownemu czytelnikowi pożądaných przezeń wrażeń i nie jest mu zresztą zgoła dostępne, wymagając skupienia

intellektu i rozległej już jego kultury. Najwięcej przekonani jego zwolennicy nie mogą zaprzeczyć skądinąd, że prowadzi ich nieraz do celu nazbyt długą drogą, że, zupełnie niepotrzebnie czasem odbiega od przedmiotu, dążąc śladem refleksyi, pociągających go nieprzeparcie, lecz związanych z tym przedmiotem w sposób nader uboczny. Sama jego proza, język „z marmuru i kryształu“, jak nazwał go Sarrazin, traci nieraz swą przejrzystość wskutek nadmiernego skoncentrowania wysiłku ku uplastycznieniu rozważań. Nie uznając, z drugiej strony, zgoła naszej domyślności, ironia podkreśla swe intencje grubymi rysy; sztuka półtonów i półcieni równie mało właściwa jest Landorowi, jak subtelna giętkość geniuszu francuskiego. Ale wielkość jego, urobiona z innych pierwiastków, niemniej jest niezawodna i ujarzmiająca. Uczyniwszy wszelkie zastrzeżenia i zaznaczywszy granice, w których najwyższe i najszlachetniejsze cechy jego talentu dosięgają najdoskonalszych również swych realizacyi — niepodobna nie przyznać, iż cały ten dobytek tryska zrojem piękna artystycznego i ideowego. Potężne sentencye, wspańnięta iście strony, obrazy, zdumiewające prawdą i głębią — wykazują na każdym kroku przebogate zasoby myśli, jej krzepkość i bujną żywotność, heroiczny rozmach temperamentu i gorejący w nim niewygasłym ogniem bunt przeciw wszelkiej opresyi. Dzieło, ukształtowane z tak cennych substancyi, stać będzie zawsze ponad zmiennością czasu.

M. RAKOWSKA.

Epiktet i Seneka.

SENEKA. Prosiłem pana twego Epafrodyta o przysłanie cię tu, pociąga mię bowiem, com słyszał odeń o twem postępowaniu, z drugiej zaś strony interesują mnie żywo twe teorye.

EPIKTET. Obawiam się wobec tego, mój przyjacielu...

SENEKA. Mój przyjacielu! Któż używa podobnych wyrażeń! Lecz mniejsza o to. Filozof winien znosić wszystko mężnie. Ogół spodziewa się po nim takiej postawy.

EPIKTET. Czyż filozofowie są nimi dla ogółu tylko i czyż, miast pouczać go, mają wykonywać przed nim kuglarskie sztuki? Przekładam nad to zaiste powagę psów tańczących. Poruszają się dla tłumu i pod naporem lęku, jaki budzi w nich ich pan i władca, mają posłuszne ślepia i obwisłe łapy. Ale są tylko psami i nie stoją niżej swych przeznaczeń.

SENEKA. Epiktecie, dam ci trzy talenty, jeśli zgodzisz się ustąpić mi tę myśl na własność.

EPIKTET. Dałbym ci ich sam dwadzieścia, gdybym je posiadał, abys przyswoił ją sobie.

SENEKA. Czyli ubrał ją w powab mego słowa. To zapewne chciałeś powiedzieć?

EPIKTET. Bynajmniej. Pragnąłbym, ażebyś zastosował ją do swych czynów. A teraz pozwól, że pocieszę cię i pokrzepię w ciężkiem utrapieniu, jakiego doznałeś, słysząc z ust mych słowa: mój przyjacielu. Czemu posłałeś po mnie, nie będąc mi przyjacielem? Nie mogę mieć wrogów: jestem niewolnikiem. Fortuna skończyła ze mną wszelkie porachunki.

SENEKA. Rozsnuwaj, proszę cię, dalej refleksye, z któremi miałeś wystąpić w chwili, gdy ci przerażałem. Co zamierzałeś powiedzieć?

EPIKTET. To, co wypowiedzieć przeszkodziłeś mi właśnie.

SENEKA. A mianowicie?

EPIKTET. Chciałem zaznaczyć, że, skoro zainteresowały cię me pisma, musiałeś zauważyć w nich pewne uchylenie od tych prawd jasnych i prostych, jakie wskazali nam Zenon i Kleantes.

SENEKA. Wszyscy odbiegamy od nich poniekąd.

EPIKTET. Czy i w praktyce życiowej?

SENEKA. Niezawodnie, i w niej również.

EPIKTET. Zdarzali się to często?

SENEKA. Aż nazbyt.

EPIKTET. Dziwi mię to wielce. Ja bowiem, obserwując rzeczy uważnie, dostrzegłem to uchylenie u was, wielkich postaci Rzymu, na jednym tylko punkcie.

SENEKA. Ciekawym prawdziwie, co też masz namyśli?

EPIKTET. Krates, Zenon i Kleantes uczyli nas podporządkowywania pragnień naszych wyłącznie filozofii. Subtelni i przenikliwi mędracy tego grodu natomiast biorą nas na stronę, by zapewnić, że mamy przed sobą nie jedną a dwie drogi.

SENEKA. Dwie drogi, mówisz?

EPIKTET. I szepcą nam do ucha: te dwie drogi — to filozofia i używanie rozkoszy istnienia; człek rozważny wybierze łatwiejszą z nich, lub — nie mogąc jej znaleźć — pośrednią. Czerwienisz się!

SENEKA. Potworne zwyrodnienie.

EPIKTET. Jakie wspaniałe pierścienie! Zauważyłem je teraz dopiero, gdy wzniosłeś ręce ku niebu, pełen oburzenia wobec podobnego zgnuśnienia i podobnej bezczelności.

SENEKA. Moje stanowisko społeczne przykuwa mi je do palców; zmuszonym je nosić. Nasz władca dał mi jeden z nich, Epafrodytas drugi, Tigellinus trzeci. Nie mogę rozstać się z nimi na dzień jeden, by nie obrazić bogów i tych, których bogowie umiłowali najśluszej.

EPIKTET. Jakkolwiek, nosząc je, musisz rozstawiać palce, jak rozstawiają nam, niewolnikom ramiona i stopy, by przybić je do krzyża.

SENEKA. Mówisz rzeczy okropne; mógłbyś, zaiste, znaleźć inne porównanie.

EPIKTET. Powiem więc, że ręka twa przypomina zarys figowego liścia.

SENEKA. I to obrzydliwe.

EPIKTET. Łapę zdeptanej lub ukamienowanej ropuchy.

SENEKA. Potrzebneby ci były bardzo, Epiktecie, pewne wskazania z zakresu elokwencji i retoryki. Brak ci argumentów ogólnych. Obcemi ci są tropy i przenośnie.

EPIKTET. Uważam je za zbędne. Tam gdzie rozbrzęczy niemi mowa, żadna żona nie zdoła zrozumieć własnego męża.

SENEKA. Pozwól, byśmy rozważyli nieco bliżej kwestyę stylu. Chciałbym sprostować twe pojęcia i wykorzeńić z twego umysłu przesady, jakie zaszczerpiło w nim pierwotne dość wychowanie. Możemy upiększać prostotę największego nawet z mędrców.

EPIKTET. Mylisz się, Seneko, prostoty zdobić nie można. Ozdoba znajduje zastosowanie wobec rzeczy zbyt nagich i niedoskonałych; prostota zdobna jest sama w sobie. Możesz podawać za nią je liczmany, lecz jeśli posiadłeś istotnie ją samą, zachowasz ją czystą i niepogwałconą. Lecz nie dziw mi bynajmniej, że, nie umiając dojrzeć prawdy, nasz ród śmiertelny jeszcze mniej zdolny jest do nadania jej właściwego wyrazu.

SENEKA. Nie wypowiedziałeś dotąd swego poglądu na styl.

EPIKTET. Nigdy o nim nie myślę. Zastanawiam się przedewszystkiem, czy to, co mówię jest prawdzi-

wem i zadaję sobie następnie pytanie, czy mogę wyrazić swe spostrzeżenia w sposób ścisły, czyniący je równie jasnymi dla wszystkich, jak są dla mnie samego w świetle prawdy. Jeśli bowiem w mym sposobie przedstawienia ich uderzy tylko sprawność — nie wypełniłem wówczas swego obowiązku i nie osiągnąłem celu pragnień. Nie należę do rzędu tych, co płasają naokół wyobrażenia Prawdy, nie tyle, by ją uczcić, jak dla popisania się zwinnością.

SENEKA. Powinniśmy jednak dążyć do zwrócenia uwagi czytelnika przez nowość, siłę i wielkość ekspresyi.

EPIKTET. Zapewne. Lecz nic nie jest większe nad Prawdę, nic nad nią potężniejsze, nic bardziej od niej nowe.

SENEKA. Pięknie brzmiące sentencje budzą z letargu obojętności.

EPIKTET. Do czego budzą? Bo to jest rzeczą największej doniosłości. Jeśli mamy rozbudzać ludzi, gdy nie mogą nic dojrzeć ni zdziałać, pozostawmy ich raczej w spokoju. Czyżbyś przypuszczał też skądinąd, że ludzie ci nie zechcą patrzeć na tęczę, jeśli nie wezwie ich do tego huk gromu.

SENEKA. Nie chcę powiedzieć, Epiktecie, że zaniedbano twego wychowania, faktem jest wszelako, że wczesną twą młodość urabiały pierwotne narzędzia i nieudolne ręce.

EPIKTET. Ślę za to dzięki Bogu. Pierwotne narzę-

dzia pozwoliły łące korzystać swobodnie z promieni słońca, a nieudolne ręce wytrzebiły chwasty.

SENEKA. Tuszymy sobie i wierzymy, że natrafiliśmy na bogatą żyłę elokwencji, świetniejszej i więcej różnorodnej w przejawach, niż wszystko, co znanem było dotąd w tym kierunku.

EPIKTET. Niż elokwencya grecka nawet?

SENEKA. Żywimy tę nadzieję.

EPIKTET. I niż krasomówstwo waszego Cycerona?

SENEKA. Tak jest, o ile oczywiście twierdzić można coś podobnego, nie obrażając zasady skromności. Wątpię, byś wynosił i cenił wysoko te szlachetne popisy oratorskie?

EPIKTET. Nie zdolnym osądzić ich właściwie, nie będąc dzieckiem Italii. Szlachetny orator mniej zresztą nierównie waży dla mnie od szlachetnego filozofa. Żałuję, że posiadając włości i domostwa, Cycero nie umiał stać na uboczu i wstrzymać się od wylewania potoku wulgarnych obelg przeciw złodziejom, rzezimieszkom i wszelakim innym łotrom, gdy jednocześnie kłamał, pocił się i walił łbem o ścianę w obronie ludzi, zgoła nie lepszych od tamtych.

SENEKA. Senatorom potrzebni są poplecznicy; muszą więc roztaczać nad nimi opiekę.

EPIKTET. Zarówno nad winnymi jak niewinnymi?

SENEKA. Niewątpliwie.

EPIKTET. Jeśli przejmuję mię smutkiem to, co jest a mogłoby nie być, to więcej jeszcze ubolewam

nad tem, co jest i być musi. Niemniej jednak poczytać można bogaczowi za dobro i niepoślednią nawet zasługę, gdy w wolnych chwilach szuka w filozofii rozrywki choćby i zabawy. Niepodobna bowiem spodziewać się, by posłubił ją na dobre lub radził swemu synowi pojąć ją za nieodłączną towarzyszkę życia.

SENEKA. Jabym to uczynił.

EPIKTET. Tak, Seneko, cóż kiedy nie masz syna, któryby dokonał tych zaślubin. Nie wątpię też, że nie omieszkałbyś udzielić mu różnych ostrzeżeń, zanim małżeństwo zostałoby dokonaniem. Każdy pragnąłby widzieć syna filozofem, pokąd syn ten nie wyszedł z wieku młodzieńczego, każdy też, w miarę jak dorasta jego potomstwo, udowadnia mu skwapliwie, jak wielce niedogodną i niewystarczającą okazuje się filozofia w stosunkach życiowych. Głos ojcowski ostrzega wówczas: „Bacz, by się nie wyodrębnić. Doszedłeś wieku, gdy przyjdzie ci wybrać jakiś zawód. Idź śladem tych, którym powiodło się najlepiej“. I ciekaw jestem, czy między tymi ludźmi, bez względu na rodzaj ich zajęcia, zdołałbyś wskazać mi jednego choćby filozofa?

SENEKA, W obecnej chwili nie, zapewne, a po namyśle wątpię, by to było wogóle możebnem.

EPIKTET. Ty oczywiście możesz pędzić z filozofią żywot wygodny i przyjemny, posiadając, jako sly-szałem, dwa tysiące talentów.

SENEKA. I cośniebądź ponadto, dzięki wmuszającej we mnie dary hojności tego bogom podobnego młodzieńca, ucznia mego, Nerona.

EPIKTET. Pamiętaj, że wszędy, gdzie Bóg umieścił kopalnie, nagromadził tem samem materyały, mogące wywołać trzęsienie ziemi.

SENEKA. Prawdziwy filozof stoi ponad ciosami fortuny.

EPIKTET. Fałszywy filozof uważa się również za prawdziwego. Fortuna zaś nie dba zbyt o filozofów, pamięta natomiast, kędy umieściła bogaczy i śmieje się, patrząc na stojące u ich progu Przeznaczenie.

Leofryk i Godiwa.

GODIWA. Nędzza zapanowała tu wszędy, mój miły. Pamiętaj, że mieliśmy długie tygodnie posuchy, od której ucierpiały nawet pastwiska w głębokich dolinach Leicestershire'u; przypomnij sobie, od wielu tygodni rozbrzmiewały w świątyni jednakże wciąż modły o deszcz i wznosiły się do Pana na niebiosach jednakże wciąż wezwania, by odwrócił wspaniałomyślnie gniew swój od trzód wynędzniałych i osłabłych. Ilużto ludzi kazałeś sam uwięzić, mężu mój i panie, za pozostawianie zdechłego bydła na drogach publicznych. A iluż wieśniaków, którzy wraz ze swem potomstwem — synami i córkami, czasem też nawet ze starymi rodzicami — ciągnęli ku domostwu wóz, pozbawiony zaprzęgu, umykało pospiesznie na twój widok! I choć towarzyszył nam zastęp dzielnych żołnierzy, uzbrojonych w dzidy i tyluż sprawnych łuczników, nie było zgoła bezpiecznem mijać istoty, nad którymi pastwiły się, szarpiąc je, psy podwórzowe. Straszliwe ubóstwo ich panów wyгнаło je było z zagrody. Wiele innych jeszcze, pokąsanych i chromających, podnieconych bólem i znojnym

żarem lub walczących z głodem i siłą upadkiem, wypełniało powietrze ostrem a szybkim szczekaniem lub przeciągłym wyciem. I ani tymianek równin, ani gałęzie jedliny nie mogły rozprószyć, czy choćby tylko złagodzić, smrodliwej woni, unoszącej się w powietrzu.

LEOFRYK. A teraz lękasz się, ukochana, byśmy nie stali się pastwą zwierza, nim dotrzemy do murów grodu, lub też sądzisz może, że w sadach jego nie zakwitły róże na twe powitanie i że nie masz w nich ziół wonnych, by usłać ci z nich łoże.

GODIWA. Nie żywię bynajmniej, Leofryku, podobnych obaw. Wszak miesiąc ten jest róż miesiącem; spotykam je wszędy od błogosławionego dnia naszych zaślubin. I nie wiem czemu, wydaje mi się, że zarówno one, jak wszelakie zioła witają mię istotnie, ilekroć padnie na nie me wejrzenie, jak gdyby oczekiwały mię i znały. A nie mogą przecie wiedzieć, żem w nich rozmiłowana.

LEOFRYK. O ty moja światła, roześmiana niewinności! Ale powiedz mi, czego pragniesz właściwie? Nie przybyłem tu wprawdzie gwoli pogrążaniu się w modłach, gdybym jednak, czyniąc to, sprawił ci zadowolenie lub modlitwą mą zdołał oddalić posuchę — gotowym jechać wprost stąd przed ołtarz św. Michała i modlić się do samego ranka.

GODIWA. Zrobiłabym to samo, Leofryku, lecz Bóg odmówił posłuchu świętszym, niż moje, ustom. Ale może pan mój i mąż zechce mi go udzielić, gdy

prosić go będą o rzecz nierównie łatwiejszą do skutecznienia, o której stanowić może, jak Bóg o innych.

LEOFRYK. Co masz na myśli, Godiwo?

GODIWA. Nie chciałam, ukochany mój, przemawiać w obronie nieszczęsnych, którzy cię obrazili, po-
kąd nie opanowałeś był jeszcze swego gniewu.

LEOFRYK. Zali uważasz ich za nieszczęsnych jedynie?

GODIWA. Są nimi niewątpliwie, gdy obrazili cię tak srodze. Ach Leofryku, jakąż słodyczą tchnie powietrze! Jaką ciszę i pogodę niesie godzina wieczorna, jak wielki spokój objął niebo i ziemię! Czyżby nikt nie miał napawać się tem wszystkim, nawet my, mój miły! Oto słońce chyli się ku zachodowi. Nie pozwól, by zająć miało nad twym gniewem! Nie moje to słowa, czy utracą jednak moc swą i wagę dlatego tylko, że wyrzekłam je ja, niegodna!

LEOFRYK. Chciałażbyś, Godiwo, wstawiać się za buntownikami?

GODIWA. Jakżeto, mój panie? Więc ujęli za broń przeciw tobie? Nie wiedziałam tego zaiste!

LEOFRYK. Poniechali przysłania mi daniny, ustanowionej przez mych przodków, choć wiedzieli dobrze o naszych zaślubinach i festynach stąd wynikłych, o czekającym mię ekspensie, na który nie mogą starczyć dochody z moich ziem własnych w tej dobie niedostatku i posuchy.

GODIWA. Lecz jeśli mrą z głodu, jako mówili?

LEOFRYK. Mamże więc ja mrzeć również? Nie dośłci jeszcze, że tracę wasali?

GODIWA. Czy nie dość, pytasz? Zbyt wiele, o Boże, zbyt wiele! Obyś nie utracił był żadnego i nigdy. Obyś mógł dać im życie, wygodę, radość! Wieluż to z pośród nich całowało mię, gdym była dzieckiem i błogosławiło niemowlę w chwili chrztu jego! Leofryku, Leofryku! pierwszy starzec, którego spotkamy, wyda mi się jednym z tych ludzi i przywiedzie na myśl błogosławieństwa, jakie przywoływał na mą głowę i te — o Boże! jakie mu dziś niesiemy. Krwawić mi się będzie serce, pęknie mi serce, a on, biedny, zapłacze nad żoną okrutnego pana, który grozi mu zemstą i wprowadza śmierć pod dach jego domostwa.

LEOFRYK. Musimy wydać szereg uczt wspaniałych.

GODIWA. Musimy niewątpliwie.

LEOFRYK. Tedy więc?

GODIWA. Czyżbyś poczytał za cechy ich zgiełk i wrzawę, jakie towarzyszą uśmiercaniu niewinnych tworów Boga, — tłumy, cisnące się w komnatach, rzeź bydła, obłąkane śpiewy, zawrotne tańce i przedajne chwalby? Czy sądzisz, że pieśń minstrela powie ci więcej o twej wartości istotnej, niż głos własnego sumienia, że jego tchnienie uczyni spokojniejszym twój oddech w godzinach uśpienia? O ukochany, pozwól, by wszystko w stworzeniu stało się nam przedmiotem wesela, a bę-

dzie tak, jeśli tego sami zechcemy. Smutnym zaiste jest dzień, gdy śpiew ptaka w sadzie nie zdoła wstrząsnąć duszy naszej dreszczem radosnym, a dzień taki przywiezie dni smutniejsze jeszcze. Prawdziwy festyn, Leofryku, to uczucie, jakie sługa boży roznieca w sercach naszych. To niewymowna szczęśliwość i dziękczynienie, to przygarnięcie do łona sieroty i przymierającego głodem nędzarza, to pouczanie ich, by myśleli zawsze o tym, co zsyła na nas wszystkie dobrodziejstwa. Wydajmy tę ucztę, a nie zabraknie nam gości. Będzie trwała tygodnie, miesiące i lata, niosąc nam wciąż nową radość i wciąż większe bogactwo. Nektar, jakim zastawimy stoły biesiadne, słodszy jest nad wszystko, co dać mogą pszczoła, kwiat i krzew winny, bo spływa z nieba. Obficie też wynagrodzony nim będzie w niebie ten, co stanie się na ziemi hojnym jego rozdawcą.

LEOFRYK. Tknięta jesteś obłędem, Godiwo.

GODIWA. Przeistoczyło się coś we mnie, Leofryku. Jakaś Siła — wielka, dobra Siła stapia ciało, duszę i głos mój w tkliwość bezmierną i umiłowanie. O mężu mój, musimy jej być posłusznymi. Spójrz na mnie! Spójrz na mnie twemi dobrami oczyma, któreś spuścił teraz ku ziemi. Nie przestanę błagać cię ani na chwilę, nie mogę zaprzestać.

LEOFRYK. Pomyślmy o tem.

GODIWA. Nie mów tak! Gdy możesz świadczyć

dobro, będzieszli namyślał się, czy świadczyć je należy? Nie pozwól, by niemowlęta płakały z głodu Matka naszego Pana na niebiosach usłyszy ich skargę, nigdy zaś już, nigdy nie da posłuchu naszemu wezwaniu.

LEOFRYK. Oto nadjeżdża biskup, Godiwo. Już tylko mila odległości dzieli nas od grodu. Czemu zsiadasz z konia? To nie należy się żadnemu biskupowi. Okrywasz mię wstydem, postępując nie tak, jak przystoi ludziom naszego stanu. Opowieść o tem dojdzie niechybnie do grafa Godwina. Wsiądźże nazad co prędzej. Widział cię już, popędził teraz wierzchowca. Czy nie słyszysz tententu kopyt na bitej drodze?

GODIWA. Nie wsiądę — nie wsiądę nigdy na koń, Leofryku, pokąd nie zniesiesz tej krzywdzącej nade wszystkie daniny — podatku, nałożonego na twardy żywot i trud ciężki.

LEOFRYK. Obejrzyj się, Godiwo; rzuć okiem na tego opasłego konia, który, dysząc ciężko, sunie powolnym galopem, jak pod dźwięk psalmu grzesznika. Na co mogą, na co mają prawo skarżyć się ci ludzie, gdy wierzchowiec ich pasterza ma tak lśniące boki i czaprak tak bogaty? Ot, pragnienie zmiany tylko, chęć wyłamania się z nakazu dawnych obyczajów. Godiwo, wsiądź na koń! Nie wstydzę ci? Zapłaci mi za to ta czereda próżniacza. Mości Biskupie, zachowanie mej młodej żony oblewa mię rumieńcem.

GODIWA. Mężu mój i Panie, czy wybaczysz temu grodowi?

LEOFRYK. Nie przypuszczałem, mości Biskupie, byś miał ją ujrzeć w podobnem podnieceniu. Czy wybaczę grodowi? Tak, Godiwo, klnę się na krzyż święty, że to uczynię, jeśli przejedziesz naga przez jego ulice w południowej godzinie.

GODIWA. O drogi mój, okrutny Leofryku! Czyżby odmieniło się w tobie serce, które przyniosłeś mi w darze! Czyżby stało się twardem i niewyrozu-miałem, odkąd przestajesz ze mną?

BISKUP. Upokarzasz, grafie, swą żonę; patrzaj, jak blednie i płacze. Pokój niech będzie z tobą, lady Godiwo.

GODIWA. Dzięki ci, świętobliwy mężu. Pokój wstąpi we mnie, gdy pokój gród ten nawiedzi. Czy sły-szałeś okrutne słowa mego pana?

BISKUP. Tak, lady.

GODIWA. Zapamiętaj je proszę, pomnij o nich w swych modłach.

BISKUP. A ty, córko, czy zechcesz je zapomnieć?

GODIWA. Nie żywię o nie urazy.

BISKUP. Aniołem jesteś czystości i pokoju.

GODIWA. Zachowaj je w skarbnicy twego serca; niechaj będą jak kadzidło, co zyskuje uświęcenie wówczas dopiero, gdy, spłonawszy, unosi się dymem ku niebu, wraz z modlitwą i ofiarą. A teraz powtórz mi one słowa.

BIRKUP. Chryste zbaw nas. Mąż twój oświadczył,

jako wybaczy grodowi, jeśli pojedziesz nago przez jego ulice w południowej godzinie.

GODIWA. Czy przysięgł na to?

BISKUP. Klął się krzyżem świętym.

GODIWA. Odkupicielu świata! Słyszałeś — klął się krzyżem. Ocal gród zagrożony!

LEOFRYK. Oto już zaczynają się zabrukowania — wkraczamy w przedmieście. Pora pomyśleć o festynie. Na modlitwy przyjdzie czas później; jutro należy wypocząć.

GODIWA. Nie zamierzasz więc sprawować jutro sądów, Leofryku?

LEOFRYK. Nie. Jako powiedziałem, będziemy ucztowali.

GODIWA. Święci niebiescy dali mi siłę i natchnęli mię ufnością. Pan usłyszał me modlitwy. Serce mego ukochanego mięknać już poczyna.

LEOFRYK. Takli wydaje ci się, Godiwo?

GODIWA. Powiedz, czy niema innego wyjścia, czy nie zechcesz mi dać jakowejś nadziei?

LEOFRYK. Przysięgłem już. Zmusiłaś mię nadto, bym odwrócił od ciebie twarz płonąłą rumieńcem, co dostrzegli wszyscy naokół; powiększa to jeszcze winę grodu.

GODIWA. Ależ ja również, Leofryku, pokraśniałam cała i nie byłam ni zuchwała ni uparta.

KEOFRYK. Lecz u ciebie, najmilsza, rumieniec wykwita całkiem naturalnie; nie potrzebujesz go przewycięzać. Zsiadłaś z konia z takim pośpiechem

i tak gwałtownie, że cały snop włosów osunął ci się na ramiona. Uważaj, byś nie zaczęła ich siadając: przyczynisz sobie bólu. Tak, teraz jest dobrze. Jakże pięknie zlewają się z złocistym sukniem, nakrywającym siodło; falują i unoszą się na wsze strony, jak gdyby miały własny żywot i własne sprawy i roili jakieś nowe a przednie pomysły. O, moja cudna Ewo! stwarzasz naokół siebie raj istny; każdy ruch twój i każde tchnienie niesie moc orzeźwiająca. Tam, gdzie ty jesteś, nie mogę dostrzedz zła, ni myśleć o niem. Byłbym zaiste zdolny ująć cię w ramiona tu i w tej chwili. Darremne wszystkie znaki; brew, marszcząca się z wyrazem zdumienia, karcące spojrzenie — chcę to powiedzieć — zdolny byłbym otóż teraz zamknąć pocałunkami napół otwarte usta i te piękne kochające oczy.

GODIWA. Ucałujesz mię jutro, a tłumy zleją za to na cię błogosławieństwa. Będę bardzo blada, gdyż spędzę noc całą na poście i modlitwie.

LEOFRYK. Nie słyszę słów twych; zgiełk ludu rozbrzmiewa dziwnie głośno pod tem sklepieniem.

GODIWA (*do siebie*). Boże, przyjdź im z pomocą! Poczciwe, zacne dusze! Ufam, iż nie będą tłoczyli się tak naokół mnie jutro. O Leofryku, gdybyż imię me mogło być zapomnianem — gdybyż twoje jedynie przeszło do potomności! Ale niewinność ma ustrzeże mię może od zarzutów i potępienia, a wieluż to ludzi, równie jak ja niewinnych, żyje

dziś w lęku i głodzie. Czyjekolwiek oczy spoczną na mnie, zwilżą się wnet łzami. Młodażbo ze mnie matka tak licznej rodziny. Żali jednak ta młodość nie stanie mi się przeszkodą? Nie, z łaski Najwyższego, dodaje mi odwagi. Ach, kiedyż wreszcie nadejdzie poranek, kiedyż minie południe!

Józef Scaliger i Montaigne.

MONTAIGNE. Cóżby, jak nie dobroć serca, mogło cię skłonić, panie de l'Escale, do odwiedzenia starca w jego górskiej pustelni. Z rzetelną przyjemnością przysłuchuję się twej doskonałej gwarze gaskońskiej. Wstajesz wcześniej, jak widzę; musiałeś zerwać się ze wschodem słońca, by przybyć tu o tej porze. Od strumienia już choćby będzie do mego domostwa dobre pół godziny drogi. Ale mam tu znakomite wino białe i najlepsze sery na całą prowincję. Widziałeś zapewne w pobliżu zamku moje kozy i moje dwie krowy.

Dobrze zrobiłeś, Piotrze: postaw to na stole i powiedz jegomości Mateuszowi, ażeby rozebrał na części i upiekł nam dwa kurczęta. A niechaj opieprzy jedno z nich tylko. Czy lubisz pieprz, panie de l'Escale?

SCALIGER. Nie nazbyt.

MONTAIGNE. Stój Piotrze; nie trzeba wcale pieprzu; ja go nie znoszę. Powiedz mu też, ażeby przysmażył sporo szynki, ale niech nie kładzie od razu więcej nad dwa plastry.

SCALIGER. Jak widzę, znajdujemy się obecnie

w przedsiönku biblioteki — przybytku ksią¿ek podręcznych.

MONTAIGNE. Podręcznych? Nie, na honor, nie mam innych i uważam, że jest ich tu wiele. Byłżebyś odmiennego zdania?

SCALIGER. Posiadasz, Panie, obfity zasób wiedzy i stąd możesz sobie radzić ze szczupłym ich zapasem.

MONTAIGNE. Ileż więc może tu być tomów według ciebie?

SCALIGER. Na pierwszy rzut oka osądziłem, że niema ich więcej nad ośmdziesiąt.

MONTAIGNE. I tego jeszcze mało w twem mniemaniu? Książki — to przecie nie groch, ni fasola.

SCALIGER. Ojciec mój i ja napisaliśmy wspólnie taką ilość dzieł mniej więcej.

MONTAIGNE. Pisanie to rzecz zgoła odmienna. Ale do czytania nie zabieramy się wogóle pod wpływem podniety czy nakazu Pani naszej — Próżności. Jakże smakuje ci wino? Pochodzi z tego oto niewielkiego wzgórza. Nie możesz dojrzeć stąd samej winnicy; przesłaniają ją konary kasztanów.

SCALIGER. Wino jest wyśmienite: klarowne i wonne a orzeźwiające, jak żywy szczebiot dziecka.

MONTAIGNE. Nie uderza nigdy do głowy i nie rozstraja nerwów, jak pewne inne gatunki, naprężające je niby struny gitary. Wypijam go dwie butelki dziennie, latem i zimą i nigdy nie wywarło na mnie ujemnego działania. Wy, mości panowie

z Agennois, macie lepsze w swej prowincyi — najlepsze nawet pod słońcem. Nie dziw mi też, że parlament miasta Bordeaux, dumny z podobnego przywileju, nazwał owe wina mianem grodu. I gdybyś wogóle przekładał je nad to, które pijemy obecnie, powiedz mi to, proszę: mam w piwnicy kilka jego butelek, z korkami długości rapieru i jak on wypolerowanymi. Nie wiem, panie de l'Escale, czy posiadasz specjalną kompetencję w tych kwestyach; skłonny do przypuszczenia, że nie jesteś w nich równie biegłym sędzią, jak w innych materyach.

SCALIGER. Znam trzy rzeczy: wino, poezję i świat.

MONTAIGNE. Znasz tedy o jedną za wiele. Co się mnie tyczy, zastanawiam się, czy wiem wogóle cośniebądź o poezyi, przekładam bowiem Marot'a nad Ronsard'a, tak przeraźliwie sztywnego i pompatycznego tam, gdzie bynajmniej nie zachodzi tego potrzeba. Doprawdy, myślę nieraz, że ten człowiek musiał kłaść się w pancerzu do łoża małżeńskiego nawet.

SCALIGER. Rad jestem bardzo, łaskawy panie, waszemu umiłowaniu Marot'a. Jego wersja Psalmów, do której ułożono ostatnio muzykę, włączona została obecnie do Nowego Testamentu genewskiego.

MONTAIGNE. Toż to równa się wrzuceniu plastru miodu do beczułki z octem, który nie stanie się słodszy, mimo tej przymieszki.

SCALIGER. Nie chce mi się wierzyć, byś myślał w podobny sposób o Nowym Testamencie.

MONTAIGNE. I masz rację, boć w Testamencie znajdziesz wszystko, co słodyczą i dobrocią. Ale Kalwin wymieszał treść jego z kwasem siarczanym i lepem; starczy teraz tknąć go z wierzchu, by uwałać lub poparzyć dłonie.

SCALIGER. Kalwin jest prawdziwie wielkim człowiekiem, upewniam was, panie de Montaigne.

MONTAIGNE. Nie lubię tych waszych wielkich ludzi, co wabią mię ku sobie i zwą ukochanem dziecięciem, poczętem z ich łona, płodem ich ducha, lecz niechaj tylko zdarzy mi się rzecz w tej czy owej okoliczności: „Wybacz mi, Panie, ale różnię się nieco z tobą w poglądzie na tę sprawę“ — a wnet poczynają skakać mi do oczu i z krzykiem „dyabeł wszedł w ciebie“, wzywają szybko na pomoc kata.

SCALIGER. Przesadzasz mocno, mój godny druhu.

MONTAIGNE. Tak sądzisz, panie de l'Escale? A jakżeto postąpił wasz Kalwin z tym biedakiem o tak dziwnem nazwisku — Melanchton'em, zda mi się.

SCALIGER. Nic o tem nie słyszałem; nie miałem od dość dawna wieści z Genewy.

MONTAIGNE. Ubiegłej nocy przejeżdżał tędy nasz proboszcz, wracając z Lyonu i wieszerał ze mną. Mówił mi, że Kalwin uzyskał skazanie swego sta-

rego przyjaciela na stos i powieszenie. Nie mogę smakować w podobnym żarcie, nie znajduję bowiem w Nowym Testamencie nic zgoła, czembym zdołał go usprawiedliwić, a gdyby zresztą było nawet inaczej — rzeczy tego rodzaju sprzeczne są zarówno z moimi poglądami, jak z moją naturą.

SCALIGER. Nie mogę doprawdy, zacny Panie, dać wiary tej wieści. Kalwin nastawał istotnie na spalenie heretyka Michała Servet'a, ale było to już przed kilku laty.

MONTAIGNE. Stawiam tysiąc przeciw jednemu, że mój przewodnik duchowy nie pomylił się w imieniu. Ręczę ci, że słyszał o obydwóch i uważa w głębi duszy, że jeden równie dobrze wart stosu, jak drugi.

SCALIGER. Teologowie są wogóle rasą ludzi wyniosłych i pozbawionych ducha tolerancyi — najwięcej właściwie dalekich od teologii, o ile chciałibyśmy widzieć w niej racjonalne ujęcie religii lub naukę, mającą z nią coś wspólnego pod jakimkolwiek względem. Melanchton był najwięcej pociągającym z pomiędzy reformatorów, człkiem pogodnym i spokojnym, pełnym odwagi i miłosierdzia, wiernym w przyjaźni, zarazem zaś mężem gorącej wiary i głębokiej wiedzy, subtelnym w argumentacyi.

MONTAIGNE. Cóż ważą wiedza i argumentacya wobec przymiotów, jakie mu przypisujesz.

SCALIGER. Ufam, że wstrzymasz się, panie, z wydaniem ostatecznego sądu w tej sprawie do chwili, gdy dojdą cię o niej pewniejsze i więcej pozytywne wieści.

MONTAIGNE. Po jegomości Kalwinie spodziewam się najzupełniej podobnego postąpienia.

SCALIGER. Nie podzielam twego zdania. Kalwin jest człowiekiem poważnym i działa zawsze z rozmysłem i ładem.

MONTAIGNE. Według mnie zaś nie ma w głowie tyle nawet zastanowienia, co mój kuchta. Mateusz nie brał nigdy spółbliźniego za prosię, które można czyścić, skrobać i przypiekać po oblaniu go tłuszczem. Nie próbował też ciągnąć Boga za rękaw i kląć się jednocześnie, że kroczy jego a nie własną drogą.

SCALIGER. Panie de Montaigne, czy studyowałeś kiedy doktrynę predestynacji?

MONTAIGNE. Nie zrozumiałbym jej z pewnością, gdybym zabrał się do jej pogłębiania. Nie uważam też, by warto było przedzierać się poprzez istniejące z dawna przeszkody poto tylko, by wpaść do jaskini. Nie dałbym owocu ani nawet liścia figowego, by poznać te prawdy, jeśli ktoś mógłby mię ich pouczyć. Czy zresztą stałbym się, z racji ich posiadania, uczciwszym, więcej szczęśliwym lub bogatszym mądrością?

SCALIGER. Nie wiem, o ile poznanie ich wywołałoby jakoweś następstwa sprawdzalne.

MONTAIGNE. Jeśli tak, byłbym ostatnim głupcem, dbając o ich zdobycie. Nasze waśnie z powodu interpretowanych różnie przez każdą stronę kwestyi wypełniły tę ziemię misyonarzami i rzeźmieszkami. Obydwa obozy wykazywały już chęć wyraźną przeobrażenia na fortecę mego starego wygodnego domostwa. Gdybym skłaniał się ku jednej partyi, druga uczyniłaby to była niezawodnie. Ale może zechcesz, panie Scaliger, obejrzeć ze mną to locum; będzie to najlepszym wycieczką po podróży konnej.

SCALIGER. Niezwykle przestronna kuchnia.

MONTAIGNE. Spójrz w górę.

SCALIGER. Wisi tu chyba nie mniej, jak dwadzieścia półci słoniny.

MONTAIGNE. Gdybym zaś był teologiem lub mężem wojennym, ujrzałbyś na ich miejscu nici pajęcze lub doktrynę predestynacyi. Bojownikom waszej religii z jednej strony, obrońcom dobrej starej wiary z drugiej, — nie uszłaby nawet zdrowo i cało ta oto pocziwa babina, która tu siedzi.

SCALIGER. Ja zaś sądzę, że oszczędziliby ją z pewnością.

STARUSZKA. Czegoż to chichoczesz się, Mateuszu? Ciekawam też, co tamten może wiedzieć o tych sprawach. A, uchowaj Boże, jak paskudnie gada po francusku. I przewrotny być musi, jak sam dyabeł. Dzięki Najwyższemu, że dał nam dobrego

i sprawiedliwego pana, co myśli o nas i ma dla nas serce.

SCALIGER. Na honor, panie de Montaigne, widzę w tej galerii wysoce interesujące rzeczy.

MONTAIGNE. Oprócz samego domu i mleczarni, nie mam ci tu właściwie nic do pokazania. W miesiącu maju nie pora, jak wiesz, na polowanie — chyba że miałbyś ochotę popatrzeć w stajni na szczucie psami borsuka. Doskonała rozrywka na dni dżdżyste.

SCALIGER. Czy mówisz to poważnie, panie de Montaigne ?

MONTAIGNE. Nie, nie — nie urządzonym po temu odpowiednio. Bawimy się w te łowy, ot tak, potrosze, tylko dla zabicia czasu i uciechy psów i dziewczek.

SCALIGER. Masz więc, panie, istotnie, tak szczęśliwą naturę, że w twym wieku może ci być rozrywką szczucie borsuka ?

MONTAIGNE. Czemużby nie, pytam ? Ojciec twój Juliusz, człek mędrszy ode mnie, poważniejszy i starszy wiekiem, radował się wielce, chwytając w zastawione sidła profesorów i krytyków. Nie mam jednego psa w swej sforze, któryby zachowywał się okrutniej wobec zwierza, niż twój godny rodziciel wobec Cardana, Erasmusa, i całego zastępu innych pisarzy. Starzy i młodzi — mamy wszyscy jednako dziecinne instynkta i zawsześmy chętni, panie de l'Escale, do ukąszenia sąsiada,

czy wielki Cane był lub nie był spokrewniony z waszymi przodkami? Co się tyczy Domu Habsburgów, to gdybyśmy zestawili tyle podobnych domów, by z nagromadzenia ich powstał gród rozleglejszy od Kairu — gród ten nie byłby wart komnaty, gdzie ojciec twój poświęca się swym studjom ani nawet jednej karty papieru z jego stołu.

Henryk VIII. i Anna Boleyn.

*(Henryk przychodzi w przebraniu do swej żony,
która skazana została właśnie na śmierć).*

HENRYK. Czy poznajesz mię Nanny w tem żołnierskiem odzieniu? Trzebażli ci, przez Boga, wpatrywać się tak długo oczyma, z których znikł wyraz, by przypomnieć sobie po paru tygodniach własnego męża? Tylko, proszę, nie uciekaj się ze mną do efektów z tragedyi. Jeden krzyk, jeden łkający jęk, lekkie zwilżenie chustki wystarczają w zupełności. Cóż u licha! to bezsensowne stworzenie mdleje istotnie. Niewiadomo nigdy, czego spodziewać się z temi bladolicemi i pokrewnymi im duchami. Czy dość tej wody? powróciłaś już do siebie?

ANNA. Ojczy Najdobrotliwszy! Zali wysłuchałeś ostatniej mej modlitwy na ziemi i zali pozwalasz mi ujrzeć jeszcze mego męża! Zali patrzę — w spokoju i przebaczeniu — na umiłowanego pana mego i towarzysza w szczęściu wiekuistem! To był głos jego — ale nie mogę go

dostrzedz. Czemużto nie mogę? Czemu to ściśnienie serca, zakłócające błogość zachwyty?

HENRYK. Otwierasz ramiona. Po to właśnie przyszedłem. Miła z ciebie ladacznicą, moja ty Nanny. Cóżto, jęczysz, dziewczko? Czyżbyś była w bólach porodu? Wpóśród wszelkich pomyłek nocy, gotówem pomyśleć zaiste, że nie ja, a ty nadużyłaś dziś trunku.

ANNA. Boże, ustrzeż od tego Waszą Wysokość. Ufam, że władca mój wybaczy mi przewinienie małej w rzeczywistości wagi. Ciężyły mi powieki i usnęłam czytając. W pierwszej chwili nie byłam świadoma twej obecności, gdy zaś zdałam sobie z niej sprawę — nie mogłam przemówić. Czyniłam wysiłki, by wydobyć ze siebie słowa, nie było wszelako w mem zachowaniu braku poszanowania dla mego monarchy i pana.

HENRYK. Chcesz teraz kłamać, moja piękna ptaszyno. Czytałaś, i to głośno na domiar, mając przy sobie świętobliwie ten oto kubek z wodą. Ale co widzę — zawsze więc jesteś rozmiłowana dziecinnie w suszonych wiśniach?

ANNA. Gdy ujrzałam Waszą Królewską Wysokość po raz pierwszy, nie miałam do zaofiarowania jej nic innego nad te wiśnie. Pan mój rad był wówczas znaleźć pretekst do przyjęcia poczęstunku. Wiśni, które mam tu obecnie, nie suszyłam sama; czy zechcesz ich jednak skosztować? W przyszłym miesiącu będziemy mieli świeży owoc.

HENRYK. Odbiegasz zawsze od przedmiotu. W pewnych chwilach uważasz za właściwe poznawać mię, w innych znów przeciwnie.

ANNA. Przypomnij sobie, że poroniłam przed trzema niespełna miesiącami. Osłabłam niezmiernie i skłonna jestem do utraty przytomności.

HENRYK. Masz jednak wciąż dziewicze lica, pełne blasku im tylko właściwego i uparte usta istoty, nie ulegającej żadnym wrażeniom. Mówisz o poronieniu. Kto jest ojcem tego chłopca?

ANNA. Tenże, co twoim i moim — Ten, co zabrał go do swego domostwa, zanim mógł jeszcze, jak ja, walczyć i płakać o to.

HENRYK. Dziecko pogańskie, albo i gorzej jeszcze. Przyszło na świat nieżywym. Nie zostało nawet ochrzczone.

ANNA. Przyznaję, iż myślałam jedynie o naszej stracie. Nie nakarmiłam go nigdy swem mlekiem, a jednak kochałam tkliwie. Wyobrażałam sobie bowiem niejednokrotnie, jaką radość i szczęście przyniosłoby było tobie i Anglii, gdyby pozostało przy życiu.

HENRYK. Nie szukaj podstępnych wybiegów. Ręczę, że nie możesz mi odpowiedzieć, czy w chwili, gdy tu wszedłem, byłaś rozbudzona, czy też błędziłaś gdzieś myślą.

ANNA. Zdjęły mię nagle senność i znużenie.

HENRYK. Dobrze więc, jeśli spałaś istotnie, powiedz mi, o czym śniłaś?

ANNA. Zaczynam wątpić teraz, czy spałam rzeczywiście.

HENRYK. Zali nie możesz w fałszywości swej powiedzieć dwóch zdań z rzędu, nie mijając się w jednym z nich z prawdą. Ale zobaczymy, jaki wykręt znajdziesz obecnie: chcę wiedzieć co było przedmiotem twych myśli we śnie, czy na jawie?

ANNA. Myślałam, że Bóg wybaczył mi me winy, i przyjął mię do swej chwały.

HENRYK. I cóż jeszcze?

ANNA. Że me modlitwy zostały wysłuchane i że spełniły się me pragnienia; aniołowie tylko mogą doznawać większej nad tę błogości.

HENRYK. Przekorne dyablątko! Nie wspomni o mnie choćby słowem przez zwykłą sobie przewrotność. Nie myślałażes nigdy o mnie, ani też o swej kłamliwości i wiarołomstwie?

ANNA. Gdybym dopuściła się kiedykolwiek kłamstwa, w stosunku do ciebie czy inaczej, nie zaznałabym spokoju, pokądbym nie upadła do stóp twych i nie uzyskała przebaczenia. Jeślibym jednak była winną owej drugiej zbrodni, o jaką mnie pomasz — nie wiem, czy ośmieliłabym się błagać o nie boskiego nawet miłosierdzia.

HENRYK. Nie zaprzeczysz chyba, że rzucałaś ongi słodkie wejrzenia Smeaton'owi?

ANNA. Wiesz wszak, że uczył mię grać na wirginali, gdy byłam dzieckiem i przyczynił się tym sposobem do zdobycia mi względów mego pana i władcy.

HENRYK. A czegożto uczyli cię Brereton i Norris?

ANNA. Ci, są twymi sługami — i sługami wiernymi.

HENRYK. Czy Weston nie wyznał ci wyraźnie swej miłości?

ANNA. Tak, i —

HENRYK. Jak przyjęłaś to wyznanie?

ANNA. Szyderstwem.

HENRYK. I to wszystko?

ANNA. Nie mogłabym była zrobić nic więcej, gdyby mi powiedział, że mnie nienawidzi. W tym zresztą wypadku ściągnęłabym na siebie słuszniej zarzuty Waszej Królewskiej Mości: uśmiechnęłabym się była może.

HENRYK. Mamy przeciw tobie aż nadto obfite dowody; skonfrontujemy cię ze wszystkimi tymi ludźmi. Otóż to, klaskaj w ręce i całuj się w rękaw, nierządniczo!

ANNA. Dzięki za wyświadczenie mi tak wielkiej łaski! Honorowi memu nie grozi nic zgoła. Mój małżonek przekona się o mej niewinności i odzyska dawne szczęście.

HENRYK. Może zechcesz zdać mi teraz sprawę z pieniędzy, jakie otrzymałaś ode mnie w ciągu tych dziewięciu miesięcy. Nie żądam ich zwrotu: są niby złote głoski, zarejestrowujące twe zbrodnie. Dostałaś więc w tym czasie, nie potrzebując nawet prosić o nic, do piętnastu tysięcy funtów, na co obróciłaś te sumy, rozpustna dziewczko?

ANNA. Oddawałam je regularnie na procent.

HENRYK. Gdzieżto? Ciekawym wiedzieć.

ANNA. Pomiędzy potrzebujących i zmożonych chorobą. Jego Dostojność Arcybiskup posiada wykaz tych kwot, do którego przykładał swą pieczęć każdego tygodnia. Ja również zachowałam jego kopię; ci, którzy zabrali moje papiery, znajdują ją z łatwością, niewiele bowiem tych papierów na ogół, a żadne nie ukryte w zamknięciu.

HENRYK. Pomyśl o mej wspaniałomyślności wobec ciebie. Wspomnij, kto zrobił cię, czem byłaś. Wzdychasz nad tem, coś utraciła?

ANNA. Istotnie.

HENRYK. Nigdy nie posądzałem cię o ambitne zamiary, lecz wady twe wypełzają teraz na wierzch jedna po drugiej.

ANNA. Nie żałuję, że, będąc królową, być nią przestałam, ani że niewinność moja podawana jest w wątpliwość przez ludzi, którzy nie znali mnie zgoła. Bólem natomiast przejmuję mię myśl, że lud, który kochał mię szczerze, nienawidzi mnie dziś i przeklina, że ci, co naśladować mię kazali swym córkom, nie pozwalają im obecnie wspominać mego imienia — że wreszcie ten, któremu, po Bogu, służyłam z największem oddaniem — staje się mym oskarżycielem.

HENRYK. Szukałaś może czego na swą obronę w tej księdze? Przyznaj się, cożeśto czytała?

ANNA. Starą kronikę. Sądziłam, że napotkam w niej

dzieje jakiegoś podobnego memu istnienia, nie dopatryłam jednak zapewne właściwej karty. Bo przecież w długim szeregu stuleci musiały zdarzać się młode dziewczęta, zbyt szczęśliwe pierwotnie, by znać wówczas egzaltację i zbyt egzaltowane następnie, by zachować szczęście. Być tylko może, że wola tych, których czciły i komu służyły wiernie, nie posyłała ich na szafot. Ale nie o to chodziło mi i nie tego szukałam zaiste. Serce rwało mi się tylko w piersi do istoty, którą mogłabym była kochać uczuciem litosnem, do kobiety, co byłaby mi niby siostrą zmarłą i zniklioną, lecz słyszącą mię i widzącą, niosącą mi pociechę i znajdującą ją u mnie. O Panie mój i mężu, jak boską jest rzeczą....

HENRYK. Skarżyć się i łzawić. Tak, niewątpliwie, jest to wysoce boskiem.

ANNA. Nie powiedziałam tego. Lecz ludzie — jeśli istnieją tacy ludzie, — co nie płaczą nigdy, nie mają w sobie nic boskiego, ni ziemskiego. Rośliny, drzewa, nawet skały i bezsłoneczne obłoki pokazują nam łez pozory; wszystko, bez wyjątku, na powierzchni ziemi, podobnie jak w otaczających ją wodach i sferze niebieskiej, niesie w czemś podobieństwo i przypomnienie naszych radości i smutków.

HENRYK. Nie zdaje mi się, bym spotkał się był gdziekolwiek z tem pojęciem. Strzeż się, by jaki wróg nie dopatrzył się w niem dążności materya-

listycznych. Strzeż też baczenie swej pustej a gorącej głowy, by nie uroiła rzeczy gorszych jeszcze. Ja osobiście zgodziłbym się chętnie nie przywiązywać głębszego znaczenia do dziwnych słów, jakie rzekłaś, nie tajemem mi jest bowiem, że gniew i troska rozbudzają nagle myśli, które inaczej tliłyby gdzieś na dnie duszy, nie wybłyskując na powierzchnię. Wiem także, że jedyną twą lekturą były Biblia i historia — dwie najszkodliwsze księgi dla młodej istoty, mogące poprowadzić łatwo na błędne drogi zarówno władcę, jak poddanego. Z tej to racji odrzuciłem już jedną z nich i zabroniłem jej czytania, wobec drugiej zaś ustanowię surową cenzurę — z błogosławioną pomocą Przekzystej Dziewicy i Św. Pawła. Jeśli przystoi i należy, by monarchowie orzekali o trunku i strawie podwładnych im ludów, a tego prawa nie zaprzeczają im najbardziej krnąbrne i buntownicze duchy — tem więcej jeszcze ciąży na nich obowiązek wglądania w myśl narodu i czuwania nad przedmiotem jego lektur. Ciało działa zgodnie z nakazami woli i umysłu. Groźba gniewu bożego w tem życiu i przysłem zawiśnie nad nami, jeśli nie okazemy dbałości o nadanie mu właściwego kierunku.

ANNA. O panie mój najmiłszy! Wielkiemi zaiste muszą być przewinienia, które wywołują nieprzebłagalny gniew Boga. Czy nie próbowałaś nigdy zaznać rozkoszy przebaczenia? Wznosząc

się do niego, możemy upodobnić się Wszechmocnemu najłacniej i najdoskonalej.

HENRYK. Upodobnić się doskonale Wszechmocnemu! Zali przystoi nędznym tworom mówić tak o swym Stwórcy?

ANNA. Gdy twór mówi tak o Nim, nie jest wówczas, Henryku, nędznym tworem. Gdy nabiera świadomości, że Pan nasz jest dobrocią, poczyną go miłować, gdy Go zaś umiłował, stał się już przez to sam dobrym. O Henryku! mężu mój i władco, nasz Ojciec Niebieski sprawiedliwy jest w swych sądach i na tym punkcie z pewnością myśl twa zgodna jest z moją.

HENRYK. I cóż stąd wynika? Cóżeś miała na uwadze, rzekłszy te słowa? Raz jeszcze żądam, mów jasno i bez wybiegów. Jak dotąd, język dopisywał ci dobrze. Czemuż milczysz teraz? Mamli czekać jeszcze?

ANNA. Jeśli w umyśle Waszej Królewskiej Mości ostała się jakakolwiek wątpliwość co do słuszności postąpienia jej w tej sprawie, jeśli wydaje ci się możliwem, że namiętność lub uprzedzenie, występujące u ciebie samego czy innych, zdolne są zmącić poniekąd twe potężne zrozumienie, — wznieś do Najwyższego błagalną prośbę o pokrzepienie ducha i zlanie na cię światłości, a on wysłucha cię niezawodnie.

HENRYK. Widzę, że chciałoby ci się zmienić miejsce pobytu.

ANNA. Duch mój oderwany jest od wszystkiego, i gotów do drogi. Cokolwiek też postanowi Wasza Wysokość — żadna zmiana nie zaskoczy mnie niespodzianie.

HENRYK. Wydajesz się jednak rzeźwa i pełna decyzji, a mówiono mi, że uśmiechasz się i wdzięczysz do każdego.

ANNA. Zwiędły liść więzi na sobie czasem promień słońca, choć tak mało korzystać może z jego blasków. Słyszałem też opowieści o krajach, gdzie podmuch wiatru przychodzi z chwilą, gdy znikło już prawie światło dzienne — przychodzi, wiernie i niezmiennie i jakąż niesie ochłodę! Serce me okrzepło teraz dziwnie zaiste, zarazem zaś stało się nierównie więcej wrażliwem, odkąd władza, wielkość i wszelkie rzeczy ziemskie znikły z mych widnokręgów. Każdy przejaw życzliwości ze strony mego otoczenia napęłnia mię błogością i weselem, jakich nie znałam dawniej. Byłam gorsza, niż obecnie, gdy Bóg spuścił na mnie dłoń karzącą, lecz nie dopuściłam się nigdy grzechu niewdzięczności.

Wieleżto trudu zadawałam sobie, by odnajdywać wiejskie dziewczęta, które składały w mej komnacie wiązanki kwiatów, zanim przebudziłam się rankiem! Jak pragnęłabym była wynagrodzić leśnika, co w noc mego urodzenia, rozniecił ogień, którego paliwo starczyłoby na ogrzanie jego chaty przez pół zimy co najmniej. Ale to dawne, dawne czasy: nie byłam wówczas królową Anglii.

HENRYK, Ani wiarołomną żoną, ani heretyczką.

ANNA. Chwała niech będzie Panu!

HENRYK. Powiedz mi też, czy nieczyste i bezecne grzechy ciała mogą być porównane do błędzeń duszy?

ANNA. Najgorzej być musi, gdy jedno są połączone z drugimi.

HENRYK. Dalejże! Mów jeszcze! Sama pierś pod miecz nastawiasz. Bóg spuszcza na cię karę, pozbawiając cię władz rozumu. Muszę usłyszeć wszystko. Mów dalej — nakazuję ci.

ANNA. Skłonność do wierzenia raczej pewnym rzeczom niż innym, zrodzona z naszej słabości czy ignorancyi, lub też pod wpływem przekonywających wywodów tego, kto nas o nich poucza, albo czystości jego życia, zależna wreszcie od wrażenia, jakie wywarł na nas w pewnym momencie ten, czy ów tekst poszczególny — różne inne przyczyny pozatem — mogą oddziaływać na naturę naszych opinii i stanowić o nich nawet. Ufajmy wszelako, że dłoń Najwyższego okaże się pełną pobłażania wobec ludzkiej omyłności.

HENRYK. Opinie w kwestyach wiary! Wysoka mądrość! Niezwykła religia! Na Boga! wytrzeźwiłaś mię na dobre Anno! Przyszedłem tu w nastroju ciepłym raczej i miłosnym, lecz teraz klnę się krzyżem świętym, że te jasne loki nie będą ocieniały dłużej twych ramion. Nie zrywaj się, doty-

kam ich po raz ostatni. Gdyby kościół pozwalał na to, odeszłabyś w twą długą podróż z Eucharystią w ustach, chociaż i poniewolnie.

ANNA. Niechaj Bóg błogosławi cię, Panie mój, i Władco. Kochaj naszą Elżbietę. Zapomni pewnie wkrótce mego imienia. Nie bądź surowym dla niej; pomnij, że jest jeszcze małym dziecięciem.

Ach, gdybym tylko mogła, gdybym mogła ucałować ją raz jeszcze! Jakąż pociechę wlałoby mi to w serce.... jeśli by go nie złamało.

Lord Bacon i Ryszard Hooker¹⁾.

BACON. Słyszałem wiele, mości Ryszardzie, o twej cności i twej mądrości, stąd też powziąłem myśl szukania u ciebie pociechy i pokrzepienia w mem ciężkiem nad miarę strapieniu. Często bowiem odczuwamy potrzebę usłyszenia z ust czyichś rzeczy wiadomych nam dokładnie i pragniemy, by obca ręka wlała w nasze serce dobrze znany balsam. Jak sama atmosfera własnego domostwa oddała nieraz skuteczniej ból i zmęczenie, niżby zdziałać to mogły najwymyślniejsze leki — tak głos przychylnego gościa i sąsiada łacniej mocen jest uśmierzyć nasze troski, niż najbardziej przekonujące argumenty retoryki i najwięcej abstrakcyjne wywody wiedzy. Nie jesteśmy zresztą wprost podatni

¹⁾ Ryszard Hooker (1554—1600) jest jednym z pierwszych w czasie pisarzy angielskich religijnych i filozoficznych, zasługujących na poważne wyróżnienie. Wielka czystość i godność moralna wynosiła go zawsze ponad walki sekciarskie. Najznakomitszym jego dziełem jest praca p. t. „The Laws of Ecclesiastical Polity“, gdzie poza przenikliwością umysłu i logiką argumentacji, uderza wysokie piękno stylu, stawiające Hooker'a w rzędzie najwybitniejszych prozatorów epoki. (Dop. tłum.)

do słuchania ich w podobnych wypadkach, tem mniej zaś jeszcze do szperania we własnych zasobach i wglądania w nagromadzone płody własnych refleksyi. Powiesz mi, że pamięć oszczędzić nam może tego trudu, lecz, o ile chodzi o mnie, nie szukając dalej, okazała się, na honor, dość kaleką.

Choć żyjesz na uboczu od dworu i dworaków i skupiasz uwagę na sprawach nierównie godniejszych jej, niż chodzące o mnie posłuchy, to jednak wieść o tak okropnym ciosie, spadającym na człowieka, który skłaniał się dotąd chętnie do studyów, dających ci najwyższe rozkosze duchowe, — zainteresowała cię może poniekąd.

HOOKER. Jakkolwiek wielkiem wydaje się tve nie-szczęście, sądzę, lordzie Verulam, że chwilą, którą Bóg wyznaczył na wypróbowanie cię i doświadczenie, był dzień, gdy król nasz najmiłościwszy powierzył twej pieczy i straży wielką pieczęć państwa. A wszak możebnem jest — nie poczytaj mi za złe tej refleksyi — że zarówno w fizyonomii twej, jak postawie, zaszły od dnia tego pewne zmiany. Taki to wpływ wywierają władza, stanowisko i godności na najwięcej nawet religijnych i rozsądnych ludzi.

Szczenię wyje, gdy, wyrwawszy je z legowiska, unosimy je w górę. Człowiek, postawiony wobec znacznie większego niebezpieczeństwa upadku, raduje się jeszcze. Co się tyczy ciebie, lordzie Verulam, jesteś, jako przystoi ci w tej okazyi,

dotknięty srodze i pogrążony, w oczach sług i otoczenia, w głębokim smutku i przygnębieniu. Wiem wszelako, że na podobne cierpienia istnieje zawsze balsam kojący i że serce, co zazało jego łagodzącego działania, nie może być smutnem ni chorem prawdziwie.

BACON. A jednak musisz przyznać, mości Hookerze, że nie łatwo pogodzić się z utratą względów wielce światłego monarchy i respektu tych, którzy szukali naszego poparcia. A ta potęga złota! Zapewne, pieniądz jest próżnością próżności i nie poczytałbym go za nic innego niewątpliwie, gdyby nie posiadał władzy zdobywania nam powagi w oczach ludzi i nie dawał możności niesienia pomocy potrzebującym.

HOOKER. Nie trudno chyba wyrzec się poszanowania ludzi, ceniących nas za to, co może dać nam obłąkanie, a zabrać łotr każdy. Przychodzenie z pomocą potrzebującym jest natomiast istotnie doniosłym przywilejem, to też przypuszczam, że wola Wszechmocnego pozbawia go nas wówczas, gdy, świadomy naszej skłonności do zaniebdywania obowiązków, jakie nam powierzył — chce w swej dobrotliwości zdjąć z ramion naszych niebezpieczną odpowiedzialność.

BACON. Znam wielu ubogich dżentelmenów, którym mógłbym wyświadczyć poważne usługi.

HOOKER. Czy wydali ci się godnymi zainteresowania po dokładnem zbadaniu ich sytuacji?

BACON. Dokładnem i głębokiem.

HOOKER. W chwili tedy, gdy padłeś ofiarą przeciwności, musiałeś znać ich już od dawna. Nie brak ci było wówczas środków ku zaradzeniu ich potrzebom.

BACON. Podszedłeś mię, mości Hookerze i chwyciłeś w sidła. Zawstydzonym na honor; jestem przed tobą, jako żak przed mistrzem.

HOOKER. Niesłusznie zgoła, panie. Młodszyś niechybnie ode mnie wiekiem — coś o lat siedm, zda mi się, lecz posiadasz nierównie rozleglejszą wiedzę i większe doświadczenie. Ale władze naszego umysłu nie trwają wciąż i zawsze w pełni rozkwitu. Gdy przeciążony kwieciem krzak róży omdlewa chwilowo, wytryska wówczas w górę łodyga ruty. Niechaj Bóg uchowa, byś miał się czuć dotkniętym z racji tej błahostki. Ale powróćmy do rzeczy. Nigdy nie wyrzucalibyśmy sobie grzechu zaniedbania ofiarności wobec potrzebujących dżentelmenów, którzy w znacznie większym stopniu zaniedbali sami troski o siebie. Wybierając ten czy ów zawód życiowy, czynili to ze świadomością towarzyszącego mu ryzyka i przypuszczalnych ewentualności. Gdyby ponieśli byli swe męstwo w obronie ojczyzny, lub zbogacili dobytek jej wiedzy, przynależałaby im słusznie nagroda, a i nie minęłaby z pewnością z rąk króla, tak światłego i sprawiedliwego zarazem.

Ci ludzie czynią na mnie wrażenie starych se-

kretarzyków, sadzonych wprawdzie kością słoniową i szyldkretem, lecz porysowanych kresami, poszczerbionych i popękanych, uszkodzonych jednak na zewnątrz i wewnątrz, otwierających się z trudem i równie trudnych do zamknięcia, niezdatnych jednym słowem do żadnego użytku.

BACON. Zdaje mi się, mości Ryszardzie, że zaczyna mżyć nieco. Warto byłoby, wobec tej pogody, pokrzepić siły kubkiem wina. Ale czegoż tak wystraszony na Boga?

HOOKEK. Niczego, panie, niczego.

BACON. Cóż więc uderzyło cię tak szczególnie?

HOOKEK. Ponieważ Wasza Lordowska Mość pyta mię o to, przyznam, iż patrzyłem bezwiednie i bezcelowo w stronę tego bogatego kredensu i dojrzałem w nim — ale może to mgła z zewnątrz wtargnęła do komnaty i przeinacza rzeczy, lub też widzą je źle oczy, osłabłe od czytania przez noc ubiegłą — dojrzałem tedy, mówię, nie mniej nad sześć srebrnych naczyń do wina. Sądziłem, że tylko podczas uczt koronacyjnych zdarza się widzieć sześć stołów biesiadnych.

BACON. Nie mało dziś, na honor, ludzi wybrednych, którzy nie chcą, by ktokolwiek, najlepszy nawet i najmilszy druh ich, pił z tejże co oni czary. Ja osobiście uważam podobne pretensye za uwłaczające dla domu, gdzie nie zachodzi obawa narażenia się na chorobę, mającą smutny rozgłos. Dziwne bo, mości Ryszardzie, zapanowały oby-

czaje: dochodzimy do coraz większych spotworzeń luksusu. Lord Leicester — słyszałem to od mego ojca, lecz Boże ustrzeż, by przechowały fakt ten dzieje ojcyste — otóż lord Leicester, ugaszczając królowę Elżbietę w Kenilworth'ie — położył przed nią widelec z czystego srebra. Rzecz wydaje mi się tem godniejszą wiary, że Tomasz Coriatt zapewnia, jako widział był w Wenecyi przejawy równie monstrualnego przepychu. Jesteśmy niewątpliwie narodem uprzywilejowanym, jeśli podobne wyuzdania nie pozbawiły nas do szczętnie energii. Boć inaczej wydałby się mogło wprost niezrozumiałem, — wobec takich zapowiedzi, — że zdołaliśmy złamać hiszpańską Armadę. Ale oto przynoszą nam wino. (*Do służącego*): Głupcze jakiś! łotrze! czy nie wiesz, że ten właśnie trunek zachowuję na swój wyłączny użytek?

Ot, bezmózgi sługus! Wyobraża sobie widocznie, że małmazya toczy się, jak Alfeus, strumieniem na dnie oceanu. Ufam w twą wyrozumiałość, zacny mości Hookerze, ale wierzaj mi, iż mam niezmiernie mały zapas tego wina i używam go jedynie jako lekarstwa na me liczne i wzrastające wciąż dolegliwości. Ty, jako widzę, nie szwankujesz dotąd na zdrowiu. Oby Bóg zachował ci je jak najdłużej w swej nieskończonej dobroci! Daleko lepiej służyć ci powinny jakieś słabsze trunki. Sama natura przystosowała właściwie do potrzeb naszego organizmu lekkie wina francuskie i uczyniła je nam

tak dostępnymi, że wystarczy niejako wyciągnąć tylko głowę i pić je wprost z kadzi. Ale ta małmazya, ta małmazya rozchodzi się od wnętrza ku kończynom i wlewa war w krew młodzieńczą.

HOOKER. Jestem, po prawdzie, mało biegły w tej materii. Gdym obiadował pewnego razu z jego kapelanami, lord Canterbury nakazał podać mi ze swego stołu nieco mocnego wina hiszpańskiego Jakkolwiek jednak był to człek wielkiej mądrości i rozwagi, jak przystało na męża piastującego tak wysokie czynności, nie wykazał wszelako podobnej, jak Wasza lordowska Mość, dbałości o me zdrowie. Z winem nie należy żartować istotnie, z lekarstwem mniej jeszcze. Na wyspie Krecie, która dostarcza nam tej małmazyi, nie brak ziół aromatycznych, posiadających znamienne własności. Na zboczach gór tamtejszych, zwłaszcza zaś na górze Ida, rośnie ów dyktamus, który sprawia istne cuda i wlewa może w twój napój leczniczy jego czynne pierwiastki. Nigdy nie odważyłbym się spróbować tego wina ze świadomością rzeczy. Jeden listek, wrzucony ponad potrzebną miarę, może powiększyć tak potężnie siłę nastoju, że nie byłoby dziwnem ani trochę, gdyby za działaniem jego popękały naprzykład sprzączki mego obuwia. Wiadomo przecie z dobrych i poważnych źródeł, że gdy zraniony jeleń zje tego ziela, wygna ono z ciała jego strzały, tkwiące głęboko nawet w kończynach czy wnętrznościach.

BACON. Podobne rzeczy, kiedy czytam o nich, budzą we mnie zawsze pewne wątpliwości. Religia i polityka należą do Boga i przedstawiciela jego — monarchy. Nie powinniśmy mieszać się do tych spraw niebacznie. Gdybym jednak mógł sprokurować sobie krzew onego dyktamu w przystępnych warunkach — skłoniłbym mego aptekarza i leśnika do dokonania pewnych doświadczeń.

HOOKER. Co do mnie, nie śmiem podawać w wątpliwość opinii poważnych pisarzy w kwestyach, stojących poza zakresem mej wiedzy.

BACON. Zacny mości Hookerze, czytałem wiele twych rozpraw i uważam, że ugruntowujesz znakomicie swe wywody; dodam z drugiej strony, iż w samej ekspresyi pulsuje potężny prąd siły, jaką nadać może jedynie podniosłość ducha i niezwykle bogactwo myśli. Wybacz^omi jednak na Boga, godny mój druhu, jeśli dostrzeżesz obecnie w mych słowach pewne zdumienie, wobec twej łatwowierności. Wszyscyśmy słabi i ułomni w pewnej mierze: u powszedniego tłumu szwankują najczęściej górne części ciała; u herosów — jak podawano o Achillesie — dolne. Ty, mości Ryszardzie, jesteś zdolny określić w sposób najbardziej drobiazgowy i dokładny wszystko, co dotyczy hierarchii anielskich; gdy chodzi o Apostołów i Kościoły, uchodzisz wprost za nieomylnego. I oto nagle, z powodu jakiegoś ziała, tracisz zupełnie zwykłą przytomność umysłu.

HOOKER. Wiem, najszlachetniejszy lordzie, jak słabem jest me zrozumienie i jak błahe korzyści zdołałem osiągnąć z mych ciężkich trudów. Mózg mój obejmuje zaiste niewiele zagadnień i to w sposób niedoskonały; powtarzam też tylko, co powiedzieli już inni — ludzie mądrzy i święci. Jeśli zaś podoba się Bogu, by te skarby, nieobfite wprawdzie, nie traciły nic ze swej mocy i czystości, gdy z serca, które je wyczuło, płyną w świat szeroki — radość moja wówczas jest ekstazą pokory. Mądrość nie polega na znajomości wielu rzeczy, ani nawet na przyswojeniu ich sobie całkowitem, lecz na umiejętnym wyborze tych z pośród przedmiotów poznania, które poprowadzą nas najpewniej ku trwałej naszej szczęśliwości i prawdziwej chwale. A ta mądrość, lordzie Verulam, schodzi na nas z nieba.

BACON. Obserwowałem wogóle tę samą prawie ilość błędzeń i ułomności u ludzi wiele i mało wiedzących; kto ma rozum bystrzejszy, umie oddzielić je od dobra; kto najmądrzejszy — ukrywa je najzręczniejsz. A teraz zastanów się tylko, mości Ryszardzie, nad dyskursami i pismami najprzedniejszych filozofów, a zobaczysz, jak często nadawane są w nich fałszowi pozory prawdy. Przystępując do niej z bardzo blizka, nie wchodzi z nią w bezpośrednią styczność: *evitata fervidis rotis* — takim jest, według słów poety, zadanie woźnicy. Lecz my, co żyjemy zdala od pieśni

i kadencyi i nie mamy czasu na dobijanie się aplauzów, spieszymy poprzez głązy i piaski wprost do zamierzonego celu. Przekonałem ludzi i utrwaliłem ich w tem przekonaniu na wieki, — że posiadałem rozległą dziedzinę myśli, której nie zbadał nikt przedemną: pierwszy rozwarłem do niej wrota, a przyciąga w niej uwagę wiele zawiłych i trudnych zagadnień wiedzy. Pobudziłem ich do badania wszystkiego, co stać się może przedmiotem pożytecznych i racjonalnych dociekań i nauczyłem, jako je prowadzić. Rzadkiem też jest, bym nie próbował sam pogłębiać dokładniej rzeczy, nasuwających się mej obserwacyi. Jedna wszelako uszła całkowicie niemal mego zrozumienia — a warta była zachodu.

HOOKER. Czy mógłbym zapytać cię Panie, nie dopuszczając się niedyskrecyi, jaki to problemat masz na myśli?

BACON. Franciszka Bacona.

Oliwier Cromwell i Walter Noble ¹⁾.

CROMWELL. Co sprowadza cię tu ze Straffordshire'u, przyjacielu Walterze?

NOBLE. Nadzieja przekonania cię, generale Cromwellu, że śmierć Karola wyrwie w całej Europie okropne nad wszelki wyraz wrażenie.

CROMWELL. Przekonałeś mię już; cóż jednak stąd wynika?

NOBLE. Ufam, iż zapobiegiesz wobec tego wykonaniu wyroku, korzystając z powagi, jakiej zażywasz ogólnie. Ci nawet, co poczytują Karola za winnego, pragnęliby złagodzenia kary; czy to ze względów politycznych, czy to kierując się uczuciem litości. Mówiłem o tem z Hutchinson'em, z twoim i moim druhem Ludlow'em, z Henrykiem Nevil'em, z Walterem Long'em. Zobowiąziesz tych, tak zacnych przyjaciół i zdobędziesz uznanie ludzi najbardziej prawych i szlachetnych. Wielu obywateli, z którymi nie łączą mię osobiste stosunki,

¹⁾ Noble był w parlamencie angielskim przedstawicielem miasta Lichfieldu i utrzymywał przyjazne stosunki z najznakomitszymi patryotami owej doby. Po skazaniu na śmierć Karola, usunął się od życia publicznego. (Dop. tłum.).

głosi w tej sprawie zgodne z mojem zdanie. Dzieli je, ot choćby, duży zastęp przedstawicieli prowincyi, którym parlament zawdzięcza w tak znacznej mierze dobrą opinię, jaką się cieszy.

CROMWELL. Wy prowincjali wnosicie istotnie do Domu Ludu pewną świeżość i poczucie smaku, których brak nieskończenie naszym mieszczuchom. Pragnąłbym wielce zdobyć wasze względy, nie troszcząc się o te dychawiczne postacie z pontonów i składów handlowych, z piórem sterczącem za jednym uchem, podczas gdy drugie uznaneby zostało z pewnością przez Karola za przedmiot nadający się najlepiej do udekorowania Izby Gwiazdzistej Laud'a¹⁾.

To ludzie pełni pychy i krwi spragnieni. Serce topnieje mi w piersi, lecz, niestety, nie posiadam zgola znaczenia, jestem sługą „Commonwealth'u“. Nie chcę, nie ważyłbym się zdradzić i zawieść jego zaufania. Gdyby Karol Stuart groził był śmiercią mnie jedynie w liście, który znaleźliśmy w siodle, ograniczyłbym się na udzieleniu mu męskiej nagany i pozostawił go na wolę

¹⁾ Laud, arcybiskup kanterberyjski, prześladował z nadzwyczajną zaciekłością sekty, nie należące do kościoła oficjalnego i niejednokrotnie skazywał opornych na obcięcie uszu. Pomówiony o zbrodnię stanu, właściwie jednak głównie z racyi tych prześladowań, skazany został sam na śmierć w 1645 roku. Izba gwiazdzista nie istniała już w rzeczywistości w tym momencie. Parlament zniósł ją w r. 1641. (Dop. tłum.).

losu. Wiesz jednak, że pogróżki jego dotyczyły innych jeszcze, — że chodzi tu o ludzi, których żywot cenniejszym jest dla ogółu, niż żywot Cromwella, wycieńczonego przez posty, modlitwy i długie nabożeństwa, zmożonego z drugiej strony przez chorobę, wpijającą weń swe szpony. Najwyższy poprowadził Karola w sidła, w które on sam chciał chwycić niewinnego. Obłąkaniec, co nie umiał nigdy oprzeć się złej radzie!

NOBLE. Gdy porównyвам go z tobą, wydaje mi się niby szczyt gmachu wobec muru, podpierającego budowlę. Nie tajne mi są jego słabości i nie zamykam oczu na jego zbrodnie, ta wszelako, którą głosisz za najcięższą, nie była nią może, mimo, iż okazała się najbardziej dotkliwą w skutkach dla stron obu. Mówię o ujęciu za broń przeciw własnemu ludowi. Karol walczył o to, co stanowiło w jego mniemaniu dziedzictwo jego i państwu. Zaliż nie czynimy tego samego i zaliż przegrane procesu powinno pociągnąć za sobą karę powieszenia?

CROMWELL. Nie, o ile nie zachodzi po raz wtóry. Rozprawiasz, Walterze, arcysubtelnie, lecz nierozważnie, jak na człowieka pełnego spokojnej rozważności. Gdy jakiś łotr przyłoży mi lufę do piersi, mamże go dopytywać wówczas, skąd się wywodzi? Mamli zastanawiać się, czy odziany jest w kaftan z psiej czy kociej skóry? Nie wstydl ci wygłaszać tak przewrotnych sofizmatów? Zdumio-

nym wprost, widząc, jak szatan maści mózgi ludzi skądinąd najzacniejszych.

NOBLE. Karol był zawsze, mem zdaniem, więcej niebezpieczny dla swych przyjaciół, niż dla wrogów, dziś zaś w nikim już nie może niecić lęku.

CROMWELL. Boże uchroni, by Anglicy mieli być dla siebie wzajem przedmiotem grozy i postrachu. Ale ulegać przemocy małoduszności, uginać karku przed tem, co najnędniesze — to infamia, do której nie zmusiłyby mię nawet, Walterze, nakazy Mojżesza i Proroków.

NOBLE. Pragnąłbym, by w dziejach naszych, zbyt już krwią czerwonych, strony, zapisane przez nas, były od niej wolne.

CROMWELL. Niewątpliwie, niewątpliwie. Zapewniam cię też, że nikt nie oskarży mię o niepotrzebne przelewanie krwi bliźniego. Ale pomnij, mój dobry i przezorny druhu, jakiego rodzaju ludzie zajmują dziś u nas najwyższe urzędy, jak wrogimi są wszelkiej wielkości, jak nienawistną im sława, jaką obrażają i zawadą jest im wszelka władza, nietylko już królewska. Rozprawiają o *n a d z i a n i u n a s z p a d ę*, jak o rzeczy najbardziej zwykłej i naturalnej, najwięcej też pokojowej rozrywce. Z sali obrad, gdzie zasiadają na ławach, ślą rozkazy braci wojennej, przelewającej za nich krew i ponoszącej rany i, wytrząsając dyscypliną, nioby bakalarki w szkole, udzielają rad tym, co chronią ich od stryczka. Na imię Boga, Walterze, muszę plwać z całą bez-

względnością (lub gorzej jeszcze) na te trzeszczące i żarzące głównie, nim zdołam uczynić onych ludzi posłusznymi mej woli.

NOBLE. Ubolewam nad ich zaślepieniem, lecz wszelkie szaleństwa wyczerpują się tem szybciej, im energiczniej im przeciwdziałamy. Ten kwas fermentujący zwietrzeje niezadługo i zostanie wyrzucony. Nie dziw mi bynajmniej, żeś przenikniony gniewem i oburzeniem wobec rzeczy, obrażających najszlachetniejsze pierwiastki twej istoty. Nie licz się z tymi ludźmi, Cromwellu, pogardź nimi i okryj sławą swe imię, oszczędzając śmiertelnego wroga.

CROMWELL. Okryję je sławą z łaski Pana, ku ucieśze mych spółtowarzyszy pracy, widzę jednak lepiej od nich zawisłą nad nimi groźbę i uchronię ich najpewniej od ciosu mem ramieniem.

Serce twe, Walterze, pełne jest wyrozumiałości dla Karola Stuarta, gdyby jednak Karol odzyskał jutro wolność za twem wstawiennictwem, podpisałby niezawodnie dnia następnego wyrok śmierci na ciebie, karząc cię za służenie rzeczypospolitej. To rasa gadzin; obcemi im wszelka prawość i wdzięczne uznanie; nie mieli też nigdy w swych żyłach jednej kropli krwi choćby szkockiej. Klucz od ich komnaty sypialnej wisi zawsze na drzwiach; skłonnyim przypuszczać, że muzykant włoski lub sługus francuski niejednokrotnie krew tę zasilali.

NOBLE. Nie przeczę temu, ale wątpię zarazem, by

istniał wogóle ród królewski, lub też magnacki, żyjący u dworu, gdzie w ciągu trzech pokoleń nie odkryłbyś śladów żadnej defraudacji. Patrzaj na Francję; jakiś krzepki święty paryski dokonał tam z pewnością ostatniego cudu.

CROMWELL. Zaczynasz nareszcie mówić poważnie i rozsądnie; mógłbym słuchać cię godzinami, gdy rozprawiasz w taki sposób.

NOBLE. Posłuchaj mię więc, Cromwellu, z równą cierpliwością, gdy zwrócę twą uwagę na rzeczy nieskończenie większej doniosłości. Wszyscy dźwigamy brzemień cierpień, czemu wszelako mieliśmy powiększać lekkomyślnie cierpienia bliźniego? Czy w żyłach tego lub owego płynie krew szkocka lub angielska, francuska czy włoska, krew muzykanta czy błazna — zawsze żyje w nim dusza, a dusza ta przejść musi przez liczne doświadczenia i działać wiele, nim dotrze kresu swych przeznaczeń. Pozbaw Karola władzy, nie niszczy jego wartości istotnych. Cokolwiek godne jest uczucia z takich czy innych względów — godne jest również zachowania. Mądry i beznamiętny prawodawca, gdyby mąż taki mógł zrodzić się między nami — nie skaże na śmierć nikogo, co oddał lub oddać może społeczeństwu usługi, ważące więcej niż krzywdy, o jakie go winisz. Pieniek i szubienica są nam dziś najbliższym celem, tam zaś, gdzie one zapanowały niepodzielnie, nie może być mowy o popieraniu cnoty i ukrzepianiu nadziei.

CROMWELL. Walterze, Walterze! Spekulacye filozoficzne śmiech tylko w nas budzą.

NOBLE. Niewątpliwie, nie brak ludzi, skłonnych do ośmiewania ich wśród tych, co ciągną korzyści z istniejących i wzrastających wciąż nadużyć lub mają nadzieję wyzyskania ich ku swej wygodzie w przyszłości. Spekulacye w kierunku zła zaadoptowane są wnet zazwyczaj w praktyce życiowej i tracą wówczas swe miano; spekulacye, zwrócone ku dobru, pozostają na zawsze w dziedzinie czystej refleksyi, ci zaś, którym je zawdzięczamy, uchodzą za postacie chimeryczne, jeśli nie za głupców. W sferze rozważań, objętych tą nazwą, nie znalazłem nigdy pomysłów okrutnych — nic, coby pobudzało do niesprawiedliwości i uciemienia. Jakże to się dzieje?

CROMWELL. Do każdej rzeczy należy stosować właściwą miarę. Monarchowie nagradzani są hojniej, niż ktokolwiek, za pełnienie swego urzędu, stąd też winni być karani za wszelkie wykroczenia surowiej, niż inni, choćby nawet następstwa ich czynów nie przybierały poważnych i rozleglejszych rozmiarów. Nie możemy zakuwać ich w dyby ani wymierzać im chłosty na rynku. Gdzie jest korona — musi być i topór. Trzymałbym go tam wyłącznie.

NOBLE. Odrzuć, co przegniłe i zepsute, wyciśnij jad, lecz pozostaw resztę. Daj znamienny przykład siły narodu i jego sprawiedliwości.

CROMWELL. Sprawiedliwość jest bezbłędna; poczytam ją za atrybut Boga, z którym igrać nie wolno.

NOBLE, Mamyż okazywać mniej względności współbliżniemu, niż naszym zwierzętom domowym? Nim oddamy je do zabicia, ważymy na szali usługi, jakie nam świadczą i kłopot czy niewygodę, jakich nam przysparzają. Jeśli już nie można dokonać tego inaczej, ufundujmy humanitaryzm na podstawach dobrej polityki. Prosta refleksya wskazuje, — gdy chodzi o naszych władców, — że, otrzymując podobne im wychowanie i zajmując takie jak oni stanowiska, — postępowałibyśmy może nie mniej od nich karygodnie. Obalcie to, co w przeciwnym razie musiałoby pozostać zawsze źródłem nadużyć, lecz pomnijcie, że błędzenia człowieka należy przypisywać piastowanemu przezeń urzędowi, nie zaś odwrotnie, obarczać go winą czynów, związanych z urzędem.

CROMWELL. Nie mam litości dla hipokryzyi i pełen jestem wstrętu i nienawiści dla tronów.

NOBLE. Ja zaś dla katów, w pewnych jednak stadiach rozwoju społecznego potrzeba jednych i drugich. Lecz teraz możemy dać im spólcześnie odprawę, jako zbędnym zgoła.

CROMWELL. Człowiek, podobnie jak gwoźdź, przestaje być pożytecznym, gdy zaczyna giąć się i uchylać od należytego kierunku; gwoździe takie rzucamy na śmietnisko lub w przetapiający je pło-

mień. Muszę wypełnić mój obowiązek, dokonać tego, co mi poruczono, nie mogę zejść z wytkniętej drogi. Nie mam ochoty dostać się na śmietnisko, ni w paszczę ognia. Ale proszę cię, Walterze, powiedz mi, czy nie słyszałeś przypadkiem, odkąd czytasz, jak widzę, dzieła filozoficzne, o sympatycznych środkach leczniczych Digby'ego.

NOBLE. Owszem, dość dawno już temu.

CROMWELL. Otóż ja osobiście wierzę, że owa teoria nie jest pozbawiona wszelkiej podstawy. Muszę upuścić krwi Karolowi cięciem w szyję, by wykurować się z mego bólu głowy.

NOBLE. Oliwierze, Oliwierze! Są ludzie, których dowcip podnieca wino; na ciebie krew oddziaływa w takiż sposób. Nie posądzałbym cię o to zimne okrucieństwo.

CROMWELL. A teraz wierzysz w nie, Walterze? Może zresztą masz rację w gruncie rzeczy, wie to jednak właściwie ten tylko, kto urobił mię w łonie matki i wgląda przenikliwiej od nas w głąb naszej istoty.

Lukullus i Cezar.

CEZAR. Luciuszu Lukullusie, przybywam do cię samotnie i nieoczekiwany, z racyi, jakie ci wnet wyłożę, ufny, nie w twą przyjaźń niezawodnie, nie oddałem ci bowiem żadnej usługi, która zdobyćby mi ją mogła, lecz w twe szlachetne i bezinteresowne umiłowanie pokoju. Słuchaj mię tedy. Z chwilą, gdy opuściłem stolicę, udając się w głąb naszych prowincyi, Pompejusz, jak dowiedziałem się z relacyi mych zaufanych, rozpoczął agitacyę pomiędzy swymi stronnikami w celu pozbawienia mię sromotnie władzy. Nie jest to człowiek, któryby liczył się ze swemi zobowiązaniami lub krępował nawet węzłami rodzinnymi. Ulegając poszeptom Ambicyi, zdolnym byłby pohańbić ojca swej żony, okryć wstydem własne dzieci, bezbronne, nieopczęte jeszcze, zatruć własną, rodzącą się dopiero miłość. Rzeczy zaszły dziś tak daleko, że jeden z nas dwóch, on lub ja, musi ponieść ostateczną porażkę, żadne bowiem ustępstwo nie złagodzi jego zawziętości, nie ugasi zawiści, nie zadowoli chciwości. I otóż, zaledwie otrząśłem się ze zdumienia i konsternacyi, w jaką pograżyły mię te pewne najzupełniej wieści — jałem roz-

ważać, jak należałoby postawić sprawę, by me osobiste zajścia i strapienia odbiły się w sposób jak najmniej dotkliwy na losach republiki. Do kogoż mogłem zwrócić się w podobnej okazyi słuszniej i naturalniej, komu wypowiadać się i powierzyć pewniej wszystko, co dotyczy nadziei i przeznaczeń drogiej nam ojczyzny, jeśli nie mężowi, który złożył władzę w chwili, gdy mógł korzystać ze wszystkich jej przywilejów, w pełni krzepkich sił młodości, w okresie tryumfalnych powodzeń, nie bacząc na wezwania Dostojeństw, na nalegania, prośby i błagania Przyjaźni, na głos Wolności nawet, która przemawiała doń z senatu i kurulnego krzesła. Zdradzeni i opuszczeni od ludzi, w których pokładaliśmy całkowite zaufanie, niesiemy instynktownie swą przyjaźń — nie wiedząc, czy jakieś uczucie odważy się przeniknąć wzamian do spustoszonych przybytków naszego serca — tym, co najwięcej różni są od nich i odrębni. Stąd Cezar jest dziś gościem Lukullusa.

LUKULLUS. Uważałem wogóle Pompejusza za więcej umiarkowanego i więcej ostrożnego, niż mi go przedstawiasz Caiusie Juliuszu. A uchodzę przecie wogóle, w twojem prawdopodobnie również mniemaniu, za człowieka mało skłonnego do kierowania się wobec niego szczególną pobłażliwością.

CEZAR. Może uzyskał ostatnio twe względy swem zachowaniem wobec onego godnego męża, którego stronnicy jego pociągnęli ubiegłej zimy

przed senat i zmusili do oświadczenia publicznego, że wraz z Katonem pobudzałeś był do podejścia go podstępnie i zamordowania. W kilka dni potem, gdy obwieszczonem zostało, że człowiek ten zmarł śmiercią naturalną, znaleziono trupa jego: kości wybite były ze stawów, a ciało nosiło ślady licznych ciosów i okaleczeń.

LUKULLUS. Przypominasz mi rzeczy, które wyszły mi już były całkowicie z pamięci; dziw mi też, że wywarły na tobie tak silne wrażenie. Dowodzi to zresztą, iż zainteresowanie, jakie mi pokazujesz, zrodziło się wcześniej, niż przyznajesz to w swej delikatności. Jesteś zmęczony, jak widzę, powinienem był pomyśleć już o tem od dawna.

CEZAR. Nie, bynajmniej. Świeże powietrze wlało we mnie siłę i rzeźwość; czuję, jak muska mię swem tchnieniem nawet w tej komnacie.

LUKULLUS. Po spożyciu posiłku i wypoczynku spędzimy resztę dnia na rozważaniu tego, co spowodowało cię w me progi.

CEZAR. Twoi niewolnicy etyopscy drzeć muszą z chłodu na tych wyżynach górskich; ja sam poczułem bardzo wyraźnie zmianę klimatu, jadąc tu od Mutyny. Podziwu godna białość tego chleba! Nie widziałem podobnego mu nawet w Capui i Neapolu. A jakież wyśmienite wino formijskie; przekładam je o wiele nad wino z Chiosu.

LUKULLUS. Uprzejmość twa nie zna granic, nawet

gdy przygryzasz z niesmakiem wargę. Ale, co widzę, masz na niej ślady krwi. Pozwól, że obejrzę twą czarę.

CEZAR. Jeden ze zdobiących ją u brzegu kamieni musiał wypaść z obsady; kraj złota ostry jest w tem miejscu.

LUKULLUS. Marciporze, nie chcę, by ta czara ukazała się jeszcze kiedykolwiek na mym stole. Nie tłumacz się — powiedziałem. Gość mój zwykł wybacząć cięższe przewinienia. Zarządź, by posiłek gotów był wkrótce.

CEZAR. Jeśli zdrowie twe pozwala na to, Lukullusie, przejdziemy się może nieco tymczasem; pragnąłbym obejrzeć twą willę z zewnątrz — nie widziałem jeszcze nic w tym rodzaju.

LUKULLUS. Mury są podwójne, przestrzeń między nimi wynosi dwie stopy. Jako materiał budowlany zastosowane zostały przeważnie słoma i ziemia. Dwustu niewolników i tyleż mniej więcej mułów i wołów zwoziło na górę belki i tarcice. Pod wodzą mych architektów zajęła rzecz każda właściwe jej miejsce; wszystko przygotowane było uprzednio — nawet ćwieki z drzewa. Dach kryty strzechą, jako mogłeś dostrzedz.

CEZAR. Czy nie zachodzi niebezpieczeństwo, że wiatry zniosą te tak lekkie materiały na podobnej wysokości?

LUKULLUS. Nic nie opiera się im równie skutecznie.

CEZAR. Lękałbym się także piorunu na tych nie-

botycznych szczytach, które przyciągają go, jak twierdzą poeci i o ile pomnę, filozofowie.

LUKULLUS. Poeci mają słuszność, cokolwiek bowiem przyjmujemy za prawdę, jest nią w poezyi. Bajka może ilustrować każde zjawisko niemniej wymownie od faktu. Odmawiam natomiast wogóle racyi filozofom, błędzącym w kwestyach najprostszycy nawet. Wzrok ich wybiega rzadko poza granice ich dogmatu — i chyba tylko gwoli szukania zaczepki czy wykrętów. Zwykli argumentować raczej, niż rozważać, popisywać się, niż badać nasuwające się im zagadnienia. Archimedes i Euklides są, mem zdaniem, najprzedniejszymi po naszym Epikurze w ich szeregu, zwracają się bowiem do rzeczy udowodnialnych, praktycznych i pożytecznych. Pośród innych nie brak dobrych pisarzy i zdolnych polemistów, poczytuję ich jednak za przeniewierczych wyznawców nauki, chełpiących się z obcowania z bogami, za plagiatorów i fałszywych proroków. Ale zapomnieliśmy o mym dachu, powstałym z podobnych jak umysł filozofa materialistów. Niechaj rażą w niego pioruny; garść srebra lub mniej jeszcze wystarczy na pokrycie strat stąd wynikłych.

CEZAR. Nie zdaje mi się, by starczyły tysiące i dziesiątki tysięcy, jeśli ogień zniszczy te malowidła i tkaniny.

LUKULLUS. Zapewne, lecz w razie wypadku spłonie jedynie strzecha. Zanim bowiem łaźnie zostały

wyłożone mozaiką, nakazałem wypełnić dno wodą i alunem i nasycać przez długie miesiące temi substancjami belkowania i łaty, które pokryto jeszcze w końcu, za pomocą płynnego kleju pokładem sproszkowanego alunu. Nauczyłem się tego od Mitrydatesa. Gdy przez czas pewien przypuszczałem bezskutecznie za pomocą palnych materiałów szturm do drewnianej wieży i zawładnąłem nią wreszcie, uciekwszy się do podstępu, znalazłem w jej wnętrzu masę nagromadzonego alunu, który uszedłby może naszej uwagi, gdyby nieprzyjaciel nie starał się być ukryć go jak najspieszniej. Przyznam, iż bez żadnych skrupułów wydobywałem zazwyczaj sekrety z mych więźniów, używając jednak jako jedynych argumentów przekonywających sukien z purpury i srebrnych i złotych naczyń. Wylączną bronią mego arsenału było więc w tych wypadkach koło Fortuny.

CEZAR. Pragnąłbym był dorównać ci podczas mych kampanii w pobłażaniu i ludzkości, ale Gallowie są rasą niepewną, więcej nieposkromioną i zradną zarazem, niż najdziksze z plemion Kaukazu. Niepodobna zgoła zwracać się do nich z gotowym systemem postępowania; system ten należy urabiać na miejscu. Kochają nas nie za to, że powstrzymujemy się od krzywdzenia ich, lecz że go zaprzestajemy. Rzucają się nam w objęcia w dwóch momentach jedynie: gdy razy są jeszcze świeże, lub gdy spaść mogą niezwłocznie. We wszelkich

atoli innych wypadkach ufam, iż stanę się rywalem Lukullusa w praktykowaniu pięknej cnoty wspólnałości.

Nie będę budował nigdy willi, ponieważ... ale powiedz mi, jakie są rozmiary tego domostwa; wydaje mi się niskim.

LUKULLUS. Posiada jedno tylko piętro; komnaty mają dwadzieścia stóp wysokości do gzymsu i pięć ponad nim, dwadzieścia pięć stóp szerokości i czterdzieści długości. Jak zauważyłeś zapewne, budynek jest czworoboczny; trzy z jego części zawierają po cztery komnaty; w ostatniej, wysokiej na dwa piętra i liczącej nierównie więcej podziałów, ulokowana jest służba. Tu biorę moje słone kąpiele.

CEZAR. Basen godny zaiste wszystkich Nereid, wymienionych przez Hezioda, a znaleźliby w nim dość miejsca i Trytoni ze swemi stadami i końmi.

LUKULLUS. Tu znów umieściłem moje dwie krowy. Przynoszą mi codzień ich mleko, ciepłe jeszcze i pienne, traci bowiem swą siłę odżywczą, zarówno gdy stało czas pewien, jak gdy je poruszamy. Wybacz mi Cezarze. Mówię, jak gdybym zapomniał, że nie prowadzę wszak z sobą Marcusa Varrona.

CEZAR. Przemieniłbyś go w Cacus'a; wprowadziłby niezawodnie twe krowy. Pięknie je dobrałeś. Jaki połysk tej skóry, jaka czysta białość sierści! Nie widziałem podobnych im, jak tylko chyba podczas

ofiar, składanych Jupiterowi, dostojnemu władcy pastwisk wybrzeży Clitumnusu.

LUKULLUS. Często przychodzę nawiedzać te spokojne zwierzęta, doznając stąd nie mniejszej przyjemności, niż ongi na widok mych koni. Nie dziwi mi też, że całe narody czyniły z nich zgodnie przedmiot nabożeństwa. Jedyłą zdumiewającą iście rzeczą jest właściwie, że uczucie wdzięczności mogło wywierać na społeczeństwa ludzkie działanie równie potężne i rozległe jak uczucie strachu, a bodaj i rozleglejsze, żaden bowiem obiekt kultu nie posiadał równie licznych czcicieli. Krowa ma ich dziesięciu na jednego wyznawcę Jupitera. Czczona już była, zanim on powołany został do życia i będzie czczona nadal, gdy o nim zapomni nawet rzeźbiarz.

CEZAR. Ze smutkiem myślę o nadejściu tej chwili, cechy zasadnicze naszych bogów urobiły bowiem charakter nacyi. Za naszej już pamięci Izyda i Serapis wkradli się do ich pocztu, inni pójdą tymże śladem, aż w końcu Saturn przestanie być jedynym z pośród tego grona, pozbawionym siły przez swego następcę. Czy znasz coś więcej dostojnego nad nasze obrządki? Pierwsi dygnitarze rzeczypo-
spolitej dążą do sprawowania pieczy nad nimi; niemasz w nich miejsca na nic niskiego i poziomego, na małoduszność i surowość, na objawy przeciwspołecznych instynktów. Mówiąc o nich, widzę je, jakimi były, zanim Zabobon zbudził

się ze snu długiego, by z miłością macierzyńską przygarnąć do łona aluwialne monstra Nilu. Filozofia, która nie będzie nigdy odpowiednią dla ludu, wkroczyła do najlepszych rodzin, gdzie wyobrażenie Epikura zajęło miejsce bóstw domowych. Ale nie umiemy wprost istnieć długo bez rzeczy, do których przywykliśmy, nawet bez naszych strachów. Mocą reakcyi umysłu, związanej z naszą naturą, zaczęto szukać nowych podniet, nie w dziedzinie użycia, gdzie niepodobna oczekiwać ani wyobrazić nic nad to, co zostało osiągniętem, lecz w przeciwnym wprost kierunku. Wyzbycie wiary sprowadza w następstwie fanatyzm, wiodący znów do niereligijności; jedno przychodzi po drugim kolejno i wieczyście.

LUKULLUS. Religia naszego kraju, jak zauważyłeś trafnie, odpowiada dobrze charakterowi jego mieszkańców. Na piersi pierworodziciela naszego, Marsa, spoczywa Wenera, wznosząc ku niemu wejrzenie. Poucza to nas, iż rozkoszy szukać należy na łonie zasługi i na drodze czynów wojennych. Wątpię, by dokonano kiedykolwiek zmian poważnych w naszych obrządkach i ceremoniach, kojarzących, co jest najlepszego i najwięcej okazałego w rytuałach różnych narodów i zjednujących je nam dzięki przychylniej tej gościnności. Sami bogowie zmieniają może imiona gwoli schlebiania nowym potęgom i istotnie, w miarę postępów zwyrodnienia, religia będzie przystosowywała się do naszych dążeń.

i pragnień. Nasze niebo, gdzie rządzi dziś zasada demokratyczna, przeistoczy się w niebo monarchiczne, w którym nie zabraknie zresztą, jako przystoi, tłumnego dworu mistrzów ceremonii i satelitów, faworytów płci obojga, opłacanych czy ugłaskiwanych przymilnie za niesienie modłów i błagań przed oblicze swego surowego ciemnobrodego władcy. Dymy kadzideł płynąć będą w górę pośród plugawych pożądań. Bogowie uznani zostaną za nie nadających się już do swych stanowisk; przypuszczalnem też jest całkiem, że wobec blizkiej ruiny, jaką grożą nam walki, toczące się o władzę, wobec nieuniknionego wygaśnięcia zarówno wielkich rodów jak szlachetnych uczuć, nasze pręty liktorskie staną się kropidłami ku użytkowi jakiejś nowokreowanej kasty kapłańskiej. Potomek mój otrzyma może wówczas wodę lustralną z rąk syna mego sługi. Bezpośredni interes takich ludzi wymaga zaniku ducha wojennego, zarówno jak sztuk pięknych. Będą głosili dobrodziejstwa pokoju, by zdobyć posłuch tłumów, lecz pokojowa całkowicie religia jest właśnie przedewszystkiem niecicielką wojny, karmiącą zbrodnię u łona, niosącą zachętę leniwemu rozprzężeniu wewnątrz kraju i przyciągającą gwałt z zewnątrz. Gdyby religia ta uzyskać miała kiedykolwiek przewagę wśród Rzymian — musiałaby być wówczas jedyną ich przewagą, na ziemię ich wtargną bowiem za wspólnem porozumieniem, więcej krzepkie i energiczne nacye, dep-

cąc ją stopą zwycięską; miano Rzymianina, naj-
więcej chlubne dziś, stanie się najwięcej hańbiącym.

CEZAR. Chwila ta jest, jak ufam, daleka, gdyż imię
ojczyzny najdroższem mi jest po mem własnem.

LUKULLUS. Ja, co nie wywodzę się z Troi ani
z wyżyn Idy, żywię dla swego mniejsze uznanie,
przyznając pierwsze miejsce imieniu ojczyzny.
Patrzysz na to niewielkie jezioro. Niemasz
w niem ryby, nigdy też nie spada na nie ptactwo.
Wody jego są niezmiernie przejrzyste i chłodne,
a przechadzka wzdłuż wybrzeży nęci nietylko ze
względu na lekki powiew wiatru, idący od fali,
lecz i że trawa piękna tu jest bardzo a powierzch-
nia górskiego szczytu równa na znacznej prze-
strzeni. Wielka to wygoda dla mnie, pozbawionego
sił a lubiącego używać ruchu. Nie mam tu zgoła
szpalerów drzewnych, ogrodów ni zagajników;
park urządzony jest niżej w dolinie, gdzie strumień
zasila stawy i gdzie ulokowałem z drugiej strony
mą służbę, tu bowiem obsługuje mię dwunastu
tylko ludzi.

CEZAR. Widzę w kierunku Adryatyku jakąś bielejącą
smugę.

LUKULLUS. To sam Adryatyk. Odwróć się a doj-
rzysz morze Toskańskie. Miejsce to uchodzi za
jedno z położonych najwyżej w łańcuchu apeniń-
skim. Ale oto Marcipor oznajmia mi, że czeka nas
biesiada. Przejdź tędy, proszę.

CEZAR. Jakaż wspaniała biblioteka! Ah, Marku

Tulliuszu! — witam twe wyobrażenie. Spoglądasz na mnie z brwią zmarszczoną, zbierając fałdy togi konsularnej i wznosząc w górę prawe ramię, jak wówczas, gdy Katylna uciekał przed tobą a Rzym ukrzepił się raz jeszcze w swych posiadach.

LUKULLUS. Zgadłeś trafnie. Ten to moment, przysparzający nowego blasku imieniu mego nieobecnego druha, wybrał był rzeźbiarz, upamiętniając jego rysy.

CEZAR. Niema tu Sylli, który považał cię nade wszystkich.

LUKULLUS. Mam jego K o m e n t a r z e; poświęcił mi je, jak ci wiadomo. Wdzięczność pozostaje całkowitą, choćbyśmy nawet zapomnieli czegoś dotyczącego naszych dobroczyńców.

CEZAR. To łoże, na którym spoczywał ktoś niedawno i dwie świeże gałązki kapryfolium, wyglądające z kart tych dwóch foliałów, wskazują wymownie gościowi, nawet obcemu całkiem w tym domu, że znajdujemy się tu w wybranym przybytku jego pana. Słali to księgi święte?

LUKULLUS. Dla mnie i dla Cezara.

CEZAR. Czy pozwolisz mi...

LUKULLUS. Caiusie Juliuszu, nie pozostaje ci nic już do nauczenia się z dzieła Polybiusza i Tucydidesa ani też z Ksenofonta, spoczywającego tuż przy nich na stole.

CEZAR. Tucydides! najszlachetniejszy, najbardziej bezstronny i przenikliwy z pośród historyków. Py-

tam cię, Lukullusie, wiedząc, że w kwestyach tych zdolnyś orzekać lepiej, niż ktokolwiek w dzisiejszym Rzymie, czy wódz, pragnący spisywać swe Komentarzy, może wybrać wzór nadeń doskonalszy?

LUKULLUS. Nikt nie jest i nie będzie nigdy doskonalszym niż Tucydides — uczeń Peryklesa i mistrz Demostenesa, dorównywający jednemu w znajomości sztuki wojennej, nie ustępujący drugiemu w wiedzy ogólnej i jurysdycznej, wydający sąd spokojny i beznamiętny o wodzu, od którego ucierpiał porażkę, obrońca tego wodza i panegirzysta. Rozważanie żywota podobnych ludzi umacnia nie tylko w cnocie lecz i w zdrowiu.

— — — — —
— — — — —
— — — — —

Barrow i Newton.

NEWTON. Staję przed tobą, panie, drżący i pełen lęku na myśl o mym jutrzejszym egzaminie. Jeżeli ciało profesorskie okaże się nazbyt surowem, nie zdołam uzyskać stopnia naukowego. Nie rozumiem wprost, jak otrzymałem dyplom bakalarski: zawdzięczam to prawdopodobnie specjalnej pobłażliwości mych sędziów.

BARROW. Proszę cię, Izaaku, nie poddawaj się zniechęceniu. Najmniej inteligentni z pośród twych egzaminatorów połamią sobie niezawodnie dzioby o piasek, próbując wykurować się z niestrawności i goryczy, jaką napoi ich bogactwo twojej wiedzy; najmędrsi, którym znane są twe wysokie uzdolnienia, twoja pracowitość i skromność, zachowaliby wobec ciebie należne wyrozumienie, gdyby wogóle zaszła tego potrzeba. Zapewniam cię jednak, nie czyniąc ci komplementów, że stoisz wyżej nad nich wszystkich.

NEWTON. Nie mów tego, panie, nie mów proszę. Dręczy mię obawa, żem zapomniał wielu rzeczy, których mię nauczyłeś.

BARROW. Dziwiłbym się temu. Starszym od ciebie znacznie i mam liczne zajęcia, rozpraszające mą

uwagę; natura nie obdarzyła mię z drugiej strony równie dokładną, jak twoja, pamięcią. A jednak Izaakowi, przechowałem w niej wszystko, czego nauczyłem się od ciebie.

NEWTON. O nazbyt wyrozumiały przyjacielu! Nazbyt stronny mistrzu! Płonę wstydem, słuchając tych pochwał niezасłużonych. Nie mogę mierzyć siły i wartości mego intelektu inaczej, jak według czasu, jakiego mi trzeba, by ująć coś należycie.

BARROW. Szybkość kombinacji myślowych jest jedną z ostatnich cech umysłu i znamionuje go na najniższych niemal szczeblach duchowości, a właściwie nie opuszcza nawet, gdy władze jego ulegają rozprzężeniu — gdy mąci się i wkracza na manowce szaleństwa. Wszak wariat zachowuje ją często, wszak posiada ją kłamca i matacz. Wiedzimy jej przejawy na torze wyścigowym i przy stole gry; nie daje jej wychowanie, refleksja zaś trzyma od niej zdala.

NEWTON. Jestem powolny i nie zdążyłem dotąd poznać wiele rzeczy z zakresu najpowszedniejszej wiedzy.

BARROW. Miałem wuja myśliwca, który zwykł był twierdzić, że pies chyżonogi przebiega największą przestrzeń, podczas gdy cięższy odeń towarzyszy jego wytropi zwierza.

NEWTON. Niejednokrotnie zasiągałem wskazówek twych, panie, odnośnie do różnych zaciekawiających mię problemów i przypuszczeń...

BARROW. I umiałeś udowodnić je zawsze.

NEWTON. Byłeś istotnie zadowolony ze mnie, nie wszyscy jednak dzielić będą twe zdanie.

BARROW. Nie przeczę temu; wielu cieszyłoby się z pewnością, gdybyś nie umiał udowodnić nic zgoła. Ludzie są, jak psy i koty, co pełzają przed nami pokornie, pokąd nie poruszamy ich z miejsca, wczepiają w nas kły i pazury, gdy unosiśmy je w górę i skaczą do gardła i oczu, gdy pokażemy im w zwierciadle ich własne wyobrażenie. To oczywiście między nami, nie powinniśmy bowiem szerzyć nieprzychylnych opinii o naszym родzie: czyniąc to, szczepimy istotnie w tłumie złych przekonanie, iż nie są gorsi od innych i pouczamy dobrych, że dobroć ich daremna jest i bezpłodna. Filozofowie rozpatrują chętnie tę stronę kwestyi dla popisywania się zręczną argumentacją, lecz prawdziwie zdrowa filozofia nie szuka podobnych powodzeń. Precz z filozofią zresztą, jeśli nie może zrobić nas szczęśliwszymi ni lepszymi. A wszak są rzeczy, mocne dokonać tego. Czemu to wzdychasz Izaaku?

NEWTON. Wstyd mi, żem nieświadom pod wielu jeszcze względami dobytku filozofów.

BARROW. Wstyd ci, żeś nieświadom nieświadomych?

Nikt nie zrozumiał nigdy rzeczy, które zwykliśmy podziwiać najwięcej w wywodach Platona i Arystotelesa. U Platona znajdujemy niedorzeczności, nie wytrzymujące wprost bliższego roztrząsania.

Arystoteles wikłał się sam w plątaninie swego przedziwa. I co możemy myśleć o filozofie, który przyrzeka jednemu ze swych uczniów, że wtajemniczy go w to, co ukrywał przed innymi, zespolonymi z nim ściślej i posiadającymi rozleglejszy zakres wiadomości. Co musimy sądzić o uczniu, którego oburzało samo przypuszczenie, że inni dzielić mogą jego wrażenia i uczucia, jego wiedzę. Tacy ludzie byli kierownikami w dziedzinie nauki, tacy rządząli światem.

NEWTON. Bacon nie należał do tej kategorii.

BARROW. Nie, zaiste. Nówiłem ci i powtarzam, że niewielki tom essay'ów, który trzymasz w ręku, zawiera, mem zdaniem, więcej mądrości i geniuszu, niż cała puścizna filozofów starożytności z wyjątkiem jedynie dzieła Cyncerona. Dlatego też pragnąłem, byś przeczytał go uważnie i zdał mi z niego sprawę, wyluszczając własną o nim opinię.

NEWTON. Doszedłem, panie, do wniosku, opierając się jednak raczej na autorytecie poprzedników, niż na rozważaniach osobistych, że Bacon głębszy jest od Cyncerona, jakkolwiek mniej odeń elokwentny.

BARROW. Gdyby Bacon pisał w sposób równie łatwy i harmonijny jak Cyncero, utraciłby dużo ze swej powagi w oczach ogółu uczonych, skłonnych do wyobrażania sobie, że łatwość ekspresji idzie w parze z brakiem siły i gruntownego uzasadnienia. Należy przyznać, że starożytność wypaczyła

krytykę i wprowadziła do szkoły zaciemnienie. Ludzie wielkiego rozumu, mający tyleż zastanowienia co badawczości, krążą po powierzchni ziemi, nie tylko już nie znając kryjących się pod nią pokładów mineralnych, lecz nawet traw i roślin, które deptają swą stopą. Dopiero po upływie pewnego czasu — czasu długiego prawdopodobnie, specy-
men tego czy owego kruszcu, wydobyty z przechowujących go wnętrzy, obwieszcza jego istnienie; za nim przychodzą inne, aż w końcu określimy nawet położenie i średnicę dostarczającej go żyły. To samo dzieje się z pisarzami, których dzieła przechodzą do potomności. Nikt nie wyróżnia ich pierwotnie z całego zastępu innych; niezadługo jednak a zaliczeni zostaną w poczet sław drugorzędnych, stamtąd zaś znów wysunięci na stanowisko nieco mniej skromne i nieokreślone. I oto, wyzwalając się stopniowo z przylegającego do nich balastu nieużytków i bezwartości, wyrastają po nad swych współczesnych i wznoszą się wciąż w górę, początkowo zwolna i wahająco, następnie w tempie regularnem i bez żadnych już uchyień, wkońcu majestatycznie i szybko. Z wysiłkiem i naprężeniem, w ból się przeradzającym, wzrok śledzi ich w tym ostatecznym pochodzie ku szczytom.

Zarówno ty jak ja nie traciliśmy czasu na uprawianie poezyi, obydwu jednak zdarzało nam się niejednokrotnie być świadkami rozpraw o niej, prowadzonych przez ludzi, którzy poświęcają jej

swój wysiłek. Otóż właśnie poeta, jeśli nie służy może na nic innego zgoła, dostarczy mi przykładu, ilustrującego me słowa. Za mej wczesnej młodości wyszydzonoby niemiłosiernie każdego, ktoby ośmielił się przyrównać *Lycidas*'a, *Allegro* lub *Penseroso* mr-a Johna Milton'a do „prawdziwej“ poezji — tak ją bowiem zwano — dra Johna Donne'a. A jednak wiele dałoby się powiedzieć na korzyść młodszego z dwóch autorów. Są nawet tacy — i to nietylko między początkującymi kandydatami do stopni uniwersyteckich, lecz i w pośród bakałarzy i samychże mistrzów, którzy mają odwagę przekładać go otwarcie nad jego poprzednika. Kto wie, czy nie doczekamy się wyniesienia go do poziomu Lukana i Statiusa, choć sam duch uniwersytetu sprzeciwia się zasadniczo wypieraniu uznanych wielkości ze zdobytych pozycji. Są oczy, niezdolne dojrzeć druku ze zbyt małego oddalenia, są ludzie niezdolni w tychże warunkach dostrzedz zasługi.

NEWTON. Milton'owi wybaczyć należy wiele wad jego twórczości poetyckiej i wiele błędzeń politycznych ze względu na kult jego dla *Apokalipsy*. Nie mogę uważać go za niereligijnego całkiem człowieka, mimo, że, według opinii ogółu, nie uczęszcza na nabożeństwa równie skrupulatnie, jak byłoby to pożądane.

BARROW. Nie zajmujmy się nim dłużej. Zwalczałem jego teorye, uznając zresztą, że mógł kiero-

wać się w postępowaniu swem głosem sumienia. Ale nawet zasady jego stają się teraz modnemi i to w pośród potomków ludzi, którzy powiesiliby go byli bez wahania. Najbardziej niebezpieczna z jego doktryn, uprawniająca usunięcie pomazańca bożego za nieumiejętne pełnienie rządów, stanie się może niebawem jednym z zasadniczych postulatów naszej konstytucyi. Nie zesłiśmy się teraz gwoli rozprawiania o polityce, wartoby jednak zastanowić się, jak uniknąć popełnienia szatańskiego iście czynu wówczas, gdy ów pomazaniec boży nie chce ustąpić ze stanowiska.

NEWTON. Nie wątpię, że wszelkie trudności tej natury znalazłyby rozwiązanie w Apokalipsie, gdybyśmy mogli zrozumieć ją należycie.

BARROW. Być to może. Połóżmy w każdym razie ufność w Bogu.

NEWTON. Wszelkie rozumowanie powinno opierać się na pewnych danych; tymczasem większość ludzi przystępuje do niego, nie troszcząc się zgoła o te podwaliny.

BARROW. Pragnąłbym, by przyszłość ziściła twe oczekiwania i by Apokalipsa, Wyprawa Argonautów i Oblężenie Troi stały się trójzębem, usuwającym z naszej drogi wszelkie przeszkody podczas żeglugi po przez skały i mierzalny czasów — czy to w dziedzinie religii czy w zakresie dziejów. Jakkolwiek jednak się stanie, wierzę niezłomnie, że prześcigniesz naj-

więcej uzdolnionych z pośród twych współzawodników i zdobędziesz w szeregach uniwersyteckich imię, stawiające cię nie o wiele niżej od takich uczonych, jak dr. Spry z Caius, dr. Brockhouse z St. John, dr. Cockburn z Emanuel, dr. Turnbull z Peterhouse lub dr. Cruikshank z Bennet — więcej nawet, imię, które za lat kilka dotrze już może do Leydy i Paryża, szerząc sławę młodzieńca, oddanego swym studjom i odznaczającego się równem wytrwaniem w pracy, jak wynalazczością umysłu.

NEWTON. Nie wolno mi negować faktu gorliwego przykładania się do nauki i pewnej stąd może zasługi, ponieważ zawdzięczam tę gorliwość twym, panie, zachętom, nie mam jednak prawa ni tytułu do uchodzenia za człowieka, posiadającego ducha wynalazczości.

BARROW. Dałeś liczniejsze jej dowody, niż ktokolwiek z ludzi, z którymi zetknąłem się w życiu. Pytania, jakie mi stawiałeś, mogą poprowadzić do wielkich odkryć, choć niewiadomo jeszcze, czy spodoba się Bogu pozwolić dokonać ich tobie osobiście, czy też dopiero któremu z twych następców. Przywykliśmy wierzyć w swej ograniczoności, że wynalazczość, w zastosowaniu do literatury, ześrodkowuje się przeważnie, czy też w zupełności, w poezji i w romansie. Ja ośmielałem się rozmyślać o odkryciach, zawartych w przedmiotach twych studyów — odkryciach nierównie większych,

nierównie bardziej zdumiewających i niezwykłych nad wszystkie pomysły ujęte w łamy fikcyi. Za dni naszych jedynym wynalazcą jest historyk; nie masz, mem zdaniem, nic zabawniejszego nadeń, gdy, na uwięzi i w kagańcu, kręci się żwawo i energicznie na prawo i lewo. Pragnąłbym jednak przenieść go na chwilę na teren filozoficzny — a więc na poziom wyższy i więcej suchy zarazem. Wyglądałby jeszcze zabawniej, uwijając się po nim, zadarłszy w górę nosa, a łzawiąc przytem, gdy przychodzi przedzierać się przez kolce i ciernie. Niewielu ludzi zadawała się, w stosunku do wydarzeń i okoliczności, ścisłą prawdą, która nie schlebia nikomu ani też przynosi żadnej ekscytacyi. Nawet ciało, w całej pełni zdrowia, sprzeciwia się stanowi wypoczynku. Pożądamy wszystkiego, co umacnia nas w naszych przesądach i dodaje nowego bodźca naszym nienawiściom, jak ludzie, podnieceni trunkiem i absorbujący nadal pierwiastki podniety.

NEWTON. Te proste prawdy, doniosłe może w swych następstwach, których badanie zajmuje mię wyłącznie, nietylko trzymają mię na uboczu od codziennych spraw życia, lecz chronią również od niechęci i prześladowań, na jakie narażeni są ludzie, oddający się innym rodzajom studyów. Piękne pastorałe przysparzają poecie tyłuż wrogów, i niemniej zawziętych, jak dobra satyra. Podobnie jak olbrzym sycylijski, wielki poeta w naszej ojczyźnie

wstrząsa całą wyspą za każdym swem drgnieniem. Matematyk natomiast lub astronom uprawiać może swe zajęcia, bez obawy niemal napaści i syków szyderczych. Mówiłeś, mistrzu, o historykach; nie przystoi człowiekowi, o tak małym, jak moje, doświadczeniu, dorzucać swych refleksyi o nich do wszystkiego, coś powiedział.

BARROW. Pragnąłbym jednak je usłyszeć; będą, w każdym razie, wolne od stronności.

NEWTON. Ktokolwiek zwraca się dziś do tej gałęzi wiedzy, pisze historję gwoli zadowolenia tej czy owej partyi i uzyskania rozgłosu, a wraz z nim fortuny. Materiałów dostarcza mu mąż stanu, z którego czynów zdać ma sprawę w swem dziele. O ile zechciałby krytykować je, uchodzić będzie za niewdzięcznika, nie umiejącego ocenić udzielonej mu pomocy; gdy wychwala je, poczytany jest za sprzedajnego. Człowiek mądry a zacny, nie zechce narazić się na żaden z tych zarzutów.

BARROW. Nietylko dziś, lecz po wsze czasy podobliwość wobec zapamiętania i nienawiści, podobnież jak pożądanie zysków i godności, były głównemi z pobudek, skłaniających autorów do publikowania za życia historyi swych współczesnych. Istnieli wszelako — i ufajmy, że istnieją nadal ludzie, kojarzący mądrość i cnotę, a tak przejęci sławą swej ojczyzny, że, kierując się jedynie myślą o niej i wyzwalając z wszelkich namiętności i przesądów, kreślą dzieje i wielkie czyny oj-

czynny tej wyłącznie, zyskując ogólny poklask i uznanie.

NEWTON. Zaprawdę, mam aż nadto racyi do wytrwania raczej w studyach, ku którym mię poprowadziłeś, niż gdybym miał np. zwrócić się do badania faktów, których nie może zgoła zebrać jeden człowiek lub też do poezyi, do której nie czuję w sobie powołania, czy jeszcze do pisania *essay'ów* jak Montaigne i Bacon, albo wreszcie *dyalogów* jak Cyncero i Plato lub bliżsi nam od nich w czasie Erazmus i Galileusz. Ustrzegłeś mię od tego obfitym zasobem argumentów, przekonywających mię wymownie, że gdybym nawet mógł wywiązać się z zadania równie dobrze jak oni — nagroda za me trudy przyszlaby późno, może po mej śmierci.

BARROW. Sądziłbym sam o sobie bardzo nieszczególnie, gdyby otaczały mię hołdy i uwielbienia ogółu lub choć większości mych spółbliźnich; byłoby mi to dowodem, żem do nich podobny. Smutnem i bolesnem jest, Izaaku, stać tak blisko tłumy, by mógł widzieć nas w pełni, podchodzić ku nam swobodnie i oglądać nas na wsze strony, klepać nas poufale, gdy się już zmęczy i opuszczać wkońcu. To, czego ignorant nauczy się w jednej chwili i co upodoba sobie nadewszystko — ubogie być musi treścią. O ile nie zostanie udowodnionem, że większości społeczne nie składają się z ignorantów pyszałkowatych i peł-

nych uporu — szaleństwem byłoby prawdziwem dbać o zdobycie popularności. Są zaiste ludzie, którzy budują na niej gmach swej fortuny, lecz ci, zapewniam cię, nie dzierżą ksiąg w dłoni. Jak niewielu z nich jednak żyje w zadowoleniu i umiera w spokoju po pierwszym wyruszeniu w drogę i pierwszym popasie w namiotach partyjnych, wśród szychu i blichtru, wpośród znieprawionych adeptów stronnictwa. Jeden upadnie w chwili, gdy dotarł ostatniego szczebla drabiny, który przepiłował był na intencję swego poprzednika i na który wstąpił sam teraz, zapomniawszy o haniebnym swym czynie. Inny wyczerpuje się powolnie nieco może, w gorączce życia, pełnego emocyi, mimo przeciwne zgoła pozory. Inny jeszcze nie umie dokonać zaprzysiężonej zdrady i wobec grozy, jaką przejmuje go myśl o możebnem odkryciu jego knowań, zrywa nić istnienia, nim przecięły ją nożyce Parki, budząc w duszy tych nawet, co z nim przestają, wiarę w Opatrzność.

Izaak, Izaaku! pomnij, że wszelkie pnące są roślinami, pozbawionemi siły. Okoliczności zmuszają czasem człowieka geniuszu do służenia rządzącym, zamiast społeczeństwu, rychło jednak wyrugowany zostanie ze swego stanowiska, lub sam się z niego usunie. Kiedy danem nam będzie napotkać jeszcze w jakimkolwiek kraju pomiędzy kierownikami maszyny państwowej męża podobnego Wentworth'owi, faworytowi Karola! Zwinna

giętkość jedynie może naprawić krok fałszywy; Wentworth'a zgmiotła jego wielkość. Umiejętność służenia monarchom nie jest ani dowodem, ani cechą geniuszu i nie świadczy nawet o wyższym poziomie i rozległości wiedzy. Dopiero zrozumienie interesów zbiorowości i czynienie im zadość wymaga bogactwa i różnorodności uzdolnienia. Mazarini i Richelieu posiadali go równie mało, jak mało byli skłonni do pracy nad powiększeniem dobrobytu ogółu. Mieli tylko obydwaj wzrok przenikliwy, utkwiony w cel jeden — *a g g r a n d i s s e m e n t*. Najpospolitsi ludzie, których spotykamy co dnia i na każdym kroku, umieją dążyć do kresu swych zamierzeń poprzez tyleż powikłań i osiągnąć go jak oni; plany i pomysły dzieci, porzucane szybciej, są często niemniej sprytne i trafne.

Nikt nie zdoła chyba pojąć lepiej od ciebie, jak przykre i ciężkie przejścia gotuje ludziom ambicya. Zdarza się wszelako, że ci nawet, co zwykli potępiać ją bezwzględnie, wpadają w jej sidła; mądrość ich, która mogłaby sięgnąć wszystkiego niemal, przebywa, zapewne, w zbyt górnych sferach, by umiała chronić ich dość czujnie przed niebezpieczeństwem. Spotyka to n. p. ludzi przywykłych do samotnego i poświęconego studyum żywota, których protekcyje i poparcia rzucą niespodzianie w wir świata politycznego. Nie wątpię, że znaleźliby się tacy, co dla własnych wi-

doków i powiększenia swego znaczenia „forowaliby” cię — według utartego wyrażenia — do Parlamentu. Czyhają na każdego, kto wyróżnił się w jakimkolwiek kierunku na ławach szkolnych — czy to pisząc epigramaty, czy wyjaśniając ustęp z Lycophrona i gdy uda mu się zdobyć władzę, dzielą między siebie wynikłe stąd korzyści. Sercu ambitnego grozi pęknięcie w próżni jego wyniesienia. Niechaj nie szuka tego wyniesienia twe serce, urobione ze zdrowszych pierwiastków; niech zachowa swój spokój. Pomnij, o ile większą zdobyć możesz sławę, torując wiedzy nowe ścieżki, niż poszerzając z dawna istniejące drogi korrupcyi.

— — — — —

Nie porzucaj mądrości dla błędów, rzeczy podniosłych dla niskich, cichego ukrycia Wszechnicy dla zgiełku Izby gmin. Wznoś się, lecz nie pozwól, by ktokolwiek unosił cię na swych ramionach: pozostaw to maluczki i słabym. Pomyśl — nie o tem już nawet, jak nieczystymi są źródła wyborów parlamentarnych, lecz, jak błahym zaszczyt, spadający na przedstawicieli narodu, choćby powoływały ich do ich urzędu głosy setek wyborców, nie zaś wola jednostki lub szczupłej grupy. Bo kimże są ci ludzie i kto nimi kieruje?...

Sądzi szli, że choć jeden z tych kierowników godzien byłby występować jako sprzymierzeniec Euklidesa lub Archimedesza, nie mówię już — gdyż

byłoby to zbyt śmiesznem — jako popierająca ich siła? Stać ponad światem i trzymać się na ubo-
czu od wszystkich spraw jego — oto, drogi mój
Newtonie, rzecz najwłaściwsza. Wnieść się ponad
świat możesz niezawodnie, a dążąc ku temu, usu-
niesz się jednocześnie od wszelkich próżnych za-
biegów jego.

NEWTON. Nie należę do rzędu ludzi, zwracających
na się uwagę możnych i zyskujących względy tłū-
mów. Nie mam czasu na podtrzymywanie stosun-
ków towarzyskich i nie znoszę szermierki języków;
rozstraja mię wszystko, co zakłóca spokój.

BARROW. Nie będę więc budował przypuszczeń
w tej kwestyi. Ale nawet w przystani filozofii dmą
w pewnych momentach wichury i piętczą się bał-
wany. Radzę ci, Izaaku, byś powierzał swe tajem-
nice — mówię o tajnikach wiedzy — jak naj-
szczuplejszej garstce wybranych. Wielki umysł
posiada zawsze pewną ilość tych sekretów; kto-
kolwiek oddaje się głębszym dociekaniom, odkrył
coś ponad to, do czego pozwala mu przyznać się
przezorność, gdy przeciwnie znów, badacz po-
wierzchny wyrzuca z siebie więcej znacznie,
niż zdołał znaleźć sam istotnie. Li tylko w gronie
naszych uczonych przyjaciół wolno nam toczyć
filozoficzne rozprawy swobodnie i bez wewnętr-
znych zastrzeżeń; wobec wszystkich poza nimi, mu-
simy pamiętać każdej chwili, że dyskrecya jest
niejako jednym z czynników składowych filozofii

i pokazywać im przebłąski tylko innych jej pierwiastków.

NEWTON. Sądzę, w każdym razie, że rozwijanie szeregu dowodzeń z zakresu geometryi czy też wogóle matematyki nie może pociągnąć za sobą dla uczonego żadnych przykrych następstw.

BARROW. Ufajmy, iż jest to istotnie niemożliwym, przypomnij sobie jednak, jak niedawno jeszcze Galileusz cierpiał prześladowania i został uwięziony z powodu swych odkryć.

NEWTON. Żył pod rządem papieskim.

BARROW. Najwybitniejsi uczeni, najśmielsze w swych poszukiwaniach i najdzielniejsze umysły żyją zawsze i po wsze czasy pod rządem papieskim. Każda wiara, każdy kraj i każda epoka ma swych papieży. Potęga polityczna pełna jest niechęci dla potęgi intelektualnej, lękając się nieraz, by ta współzawodniczka nie pokrzyżowała, wyłożywszy je, planów jej i projektów, częściej jeszcze w obawie, by nie zdobyła sławy i odznaczeń. Ilekroć polityk udziela poparcia człowiekowi pióra, kierują nim wyłącznie pobudki próżności i chęć odgrywania roli mecenasa, nie zaś istotna troska o rozkwit literatury i blask jaki stąd spływa na tych, co ją uprawiają i na kraj cały.

NEWTON. To, co jest prawdą w Anglii, staje się potwornością z tamtej strony Alp. Z łaski Boga wierzę niezłomnie w teksty Pisma Świętego, pragnąłbym jednak dowiedzieć się, korzystając z twych świątłych wskazówek, czy promienie sło-

neczne mogłyby zniknąć z horyzontu w Syryi np., nie wywołując żadnego kardynalnego przewrotu, żadnego zaburzenia w systemie wszechświata?

BARROW. Zachowaj to zapytanie na czas późniejszy i dla mędrszego nade mnie przewodnika. Obecnie zwrócę ci tylko uwagę, że system wszechświata ulegał zaburzeniom, których nie przypisywano może ich właściwym racyom i co do warunków zajścia których i samej ich epoki różne narody wygłaszały odmienne opinie, czy to dla zadowolenia swej pychy czy dla ukrycia ignorancyi.

NEWTON. Nie zadowala mię to jeszcze całkowicie.

BARROW. Człowiek całkowicie zadowolony pędzi żywot w bezczyнным wypoczywaniu; jedynymi dobroczyncami świata są duchy niespokojne.

NEWTON. Które usunięte zostają z niego w nagrodę za swe trudy.

BARROW. Ludzie nie lubią zazwyczaj swych mistrzów.

NEWTON. Jakże tedy dzieje się, panie, żeś otoczony tak ogólną miłością? A niemasz przecie człowieka, zdolnego do przyswojenia sobie skarbów wiedzy, coby nie korzystał z twego nauczania. Odkąd przebywasz w murach uniwersyteckich, nie sły-
szałem, byś miał jednego choćby wroga — chyba tylko między kalwinami. Fakt to zrozumiały łącno, gdy zważymy, że dobroduszna uprzejmość i czar umysłu są rzadkimi niezmiernie przymiotami wpo-
śród członków tej sekty.

BARROW. Nie przypisuj winy sekcie, która opiera swe nauczanie na wielu poważnych tekstach Pisma. Pomyśl raczej, że doktryny urabiają się stosownie do celów ludzi najbardziej zawziętych i zgorzkniałych. Rośliny o cierpkim smaku przyciągają nie-raz tyleż owadów, co najśłodsze — tylko owady inne. Każda substancya posiada pewne czynniki dodatnie; każda opinia znajduje zwolenników. Co się mnie tyczy, powiodło mi się istotnie z uczniami, żaden z nich jednak nie miał równie badawczego jak ty ducha. Zamknij atoli swe poszukiwania w zakresie dociekań pewnych, a więc filozofii doświadczalnej, która może dostarczyć dość rozległego pola inwestygacyi umysłom najbardziej rzutnym i energicznym i dość różnorodnego, z drugiej strony, umysłom najwięcej kapryśnym i zmiennym. I niechaj nigdy kwestye wyznaniowe nie będą ci powodem niechęci ni nienawiści. Niektórzy podlegają fatalnym wpływom tych czy owych wierzeń łatwiej niż inni — jak podlegaliby chorobom. Nie żywimy żalu do dziecka, które zaraziło się ospą, lecz bolejemy przeciwnie nad jego cierpieniem i śladami, jakie pozostają po niem. Niechaj kalwini płoną dla nas nienawiścią: sam Bóg w ich wyobrażeniu przenikniony jest tem uczuciem i rządzi się kaprysem. Pragnąłbym, by choć przez kaprys okazywali nam miłość, zdaje się jednak, że poczytują ten pierwiastek natury boskiej za objaw słabości.

Ale do rzeczy teraz; chciałbym usłyszeć, co masz do powiedzenia o Essay'ach Bacon'a. Daję je do rąk tym wyłącznie, którzy stworzeni są w mem mniemaniu do wielkich przeznaczeń.

BARROW. Twe treściwe sprawozdanie z tej książki przywołało mi ponownie na pamięć tyle przenikliwych sądów, tyle bogatych obrazów, tyle prawd oczywistych i wydających się stąd niemal błahemi, żem zmuszony jest wprost uznać nietylko Cyce-rona, lecz i wszystkich prozatorów Grecyi za niższych nierównie od jej autora, gdy chodzi o pierwszorzędne zalety umysłu. Cycero ceniony jest ogólnie najmniej za swe przymioty najistotniejsze — pełnię i jasność ekspresyi. Nieudolni sędziowie (a jak niewielu jest innych) zwykli szukać skojarzenia zwięzłości i zamroczenia, nie wiedząc, że pierwsza wynika najczęściej z ubóstwa materyałów, drugie zaś z nieumiejętnego ich zestawienia i wyzyskania. Czy nie zauważyłeś nigdy, że płótna najbardziej ciemne wydają się zazwyczaj najdoskonalszemi wszelkim ignorantom w rzeczach sztuki, przekładającym malowidła, godne jedynie strychu, nad promieniowanie światła i piękna? Czy, z drugiej strony, nie doznawałeś sam wrażenia, pokąd nie posiadałeś umiejętności dokładnych wymiarów i obliczeń, że jakaś komnata mieści więcej książek czy sprzętów

wówczas, gdy jedno i drugie rozrzucone są w niej bezładnie, niż gdy widzisz je ustawione w należnym porządku? Z każdym krokiem, uczynionym ku zdobyciu uznania mędrca, tracimy coś w opinii tłumu.

Niewielu danem jest objąć całokształt duchowy wielkiego pisarza, a tem mniej jeszcze umieć zestawić go z innym, gwoli szukania wspólnej ich miary. Piękny ustęp uderza nas niejednokrotnie mniej żywo, niż strony nierównie słabsze, jeśli wrażliwość nasza omdlewa poniekąd chwilowo — stąd mniej entuzjazmu, mniej subtelna wyczuwalność, mniej zrozumienia i mniej wnিকnienia w dzieło. Nie zaznaczyłeś niektórych z najszlachetniejszych cech Bacon'a, uważając nieraz, jak przypuszczam, że siła sądu nie może ujawnić się należycie w wyrazie uwielbienia, nieraz też ze względu na ponawianie się rozkoszy i jej głębie.

NEWTON. Wystrzegałem się, panie, wznoszenia rąk do góry na znak zbożnego hołdu. Żądałeś ode mnie wykazania, o ile będzie to w mej mocy, nie zaobserwowanych dotąd przez nikogo błędów i zboczeń tego zdumiewającego pisarza.

BARROW. Dokonałeś tego w sposób ze wszech miar zadawalający. W ostatnich latach swego żywota, osiągnąwszy szczytu sławy i honorów, Cicerone, nie uważał bynajmniej za rzecz niegodną siebie przeprowadzenia podobnej krytyki dzieła Epikura. Pragnąłbym, by dał był w niej dowód

równie czujnej, jak twoja, dokładności, równego umiarkowania i równego szacunku dla rozpatrywanego przez się dobytku. Zarzuty twego druha nie są bezwzględnie czcze i puste, bacz jednak, by, dyskutując z tobą, nie podkopał twój wiary. Jeśli wytrwasz w niej krzepko, będzie cię podtrzymywała, jak grzeje nas, przechowując własne nasze ciepło, łóżko, któreśmy nagrziali, kładąc się do niego, bez względu na to, z jakich materiałów zrobiona jest pościel.

Nie sądzę, bym potrzebował ostrzegać cię przed wielu rzeczami i udzielać ci wielu rad i wskazówek. Nie jesteś rozrzutny, że jednak, jak wszyscy niemal ludzie nauki, zwracasz mało uwagi na sprawy pieniężne, pozwól więc, że wspomnę ci coś niebądź o dotkliwych następstwach tej niedbałości, przykrzejszych od niej samej. Ci, co dojrzą ją u ciebie, zaczną cię wyzyskiwać, oszacowując na twą intencję każdy przedmiot ponad jego wartość. Hultajska gawiedź wszelkiego pokroju i gatunku trafi wnet do nieopatrznego młodzieńca, zdobywając często jego zaufanie, z krzywdą dla jego fortuny, a nieraz z ujmą dla wziętości i dobrego imienia. Niechaj rozejdzie się wieść, że ten czy ów dał wydrwić raz z siebie dwadzieścia funtów, a kosztować go to będzie funtów czterdzieści rocznie aż po ostatni dzień istnienia. To też, jeśli dowiesz się przypadkiem o dokonaniem wobec ciebie oszustwie, radzę ci zachować fakt ten w ukry-

ciu, nie tylko ze względu na uwijających się w pobliżu ciebie łotrzyków, lecz również dla ubezpieczenia się przeciw innym, zręczniejszym od nich, których nie brak w trybunale hrabstwa naokół zielonego stołu.

Niezadługo rozpoczniesz działalność pisarską, a każdy pisarz zastanowić się musi nad sposobem i formą wyrażenia swych opinii. Prostota twego stylu zgodna jest z samem twem obejściem i naturą studyów. Unikaj posługiwania się wyrazami, zapożyczonymi z tekstów świętych lub z najwznioślejszych utworów poetyckich, czego nie umieli ustrzedz się nieraz poważni bardzo ludzie. Widzieliśmy, jak bezecnie je znieprawiano. Unikaj towarzystwa czyniących to barbarzyńców: to ludzie próżni, niezdolni uszanować niczego i niczego odczuć właściwie. Dyalogi Galileusza, które już przestudowałeś, napisane są z wielką precyzyą, w stylu odpowiednim do przedmiotu badań. Nie nalegam bynajmniej, byś zwrócił się do dyalogu, mimo, iż używali go najznakomitsi pisarze wszystkich czasów: dyskursy i repliki — toć najprzedniejsze przecie strony dzieła Milтона i Homera, najudatniejsze momenty wielkich prac historycznych. Ksenofont, Platon, Cycero pokazują nam najwybitniejszych mężów Aten i Grecyi, rozprawiających ze sobą w taki sposób. Czy jednak przyjmiesz tę formę, która, o ile wygłaszać będziesz nowe poglądy, uchroni cię poniekąd od spotykającej je zazwyczaj

niechęci (niechęć ta znika wobec rzeczy przewrotnych) — czy też będziesz trzymał się równych szlaków dydaktyki — nie szukaj nigdy u innych żadnych ornamentów. Apollo nie przywdziewa nic zgoła, coby mogło przyćmić jego czyste promieniowanie lub skrepować moc jego, czy to wówczas, gdy ukazuje się nam jako bóg dnia, czy to gdy uśmierca Pythona. Zbytecznym byłoby zalecać człowiekowi równie łagodnego jak twoje usposobienia spokój w dyskusji i umiarkowanie wobec współzawodników. Jak często rzeczy najprostsze tłumaczone są w sposób opaczny przez ludzi, dających folgę swym popędom i uniesieniom. To też ktokolwiek znajduje w sobie samym wobec doniosłych wydarzeń i okoliczności spokój, którego brak nieraz najmędrszym, poczytać się może za uposażonego szczęśliwie przez los pod tym względem.

Jeśli inni zdobędą chwilowo większe od ciebie uznanie, niechaj nie zakłóca to świętej pogody twego serca. Obwieści ci ono tę niezawodną prawdę, że ci, co orzekają o losach dzieł piśmiennictwa, nie przesłonią na zawsze twego propyleum zjełczałymi preparatami wszelkiej wulgarności. Nadszedł czas, by filozofia posiadała w naszej literaturze przynależne sobie stanowisko i by połączenia i postaci ukształtowań materii stały się przedmiotem wyłożonych z doskonałą ścisłością badań naukowych. Dziedzinę jej wypełniają dotąd prze-

ważnie zimne rozważania kwestyi teologicznych — grudy śniegu na stromej i jałowej skale; wulkany polityki wybuchają od czasu do czasu, wnosząc w ten pejzaż pewne urozmaicenie, lecz nie wlewając weń życia.

Nie doznawaj lęku, gdy dobytek twórczy twego ducha mniej obfity będzie w pewnych okresach, niż w innych. Błotnisko pozostaje zawsze błotniskiem i staw stawem. Lecz morze, w części swej, gdzie budzi najżywsze podziwy, jest raz morzem, raz zaś suchym lądem; czasem prowadzi okręty ku przystani, czasem zaś pozostawia je w miejscu, gdzie można je naprawić i wyekwipować na nowo. Dla rozległego i bogatego umysłu wszystko jest jednakowo płodne — przypływy i odpływy, praca i wypoczynek. Nawet w chwili, gdy traci pełną świadomość władz swych i unosi się na pozór w próżni, zdobywa moc nową lub odzyskuje pierwiastki energii, jak ciało w snu godzinie.

Nie staraj się przybierać swych refleksyi w kształty najpiękniejsze; dąż tylko do wypowiedania ich z należną prostotą, zwracasz się bowiem do poważnej myśli filozofa, nie zaś do polemizującego zgromadzenia. Jeśli posiadasz dwójakiemu rodzaju argumenty ku udowodnieniu swych założeń, przytocz je bez wahania; jedno trafią łatwiej do pewnych umysłów, drugie wydadzą się więcej przekonującymi innym. Ten, kogo wola wyższa powołała na stanowisko kierujące,

winien liczyć się z przyjemnością, jakiej dostarcza, o ile jest ona oczywistą i naturalną. Wielu ludzi, doznających znużenia i niechęci na widok zwykłej drogi publicznej, podąży ochotczo, poprzez zagrody i przeszkody ku wąskiej ścieżce polnej, choć droga i ścieżka wiodą do wspólnego celu. Sam rodzaj twych studyów nie czyni dzieł ich podatnymi do wielkiej zdobności, w przeciwnym jednak razie uważałbym sobie za obowiązek, który pełniłbym czujnie, strzedz cię od niej, jako od rzeczy próżnej i bezpożytecznej a co gorsza, zawodnej, gdy chodzi o przeprowadzenie jakichkolwiek koncepcji. Amator wina nie gustuje w winie słodkiem ni młodem; miłośnik nauki równie mało dba o jej osad, jak o jej ferment. Wielki ład i powab nacechowane są zawsze pewną surowością: piękno, co nie szafuje sobą zbyt hojnie, pożądane jest najgoręcej i ukochane najdłużej. Gracye mają swe przepaski, Wenus swój cestus. Czcze ozdoby najmniej są właściwemi w dziele filozofa, a wydałyby się bardziej jeszcze, niż u innych rażącemi u ciebie, gdy zapowiedziawszy, że odkryjesz oczom naszym nieskończoność światów — począłbyś otwierać jeden za drugim płatki podwójnego gwoździka.

Wchodzenie w stosunki z pośledniejszymi autorami wydaje mi się niebezpiecznem zgoła: równie łatwo zbić ich z tropu, jak trudno uspokoić, to też obcowanie z nimi jest rzeczą kłopotliwą i po-

zostawia po sobie niemniej przykre ślady niż zerknięcie z niemowlęciem. Szukaj natomiast towarzysztwa i przyjaźni umysłów wyższych: nauczy cię to przede wszystkim czcić je należnie, co jest już samo w sobie przyjemnością i cnotą, z drugiej zaś strony pozwoli, przy właściwej okazji, bronić ich przeciw niechętnym, co jest obowiązkiem. Nie można zaś spełnić go jak przystoi, nie znając dokładnie człowieka i nie ceniąc go według jego zasług. Szacunek dla ludzi, piastujących zwierzchność duchową, jest jednym z najwięcej pożądanых przywyknień moralnych, byleśmy umieli oddalić od siebie niezdrowe pragnienie ciągnięcia ze stosunku z nimi uwłaczających nam korzyści. Szacunek taki wypływa z poczucia wyższej sprawiedliwości i zdobędzie ją nam samym we właściwym momencie. Lecz zachodzi tu jeszcze kwestya głębszej bodaj doniosłości. Pomyśl, jaką pociechą i osłodą, wynagradzającą i starcząca za wszystko, muszą wydawać się hołdy i atencye podobnego tobie człowieka tym, których spotyka wzgarda i lekceważenie ze strony nieskończenie niższych od nich, lecz potężnych stanowiskiem, przybranych nieraz w szkarłat i purpurę, nieraz w gronostaje. Gdybyśmy przystępowali wogóle do naszych współbliźnich w sposób należy, miłowalibyśmy, czcili i poważali wielu z tych, co są nam dziś całkiem prawie obojętni. Niechaj uwagi te, które w umyśle pierwotnym i obcym zmysłowi sprawiedliwości, nie

przyjęłyby żadnych zarysów ni kształtów, prześlizgując się po nim jak nikły cień obłoku — nie będą, Izaak, straconemi dla ciebie.

Pisarze starsi posiadają, poza wiekiem i doświadczeniem, jedną jeszcze cechę, wspólną z Nestorem: po części wskutek zgorzknienia, po części z przyzwyczajenia i przekonania, są w piśmiennictwie ojczystem chwalcami przeszłości. Ludzie bez kultury natomiast, wynoszą wyżej szczytów kreowane przez się bożyszcza i przybrawszy je najokazalej, kręcą się naokół nich w wirze tanecznym, unoszącym w górę szmatki. Anglicy trzymają się tak uparcie przyjętych raz opinii, że zrzekliby się raczej praw swych, przywilejów i niemal życia, niżby mieli je porzucić. Obstają przy nich nietylko w literaturze, lecz i we wszystkim, co dotyczy spraw publicznych. Widziałem dowody tego w stosunku do ludzi, winnych grzechu niewdzięczności, sprzeniewierzenia, nadużyć i zdrady wobec przyjaciół, bezczelności wobec tych, co udzielali im poparcia, wodzenia na manowce towarzyszy pracy, porzucania swego stronnictwa i wypierania się swych zasad, pychy i arogancyi wobec prawości i rozumu, płaszczenia się przed wyuzdaniem kurtyzany gwoli uzyskania dostojęństw i korzyści — ludzi zdolnych, jednym słowem, do czynów najbardziej plugawych, które powinnyby ich pozbawić honorów i godności w życiu publicznem i zaufania spółbliźnich w życiu prywatnem.

A jednak nie brak im było zwolenników, tak obłąkanych duchem partyjnym, że wznosiliby im niemal pomniki, w nadziei, że obrażą tem i rozjątrzą obóz przeciwny — i nieświadomych, że podpisują sami podobnem zachowaniem wyrok na siebie lub nie troszczących się o to zgoła. I choć przyjdzie w następstwie godzina pokajania, żywić będą niewygasłą nienawiść do tych, co przepowiedzieli nadejście onej skruchy. To też obstają nadal przy swych uwielbieniach z większą energią, niż inni przy hołdach zasłużonych, podobnie jak krzywoprzysięzcy bronią z większym zapalem swego fałszu, niż ludzie uczciwi swej prawdy.

Nie wiem, czy będą w życiu twem dni nie poświęcone studjom, pewien jestem jednak, że nie minie dzień jeden, nie przynosząc ci nowych argumentów przeciw zaciąganiu się pod sztandar jakichkolwiek partyi literackich czy politycznych. Zbyt wielkim jesteś, by stać się człowiekiem stadnym, a gdybyś chciał nawet to uczynić, stado zwróci się gromadnie przeciw tobie. Ludzie, rzekomo wyższej miary, przyjmujący udział w życiu publicznem, wycofują się z niego wkońcu; dewizą ich jest u s t ą p i e n i e z g o d n o ś c i ą, czyli, używając właściwych wyrażen, po przywłaszczeniu sobie najpokaźniejszej, jaką mogli zebrać, ilości publicznego dobra. Ta rasa wielkich ludzi jest nader liczna. Pragnąłbym dożyć zjawienia się paru choćby jednostek, które rozumieją — i dzia-

łać będą w myśl tego — że wykażą równie dużo godności, wycofując się wcześniej czy późno, zachowując spokój duszy i sumienia, czy zburzwszy go niepowrotnie lub naraziwszy na dotkliwe przejścia. A widziałem już setki wyznawców owego butnego papieża, który odparł, gdy mu przypomniano, że Chrystus nakazał Piotrowi schować miecz do pochwy: „Tak, ale dopiero wówczas, gdy Piotr obciął ucho.“

Dusza, która chce zachować istotną swą harmonię i pozostać w zgodzie ze sobą, nie może stać poza czasem, ani zatracać z widoku zadań, jakie zakresliła jej dłoń Twórcy.

Czemużto zaglądasz tak przez palce do początkowych stron książki?

NEWTON. Nie wymieniłem wszystkich essayów.

BARROW. Niektóre z nich nie wymagają bliższego wniknięcia w te czy owe szczegóły, żaden jednak bodaj nie mógłby wyjść z pod pióra innego, niż Bacon pisarza.

NEWTON. Miałbym jeszcze, panie, coś do powiedzenia, a raczej pragnąłbym zadać ci pewne pytania odnośnie do Przyjaźni.

BARROW. Wszyscy wogóle, a ludzie nauki w szczególności winni zachowywać w nawiązywaniu jej wielką baczność. Przestroga tego rodzaju mogłaby wydać się przedwczesną i niesympatyczną w ustach młodzieńca i świadczyć o pełnej pewności siebie nierozwadze lub też podejrzliwości. Gdy jednak

słyszysz ją od człowieka w mym wieku, mającego za sobą niezwykle szczęśliwą przeszłość i przewidującego dni równie pomyślne — możesz przyjąć ją jako radę bezstronnego obserwatora, opowiadającego ci, co zauważył był na drodze, którą przebył już niemal do końca, a na którą ty wkraczasz zaledwie. Nie obdarzaj zaufaniem, ani dopuszczaj do bliższego ze sobą obcowania ludzi, którzy nie posiadają w tym czy owym zakresie wyższej od ciebie kompetencji, w przeciwnym bowiem razie będą ci zawadą w twych poszukiwaniach i przeszkodą do urzeczywistnień twej wielkości, bez względu na swe stanowisko społeczne i wszystkie swe zalety. Uwaga moja byłaby zbyt cenną, gdyby, poza wielkością, której rozdawcami są dwory i tą, w którą przybrać można każdego sługusa, nadając mu podobne jego otoczeniu pozory, nie istniała żadna inna. Lecz, że wszystko, co jest wyższością duchową, że prawdziwa wielkość wyrasta z własnej naszej istoty, na podwalinach, jakie złożyła w nas wola Boska — więc też strzedz jej należy przed wszelkim na nią zamachem. Uprzejmie tedy, lecz stanowczo, trzymaj się w należynej odległości od ogółu twych spółbliźnich. Nie przybieraj pozy stoicznej, nie zaznaczaj z naciskiem obojętności, pozwól krążyć swobodnie wypuszczonej przez tego czy owego moneta, lecz nie wymieniaj na nią czystego kruszcu, jaki masz w swem posiadaniu.

Mógłbyś uważać się za błogosławionego zaiste i uprzywilejowanego przez Opatrzność, gdybyś uznany został za życia za to, czem jesteś w rzeczywistości. Jeśli natomiast ulegniesz przetworzeniu, będzie to dowodem, że opuściło cię Niebo.

NEWTON. Przystojniej byłoby zapewne i lepiej, gdybym wypełniał własnymi refleksjami chwile, w których przestajesz wyjaśniać mi me wątpliwości. Pozwalałeś mi jednak zawsze stawiać ci pytania, a i teraz również zachęcasz mię niejako do tego — jeśli tylko nie wprowadza mię w błąd ma wdzięczność.

BARROW. Pytaj, o co zechcesz. Odpowiem ci, o ile będzie to w mej mocy i wybaczę, jak zdarzało mi się niejednokrotnie, jeśli postawisz mię w kłopotliwym położeniu.

NEWTON. Czy nie poczytasz, panie, za rzecz trudną i przykrą niechętnego przyjmowania wezwań zwracającej się do nas przyjaźni lub odpychania jej nawet?

BARROW. Podobne zachowanie wysusza serce, jeśli biło ono kiedykolwiek żywym tętnem u ludzi zdolnych do niego. Kochaj tych, co cię umiłowali, służ im, ponoś dla nich niebezpieczeństwa, narażaj życie, daj im wszystko, prócz czasu swego i sławy. Spędzaj z nimi ranne chwile wytchnienia i spożywaj wspólnie posiłek, odbywaj wspólnie przechadzki wieczorne, dziel się myślą, dążeniem, porywem. Tak, Izaaku, są ludzie, zrodzeni do przyjaźni, dla

których hodowanie jej w duszy jest potrzebą natury — takąż jej koniecznością, jak dla pszczoły wytwarzanie miodu. Nie odmawiaj im słodyczy, którą zebrać pożądata, nie myśl jednak, by można było nią żyć wyłącznie. Nasz nadwątłony organizm domaga się więcej zasadniczej strawy, by nie osłabnąć ostatecznie.

NEWTON. Miałbym jeszcze coś do zaznaczenia... słów kilka... słów kilka w tej sprawie, a raczej w kwestyi, którą Bacon rozważa następnie.

BARROW. Następny essay traktuje o Ekspensie. Nie wiem, co mógłbym powiedzieć ci o nim poza uczynionemi już refleksjami. Wskaż mi, proszę cię, ustęp, który interesuje cię szczególnie.

NEWTON. Znalazłem go już. Obawiam się jednak, panie, czy nie nadużywam twego czasu...

BARROW. Wypowiedz się wreszcie. Płoniesz żarem i oblewasz się łuną rumieńca, jak gdybyś był na statku Marcellusa w promieniach Archimedeseowego zwierciadła. Zakrzyknij mu, żeś jego uczniem i wyruszasz jedynie w drogę jako parlamentarz.

NEWTON. Chciałbym wiedzieć, panie.... chciałbym wiedzieć, jednym słowem, czy człowiek nauki powinien myśleć o małżeństwie?

BARROW. Poeta, malarz, matematyk nigdy, przynigdy. Ludzie, uprawiający inne dziedziny pracy ducha, mogą myśleć o niem, lecz dopiero po dwudziestu latach zastanawiania się nad rzeczą.

Nie trzymałbym pod żadnym pozorem w krainie łąk i gajów syna w twym wieku. Wielu z tych, którym nie groziło żadne niebezpieczeństwo pośród łąków zbożowych, padło ofiarą na kobiercu trawy w cieniu wiązu. W miejsca takie uderzają fatalne w skutkach pioruny.

NEWTON. O ile więc nie byłbym matematykiem, przyszyłoby mi rozważać przez lat dwadzieścia?

BARROW. Zaczynij to czynić po roku dwudziestym i trwaj w tych rozważaniach aż po koniec żywota, powracając do nich naturalnie w pewnych przerwach czasu i oczywiście, w wolnych chwilach. Oszczędzi ci to wielu modlitw i podyktuje może jedno dziękczynienie.

Alfieri i Salomon, żyd florencki.

ALFIERI. Podejźmy do okna, mości Salomonie.

Nie chcę prawić ci zwykłych komplementów powitalnych, równie bezsensownych, jak przesadnych, pozwól mi więc tylko upewnić cię, żeś jedynym człowiekiem, z którym pragnąłem poznać się we Florencyi.

SALOMON. Pochlebia mi to niezmiernie, mości hrabio, zważywszy, że, jakom słyszał wielokrotnie, jesteś nie tylko najbardziej zapalonym demokratą, ale i największym arystokratą w Europie.

ALFIERI. Jakkolwiek sprzeczne niewątpliwie, na co kładzie nacisk twój uśmiech, pojęcia te nie wykluczają się tak całkowicie wzajem, jak to sobie wyobrażasz. Porozumiejmy się wprzód co do znaczenia słów, a dopiero potem rozprawiać będziemy o rzeczy. Demokratą jest każdy, kto pragnie należnego udziału ludu w sprawowaniu rządów, dania mu, jeśli chcesz, decydującego w nich głosu. Arystokrata rezygnuje w naszej dobie z czynne w nich roli. O ile jednak mąż wysokiego rodu, świadom jest swej godności i zachowuje uczucie niechęci do tych, co zagarnęli jego prawa — zważ go

wówczas ogólnie arystokratą. Różnica polega głównie na tem, że jeden kryje w sobie to, co drugi ujawnia na zewnątrz. Co się mnie tyczy, uchodzę w mniemaniu Florentyńczyków za arystokratę z racyi, że przestaję jedynie ze szczupłą garstką ludzi, poza tem zaś zmieniam koszulę i golę się nie tylko w dni uroczyste, czego zanedbują najbardziej nawet arystokratyczni z pośród ich spółobywateli, uważając zapewne podobną dbałość o siebie za całkiem zbędną. W duszy wszelako jestem republikaninem, o ile oczywiście wolno nazwać się nim samemu sobie, nie obrażając zasady skromności i rozwagi. Zdaje mi się, że złożyłem dowody tego republikanizmu w najbardziej znamienych mych dziełach, w Traktacie o tyranii i w Dyalogu z mymi przyjaciółmi w Sienie. Arystokratyczny pierwiastek mej istoty, jeśli nazwać go tak mamy koniecznie, trzyma tylko ode mnie zdala wszelkie plugawstwo. Nie mogę skądinąd doszukać się arystokratyzmu w potomstwie handlujących w kramnicach wydrwigroszy, ani nawet — w najpomysłniejszych już wypadkach — w synach wolnych obywateli, którzy przyjęli tytuły grafów i markizów od ujarzmiających ziemię ich despotów — Francuzów, Hiszpanów czy Niemców, księży czy mnichów. W Piemoncie sprawa przedstawia się inaczej; istniał tam zawsze z jednej strony tłum, z drugiej panowie. Kraj był wojenny, to też zachowaliśmy nad ludem tę

samą wyższość i przewagę, jakie znamionowały stosunek przodków naszych do żołdactwa.

SALOMON. Słyszałem wiele, mości grafie, o niwelatorach społecznych — lecz nie zetknąłem się z żadnym jeszcze. Gdy chodzi o sprowadzanie do wspólnego poziomu, każdy skłonny jest do pojmovania go w sensie ogólnego obniżenia — nigdy w przeciwnym znaczeniu. Co zaś do arystokracji, istnieje ona, mem zdaniem, jedynie w Wenecyi. Pojmuję ją wyłącznie jako wytwór samoukonstytuowania, posiadający przytem całkowitą niezależność. Tylko człowiek wolny, jest człowiekiem szlacheckiego stanu. Niewola, jak śmierć, niweluje wszystko i wszystkich. Najbliższą Wenecyi wydaje mi się Anglia; obywatele jej posiadają niezależność, brak im jednak owej rzeczy zasadniczej, jaką jest samoukonstytuowanie. Ale przebywałeś na jej gruncie, mości grafie, i lepiej ode mnie sądzić możesz o jej urządzeniach.

ALFIERI. W szeregach tych, co zajmują pośrednie miejsce, pomiędzy dziedziczną arystokracją i ludem, znaleźć tam można więcej mądrości i cnoty, niż we wszystkich wespół krajach Europy. Dostojna ich prostota ukształtowała się z pewnością w znacznej mierze pod wpływem prostoty ich religii i pełnego godności trybu życia ich monarchy,

który znajdować będzie zawsze licznych naśladowców. Jakiegokolwiek bowiem wady i zboczenia przypisać można obrządkowi i panującemu, musimy uznać niezaprzeczoną wyższość jednego i drugiego, nad wszystko, co nas otacza.

SALOMON. Każda młoda religia wspina się na ramiona swej poprzedniczki i upodabnia się jej wkrótce, wyszydając jej wybiegi, jej obłudę i starcze zniedołężnienie. Poprzedniczka tymczasem wre oburzeniem i zaprzecza wszelkiego związku i podobieństwa. Czy istniała kiedykolwiek religia, któraby nie była prawdziwą religią i czy zdarzyło ci się słyszeć o królu, któryby nie był najlepszym z królów?

ALFIERI. Odnośnie do panujących, bliższyśmy chyba osiągnięcia szczytu doskonałości; autorytet najpoczynniejszych przedstawicieli społeczeństwa: teologów, prezydentów trybunału i sędziów, ciała uniwersyteckiego, senatu i wszelkich korporacji stwierdza, że każdy monarcha góruje cnotami nad swym ojcem, którego „Bóg zabrał do swej chwały.“ Jeśli wzrastać w nie tak będą nadal, ziemia przestanie być godną niezadługo dźwigania ich na swej powierzchni. Dopiero w górnych sferach niebieskich, piętrzących się nad najwyższymi już spiętrzeniami, znajdą odpowiedni dla się przybytek. Do wszelkich przestarzałych nieużytków naszych dworów włoskich, do najwięcej trącających ruiną postaci, drzemających na karmazynowych poduszkach złoconych

foteli, na tle gwiazd, krzyżów i baranków — zbliżyć się trzeba jak do Artakserksesa lub do Domicyana. Zapewniają nas wszelako, że te automaty pełne są względności. Biedne, zaiste, mózgi, co głoszą to, nie rozumiejąc zgoła, że gdzie jest z jednej strony łaskawa pobłażliwość, musi być z drugiej spodlenie. To łotrowskie plemię wypaczyło mi fizyognomię. Szydercze wykrzywienie przyrosło mi do twarzy — Panie pokarz ich za to — i nie opuszcza jej wówczas nawet, gdy szepcę wyznania miłosne do ucha pochylonej ku mnie ukochanej.

SALOMON. Podobny skład umysłu czy temperament może wpłynąć ujemnie na twe dzieło.

ALFIERI. Nie na wszystkie jego rodzaje w każdym razie; sądzę, że satyra przynajmniej musi być przeciwnie lepszą w takich warunkach.

SALOMON. Wręcz inaczej się na to zapatruję. Satyra nie osiągnie nigdy bezwzględnej doskonałości, gdy krytyka w niej zawarta wypowiedziana jest w sposób gwałtowny i zgryźliwy. Uśmiech nie powinien znikać z niej dłużej jak na chwilę i to wówczas tylko, gdy chodzi o sformułowanie nauki moralnej. Juwenal nie jest bodaj satyrykiem w większym od Lukana stopniu: ma jędrną i zuchwałą elokwencyę, lecz ciska się nazbyt często i nazbyt obryzguje błotem. Nam Włochom brak wogóle subtelności w dowcipie; nie mamy wprost jej wyczucia. Wyobrażamy sobie,

że dajemy dowód słabości, ilekroć nie przybieramy postawy zaczepnej. Łatwiej jest bezsprzecznie naśladować krzyki Pulcinella, niż mistrzowskie ciosy Plauta lub złośliwe insynuacje Catullusa czy Flaccusa.

ALFIERI. Jesteśmy najmniej dowcipną, bo najwięcej płochą rasą.

SALOMON. Chceszli przekonać mię, że dowcip idzie musowo w parze z powagą; nie jest to zdanie wolne od sprzeczności.

ALFIERI. Chciałbym przekonać cię tylko, że drwinowanie, wykrętne gra słów i tym podobne koncepty, cechują ludzi czcnych, o powierzchownem uzdolnieniu, — że natomiast szczery humor i prawdziwy dowcip są płodami umysłu zdrowego i rozległego, a więc, tem samem już, kojarzącego krzepkość i powagę. Podobny gatunek humoru nie wyklucza pogardy: człowiek, nie odczuwający jej wobec wszelkich niegodności, zasługuje sam na nią; człowiek, traktujący próżność i nicość, jak rzecz istotnej doniosłości, jest człowiekiem słabym. Twierdzenie, że narody najwięcej skupione w sobie, a w nich niektóre z jednostek rys ten uwydatniających, przejawiały zawsze najwięcej humoru i dowcipu, wydać się może na pozór paradoksalnem, jest jednak na wskroś prawdziwem. Weźmy tylko Swift'a i Addison'a w Anglii, Cervantes'a w Hiszpanii. Rabelais i La Fontaine uchodzili wśród swych spółrodaków za marzycieli. Niewielu ludzi dorów-

nało Pascal'owi siłą skupionej powagi, niewielu miało więcej odeń dowcipu.

SALOMON. Nie było niewątpliwie nigdy rasy równie mało bojowniczej i zniewieścialej, równie obojętnej na kwestye godności narodowej i honoru osobistego, jak dzisiejsi Florentyńczycy. W dawniejszej jednak dobie, mieli jakowąś dumę, wyrosłą z pewnego podobieństwa formy ich rządów z rządem Aten, która budziła w nich i podniecała ożywcze pragnienie upodobnienia się do republiki greckiej, o ile tylko kroczenie jej śladem nie pociągało za sobą strat żadnych, ni innych dotkliwych następstw. Geniusz rozwijał się tu swobodnie, świadom, że nic nie grozi jego bezpieczeństwu, jak świadom był swej potęgi. Wyjrzyj przez okno. W tem domostwie na pochyłości zamieszkiwał Dante, tamten znów rozległy budynek kwadratowy był wraz z przylegającym do niego, a stworzonym przez sztukę ogrodem pierwszą widownię opowieści Decameronu. Stając na jednakiej pomiędzy nimi odległości, każdy wyrostek mógłby z łatwością powybić ze swej procy okna w obydwóch siedzibach. Śmiech mi, gdy próżni konstruktorzy nie mniej próżnych systemów chcą przekonywać nas, że klimat wpływa na przejawienie się Geniuszu. Klimat Austrii jest znacznie więcej umiarkowany i więcej jednostajny, niż nasz, nad który niema

właściwie, chyba zmienniejszego pod słońcem. W ciągu dwóch miesięcy zimowych, jak mogłeś przekonać się o tem, zasnuwają powietrze mgły ciężkie, przez pięć innych miesięcy dokucza żar straszliwy, ześrodkowujący się niejako w obrębie pagórków. Ale na całej przestrzeni Austrii, rozleglejszej kilka tysięcy razy nad obszar tego grodu, nie ukazał się nigdy mąż geniuszu, gdy ta jedna ulica wydała ich pięćdziesięciu.

ALFIERI. Od czasu upadku rzeczypospolitej, zawdzięczamy Florencji jednego tylko człowieka — Galileusza, którego oddała zresztą na pastwę wszelkich niegodziwości, jakie mógł wynaleźć despotyzm w połączeniu z fanatyzmem. Ludzie wielcy, ludzie niezwykli są jak kamienie, tworzące się w górnych warstwach atmosfery: gdy spadają na ziemię, czeka ich rozbicie i probiercza gardziel ognia. Poprzednik Newtona żył na pustyni świata moralnego, karmił się dzikim miodem i szarańczą i zapijał wodą tę strawę. Szczęście to jeszcze, że nie skrócono go o głowę: gdyby zażądał jej śpiewak, miast skoczka, uczynionoby niezawodnie zadość jego życzeniu.

SALOMON. Spełniło się właściwie — wszak otrząśniono owoc tego drzewa, by odrzucić go daleko. Wszak nie wolno było Galileuszowi opublikować najznakomitszych swych odkryć; wszak spalono po jego śmierci większość jego rękopisów.

ALFIERI. Słusznie mówisz, mości Solomonie, boć

głowa nasza, to przecie raczej płody naszego ducha, niż owa narośl na karku, którą dźwigamy, nie będąc istotnymi jej posiadaczami. W rzeczywistości mają ją we wspólnem rozporządzeniu golibroda i dentysta.

SALOMON. Gdy myśli nasze nie mogą zatrzymać się na chwili obecnej, wolno im przynajmniej wędrować swobodnie. Rozmiłowany w dawnej chwale mego grodu, zapominam chwilami o jago sromotnem poniżeniu. To miasto, tak szczupłe rozmiarami, że na wszystkich jego końcach dosłyszeć można głos dziewczyny, nawołującej na rynku do swego towaru, wyhodowało w ciągu trzech stuleci więcej ludzi jaśniejących blaskiem geniuszu, niż cały kontynent (z wyjątkiem bratnich mu Aten) przez lat sześć tysięcy. Nieznajomość greckiego nie pozwala mi budować porównań pomiędzy naszym Dantem i Homerem. Nie mogę ocenić zgoła zalet i siły wyrazu, ani harmonii wiersza wielkiego mistrza Grecyi. Dante jest nie tylko twórcą poematu; przyszło mu również tworzyć w znacznej mierze język. Choć też plan jego dzieła nazbyt jest fantastyczny, a dodam także nie ciekawy i nie pociągający, choć olbrzymia większość wyprowadzonych w niem postaci i szczegółów wydaje mi się pospolitą, mierną i błahą, choć wreszcie sam rodzaj wersyfikacji nuży niewątpliwie — więcej w niem jeszcze myśli wysoce poetycznych i więcej refleksyi, większa potęga w ujawnieniu naj-

szlachetniejszych władz ducha i intelektu, niż w całym dobytku francuskiej poezji i w całej twórczości innych krajów. Nie sądzę nawet, (mimo, iż nie mogę twierdzić tu nic z pewnością), by którykolwiek z dramatów Szekspira zawierał tyleż skarbów. Uśmiechaj się, jak tylko chcesz, mości grafie, co jednak można sądzić o grodzie, pomiędzy którego synami Michał Anioł, Frate Bartolomeo, Ghiberti (który ich ukształtował), Guicciardini, Machiavel stoją dopiero w drugim rzędzie? Bo w stosunku do Galileusza, Boccaccia i Dantego przynależą im takie tylko miejsce.

ALFIERI. Uśmiech mój wywołało wykwitające rzadko w duszy uczucie czystej szczęśliwości, z jednej bowiem strony interesują mnie nieprzeparcie i głębooko podobni tym ludzie, z drugiej ci, co umieją cenić ich należycie i wielbić godnie. Takich tylko poczytam za mych współobywateli — nie uznaję innych; z takimi tylko poczuwam się do wspólności szczepu i rodu; chylę przed nimi czoło, jak przed starszymi mymi poprzednikami, miłuję ich, jako lepszych ode mnie.

SALOMON. Ufajmy, że nasza Italia nie wyczerpała jeszcze swej żywotności. Niedawno dopiero zmarł Filangieri; co myślisz o nim?

ALFIERI. Gdyby wogóle zachodziła możliwość, bym ujrzał pomnik jego na placu publicznym w Konstantynopolu, ucałowałbym cokolwiek jego, choćbym miał ponieść za to karę, jako bałwochwalca. Że

jednak rzecz sama jest mniej prawdopodobna, niż np., bym ucierpiał za me pisma satyryczne, że z drugiej strony spekulacya łącniej poprowadzić mię może na błędne tory niż krytyka, powrócę więc do przedmiotu, który rozważaliśmy poprzednio. Oburzenie i pogarda mogą znaleźć wyraz w poematach innego jeszcze rodzaju, niż te, którym nadajemy miano satyry. Filicaia w swej słynnej odezwie do Italii kroczy pośrednią drogą.

— — — — —

Prawdziwie godna tego miana ocena krytyczna winna ujawnić, co w danem dziele jest złem lub dobrem, czemu niem jest i w jakim stopniu. Winna wykazać ponadto, w jakiej postaci i w jakim zakresie te same idee i refleksye występowały u innych pisarzy i czemu, o ile przybrane były w szatę poezyi, przy nieznacznych na pozór różnicach to, co u jednego autora nosiło wszystkie cechy przeciętności i miernoty, stawało się doskonałem pod piórem innego. Ani jeden z krytyków Florencyi, Pizy, Medyolanu czy Bolonii, rozpluwających się w zachwytach nad sonetem Cassiani'ego o porwaniu Prozerpiny, nie domyślał się nawet licznych i poważnych wad tego utworu.

— — — — —

Czyż nie jest to raczej opis dyabelskich postaci naszego karnawału, niż majestatycznego brata Jupitera, przy którego boku zasiada wpośród amarantów i asfodeli słodka Persephone, pogrążona

w zadumie i głębokim, nieruchomym wypoczynku, budzącym w śmiertelnych uczucie politowania, lecz miłym bogom, — niż obraz tego również, co w przestworzach olimpijskich widzi przed sobą zebrane wspólnie zastępy cudnych istot, które rozłączone były na ziemi — Helenę i Eryphile, Polyksenę i Hermionę, Deidamię i Dejanirę, Ledę i Omfalię, Atalantę i Cydype, Laodamię, otaczającą ramieniem szyję pięknego młodzieńca, jak gdyby w nieustającej obawie jego utraty — a na uboczu od innych, córę Nioby, zawisłe u jej łona.

SALOMON. Czyż podobne obrazy nie lepsze są nad satyrę? Co się ciebie jednak tyczy, wołałbym nadewszystko, byś wytrwał w szlachetnej dziedzinie twórczej, w którą wkroczyłeś, zaniechując innych prób i zamiarów. Zadowol się, mości hrabio, sławą pierwszego wielkiego poety dramatycznego Italii nie szukaj glorii pośledniejszej miary. Czemu jątrzysz się wciąż i wzbierasz żółcią przeciw Francyi i Francuzom? Brzęczą i dokuczają nieznośnie, wysypawszy się z ula, lecz niezadługo zamknie ich w nim z powrotem ręka pana i władcy. Czy cała ta nacya wartą jest najgorszej z twych tragedyi? Zejdzie do grobu dzisiejsze jej pokolenie, zejdą wszyscy, co niecą w tobie płomień gniewu, podczas gdy starzy i młodzi sypać będą oklaski lub bić się w piersi, słuchając twego *Bruto Primo*. Pamiętaj również, że królowie i cesarze

nie powinni ważyć więcej w twym o nich sądzie, niż żuki i szarańcza polna. Pozwól im uszczknąć tu i ówdzie twego ziela, nie molestując ich za to i nie pobudzając do skradania się ku tobie i wpijania w cię szponów. Dzieli ich od ludzi geniuszu przestrzeń, równa prawie odległości, dzielącej geniusz od owych wyższych tworów, którym Wszchemocny dyktuje bezpośrednio ich czyny. Tak jest, śmiem twierdzić, obcy wszelkiemu pochlebstwu, że aniołowie nie wynieśli się wyżej nad tłum śmiertelnych, niż ty nad najpyszniejszych z ludzi, depczących tłum ten swą stopą.

ALFIERI. Zdaje mi się, że pierwszy z pośród wszystkich, wyraziłeś sąd pochlebny o mych tragediach.

SALOMON. Ten, co odkrywa wcześniej od innych zalety pięknego dzieła, najbliższy jest zasługą autorowi.

ALFIERI. Wiem, jakie miejsce przynależne mi, jako pisarzowi i jako człowiekowi i gdybym znalazł pięciu ludzi równej mi miary, wyszedłbym ze świata, gdzie byłoby mi już zbyt ciasno.

Ale muszę pożegnać się teraz, mości Salomonie, gdyż jego Eminencya, mój stangret i ich Ekscellencye, moje konie, czekają od dawna.

Dyogenes i Platon.

DYOGENES. Stój! Stój! Przybliż się nieco. Czemuż to spoglądasz na mnie tak pogardliwie i z ukosa?

PLATON. Puść mię! Czy słyszysz? Chcę i zdecydowanym podążyć dalej.

DYOGENES. Nie uczynisz tego, jako żywo, lub pozostawisz za sobą co najmniej trzy łokcie milezyjskiego sukna, klnę się na Jowisza i mą beczkę. Kędyż to tak spieszysz?

PLATON. Nie obowiązany chyba spowiadać ci się z tego.

DYOGENES. W czym interesie? Odpowiedz mi wyraźnie.

PLATON. W moim własnym.

DYOGENES. Zatrzymam cię tedy na chwilę. O ileby chodziło o cudze sprawy, mogłoby to być przykrem dla dobrego obywatela, choć nie byłoby niem dla dobrego filozofa.

PLATON. Nie jestem nim w twem mniemaniu, względ ten nie może więc stanąć ci na przeszkodzie do puszczenia mię teraz.

DYOGENES. Nie, nie jesteś istotnie, na ojca mego Jowisza.

PLATON. Twego ojca?

DYOGENES. Czemużby nie, pytam? Ty, w każdym razie, miałbyś mniej, niż ktokolwiek prawa, powątpiewać o tem. Zali nie ogłosiłeś za niesłuszne odmawiania wiary tym, co nas zapewniają, że poczęci są przez bogów, mimo, iż twierdzenia ich — (tak brzmią twe słowa) — nie popierają racye rozumowe ni prawdopodobieństwo? Zachodzi ono może jeszcze raczej w stosunku do mnie, niż wobec ludzi, z którymi przebywasz najchętniej, a którzy obwieszczają na wsze strony boskość swego pochodzenia. Sama ilość współzawodników wyklucza możliwość rzeczy.

PLATON. Ci, którzy występują przeciw wielkości, czynią to zazwyczaj nie z przekonania moralnego a z zawiści.

DYOGENES. Dostrzegasz tu przebłysk prawdy, że jednak pokazałeś mi już swą ignorancję, próbując określić, czem jest właściwie człowiek, nie przypuszczam więc, bym mógł dowiedzieć się od ciebie, kogo należy uważać za wielkiego człowieka?

PLATON. Nie wątpię, że twe doświadczenie zechce udzielić mi pod tym względem pożądaných wskázówek.

DYOGENES. Słuchaj tedy i staraj się zapamiętać. Wielkim jest, kto nie lęka się niczego i niczego nie spodziewa od swych spółbliźnich. Kto, wykazując błędy i zboczenia praw nami rządzących

i będąc zdolnym do ich przetworzenia, ulega im posłusznie. Kto umie dostrzedz w człowieku ambitnym słabość skojarzoną ze złą wiarą. Kto nie jest skłonny z natury do żadnych omamień i nie ma racyi podawania się za to, czem nie jest istotnie. Kto może zgromadzić naokół siebie, ilekroć tylko zechce, najwytworniejsze grono.

PLATON. Wybacz, że ci przerywam. Gdyś zaczął mówić, sądziłem, że masz na myśli samego siebie, jak większość ludzi, pragnących pokazać swym spółbliźnim wyobrażenie doskonałości, widzę jednak teraz, że ktoś inny był ci wzorem.

DYOGENES. Wdzięcznym ci za przyznanie mi zalet, które posiadam może, lecz których nie przypisywałem sobie dotąd, nie zastanawiając się bliżej nad tą rzeczą. Zdarza się podobnie nieraz innym posesorom. Właściwie jednak mówiąc, ostatecznie z mych określeń stosuje się do mnie równie dobrze jak poprzednie.

PLATON. Możesz zgromadzić naokół siebie najwykwintniejsze grono, ciągnąc ludzi przemocą, jakoś uczynił ze mną, nie wiem atoli, czy udałooby ci się dopiąć tego w inny sposób.

DYOGENES. Niezawodnymi towarzyszami są mi myśli moje; mogę przywoływać je na pamięć i dokonywać w nich wyboru, zachowywać jedne, odrzucać inne. Nie jest to w mocy ludzi głupich i przewrotnych, których myśli rozproszone i zawadne stąd tylko w gruncie — nacechowane są

zamgleniem i chwiejnością. Najgorsze przylegają do nich najdłużej; niektóre z nich zaadoptowali własnowolnie, większość z potrzeby; płaczą się przy nich nikłe pragnienia, czasem też próżne wyrzuty sumienia.

PLATON. Uważasz więc, o Dyogenesie, że niema żadnej wielkości w pouczeniu innych, jakie rządy najlepszymi są dla krajów i społeczeństw, jak przechować można największą czystość obyczajów i ustalić władzę na najbardziej krzepkich podstawach?

DYOGENES. *Pewna* wielkość nie stanowi jeszcze wielkiego człowieka. Radbym jednak, w każdym razie poznać tego, co dokonał wszystkich rzeczy, wyszczególnionych przez cię w tej chwili. Musi to być niestrudzony podróżnik, którego stopa dotarła do wszystkich zakątków ziemi — najstarszy poza tem z tworów ją zaludniających.

PLATON. Skądże te wnioski?

DYOGENES. Bo człowiek taki znać musi dokładnie klimat, naturę gruntu, położenie kraju i wszelkie właściwości każdej rasy, podobnie jak sprzymierzeńców jej i wrogów. Człowiek taki powinien umieć określić rozmiary obszarów uprawnych i pastwisk, gór i lasów, zbadać porty i wybrzeża, znać stopień ich zarybienia, wiedzieć nawet, jakie wiatry dmą przeważnie w danych miejscowościach. Od tychto przyczyn, łącznie z pewnemi innymi, zależą krzepkość ciała, wysokość zaludnienia, za-

możność kraju, potrzeby jego mieszkańców, ich charakter i cechy ogólne.

PLATON. Poziome masz myśli.

DYOGENES. Ptak mądrości szybuje nisko i szuka pożywienia wzdłuż płotów i ogrodzeń; sam orzeł zdechłby z głodu, gdyby wlatywał wciąż ku wyżynom i słońcu. Najśłodszy owoc wyrasta przy ziemi, a krzew, co go wydaje, domaga się skopywania pod nim gruntu i przycinania łodyg. Gdyby w ogrodzie twym zaniedbano tych starań — sieć pędów i odnóg, gałązek i korzeni, zasnułaby wnet ścieżki i aleje, wzięła w posiadanie każdy szpaler i zakątek. Do sprawowania rządów nad nami, nie trzeba nam poetów, logików i metafizyków — lecz ludzi praktycznych, ludzi prawych i dyskretnych, nie ubiegających się o urzędy, przyjmujących je po długim wahaniu i zdecydowanych niezłomnie nie zawieść nigdy położonego w nich zaufania. Eksperymentalisci mogą być najlepszymi filozofami, lecz są najgorszymi politykami. Pouczajcie społeczeństwa o ich obowiązkach, a same wiedzieć będą, na czym polega dobrze zrozumiany ich interes. Zmieniajcie jak najmniej rzeczy, starajcie się poprawiać jak najwięcej.

Filozofów pozbawia sensu wiele bardzo racyi, przedewszystkiem jednak ich nieogłędność w ustanawianiu cech znamienych i kategorii. Prawią nam o czterech cnotach: odwadze, mądrości, umiarkowaniu i sprawiedliwości. Lecz człowiek podej-

rzanej bardzo moralności może kojarzyć w sobie trzy z tych cnót czterech. Rzezimieszek, posiadający płodne doświadczenie, ma z pewnością nieraz więcej odwagi i przezornej mądrości, niż najuczciwszy z ludzi. A ilużto, okrutnych zgoła nikczemników, zarówno między sędziami jak wykonawcami, trzymało się ściśle litery prawa! I co ważyły dla tych ludzi szlachetność, wspinałomyślność, geniusz — wszystko, co wyrok ich usuwał ze świata! Umiarkowanie i świadczenie dobra streszczają w sobie wszystkie inne cnoty. Zajmij się niemi, Platonie, tłómacz je i komentuj, buduj swe podziały, czyń z niemi, co zechcesz, o ile tylko praktykujesz je wogóle.

Nim przyszło do tego, bym dał ci tę lekcję, więcej wartą nad wszystkie, jakie wygłosiłeś kiedykolwiek i utrwalającą się łatwiej w pamięci — oskarżałeś mię o przewrotność charakteru i złośliwość wobec ludzi, których poczytasz za wielkich, mając na myśli, gdy używasz tego określenia, potęgę i władzę. Wiem dobrze, że wyobraźnia twa uleciała ku Sycylii, kędy szukasz swego wielkiego człowieka, z siłą przekonania i zapalem, z jakim Ceres szukała Persefony. Uspokój się, zacny Platonie! Nie mam żadnej racji zazdroszczenia czegoś twemu godnemu przyjacielowi Dyonizyzusowi. Spójrz na mój nos. Jakiś malec siedmio-, czy ośmioletni rzucił we mnie wczoraj jabłkiem, gdy śledziłem wzrokiem biegnący po niebie obłok

i obdarzył mię nosem, który wystarczyłby na potrzeby dwóch zwykłych śmiertelników. Ale co mógłbym pomyśleć o stosunku do mnie fortuny, gdyby, po spędzeniu długich lat żywota wpośród złotych naczyń, sadzonych szmaragdami i rubinami, zdobnych w rzeźby i ornamenty snycerskie i więcej chropowatych stąd, niż ma ręka, — wpośród marmurowych karyatyd i sfinksów z porfiru, wpośród przybranych w lniane tkaniny filozofów, z pierścieniami na palcach, wpośród młodziutkich śpiewaków i tańczących dziewcząt — jedynych istot, do których, ty Platonie, przemawiasz zrozumiałym językiem — co mógłbym pomyśleć o względach fortuny, powiedz mi, pytam raz jeszcze, gdyby, zamiast daru, jaki zesłali mi bogowie, spotkało mię, po całym tym przepychu i obfitości nadmiernej wszech rzeczy, wyrugowanie z mego domostwa i to nie przez jednego małoletniego psotnika, lecz za wspólną akcją tysięcy ludzi wszelkiego stanu i wieku, używających jako broni, nie zwyczajnego jabłka (pragnąłbym móżdż powiedzieć, że było zgniłe), lecz kamieni i potłuczonych garnczków, gdyby wreszcie na domiar, wieńcząc me zasługi, zmuszono mię do kształcenia i pouczenia tych tak obiecujących pokoleń! Tak, zaiste, wielcy ludzie! Wiesz chyba wkońcu, co o nich trzymać.

PLATON. Istnieją wielcy ludzie różnych kategorii.

DYOGENES. Nie, na mą brodę, mylisz się Platonie.

PLATON. Jakto! zaliż niema wielkich wodzów, wielkich matematyków i wielkich dyalektyków?

DYOGENES. Któż temu przeczy? Ale przyjęliśmy za postulat wielkiego człowieka. Może spróbujesz teraz określić mocnego?

PLATON. Patrząc na czynne przejawy mocy, dziecko nawet może wskazać bez wahania na ludzi, posiadających ją w większym lub mniejszym stopniu, stanowi ona bowiem wogóle rzecz względną. Słabiśmy, nie tylko wobec Demiurga lecz również w porównaniu do ziemi i morza i różnych tworów tu i tam żyjących — słonia np. lub wieloryba. Wszystko, co nas otacza, jest tak pogodne i spokojne, że z tudem przywołać możemy na myśl obrazy siły — otchłanie i przepaści....

DYOGENES. Dość tej próżnej gadaniny i błyskotliwych popisów języka, uwijającego się, niby język węża, wpośród krzepkiej i bujnej obfitości rzeczy. Czyż nigdy nie zawitała w twym mózgu refleksya, że otchłanie i przepaści nie budziłyby w nas takich jak obecnie zachwyków, gdybyśmy mieli nieco więcej zastanowienia a mniej egoizmu i interesowności, mniej niską duszę! Nie będę jednak zatrzymywał cię tu długo, krocysz bowiem swą drogą całkiem konsekwentnie. Jak twoi wielcy ludzie są jedynie ludźmi walki orężnej lub wszelkich rodzajów sporu i dysputy, tak potężne twory, które widzisz na ziemi i w głębiach wodnych — są przedewszystkiem ciężkimi i zawadnemi bestyami.

Nie byłeś zdolnym dostrzedz najistotniejszej wielkości wśród twych spółbliźnich, nie możesz dojrzeć prawdziwej mocy w naturze. Czy czujesz, jak słodkiem jest tchnienie powietrza?

PLATON. Nie odczuwam w niem nic szczególnego w tej chwili.

DYOGENES. To powietrze, którego słodycz tak jest dla cię nieuchwytną, zawiera pierwiastki nierównie większej mocy, niż wszystko, co oddycha niem i w niem żyje, niż dęby lasu, które wyrastają w jednej epoce za jego działaniem i walą się w następnej, niż wszystkie monstra morza i niż samo ono morze, co pod jego również wpływem, ciska w górę kłęby piany i rozbija się o skały, wzdłuż swych wybrzeży, z jednego krańca po drugi. To powietrze niesie na swem łonie w spokoju niezmaconym niezmierzone oceany i zaludnioną ziemię, jak unosiłoby atom bezważkiego puchu.

Zgiełk świata i jego próżne mamidla przejmują podziwem tłumy i podniecają zapal mówcy, entuzjazm poety, badawczość historyka, dostarczają karmu kontemplacyi filozofa. A jednak pomyśl, jak to wszystko rozplywa się w ciszy i traci formę dostrzegalną w głębiach powietrznych. I nie w dalekich bynajmniej głębiach i samotniach. Ot, na wysokości, kędy sięgnie lot jaskółki w chwilę krótszą niż trzeba na wygłoszenie krótkiej jak ta sentencji.

Czem są kopalnie ziemi i jej góry? Napływ

wód, prących od wewnątrz, zespajał wspólnie fragmenty czy też je rozsadzał, przetwarzał je w osad błotniste czy też w pokłady złomów. Potem przyszedł ogień, wybuchając tu i ówdzie, szarpiąc i okaleczając jeszcze okaleczoną już powłokę — ogień, którego groźny pomruk dotąd nie ustaje.

Czem są wszystkie grody ziemi, czem wszelkie sańce i tamy, czem monumenty? Częstkami fragmentu, które jeden człowiek nagromadza, by zburzył je drugi. Tu widzimy twych wielkich ludzi przy warsztacie pracy. Pokaż mi jeśli możesz, w całym przebiegu dziejów trzech wielkich wodzów lub mężów stanu, którzy postępowaliby lepiej i inaczej, niż psotne i przekorne dzieci.

PLATON. Będę szukał ich w historii, gdy odkryję poprzednio takąż ich ilość wpośród poetów i filozofów. Człowiek przezorny rozgląda się po własnym ogrodzie, upatrując pożądaną roślinę, zanim zwróci wejrzenie w stronę w Kenkrei lub Keramikosu.

Wracając do twych uwag o potędze powietrza, nie jestem nieświadom jej, ani o niej zapominam. Mogę chyba bez żadnej obawy wyluszczyć ci swą opinię: w pojęciu wczesnych odkrywców i rozdawców mądrości, (z której pozostały dziś wpośród nas ruiny i szczątki, przeinaczone w części, w części zaś ukryte pod alegorią teologiczną) — Jupiter miał wyobrażać powietrze w stanie ruchu, Juno — w stanie spoczynku. Będąc stąd wielkimi

czynnikami życia, uzyskali zwierzchnie władztwo w krainie bogów. Jupiter rozkazuje chmurom i gromadzi je, według Homera; Juno ujmuje je w swe dłonie, by zesłać deszcz na roślinność i wszelki twór żyjący.

Mówię to oczywiście, Dyogenesie, w całym zaufaniu.

DYOGENES. Możesz obniżyć równie śmiało bogów w mej obecności, jak mógłbyś obniżyć ludzi wobec Tymona.

PLATON. Nie chciałem ich obniżyć, lecz przeciwnie wynieść tylko.

DYOGENES. Coraz mniej rozwagi i coraz więcej zarozumienia.

PLATON. Upewniam cię, o Synopejczyku, że celem moim jest prawda.

DYOGENES. Nie mogę poprowadzić cię tam, gdzie z wszelką pewnością znalazłbyś ją zawsze, powiem ci wszelako, na czym polega jej istota. Prawda jest niby ostrze najcieńsze i najsubtelniejsze, a twardsze od dyamentu, ostrze, którego nic nie zdoła złamać ni zużyć, nic przytępić. Ono natomiast — i to jest jedyną przykrą stroną rzeczy — rani każdego, co zetknie się z niem bezpośrednio i zabrać może krew życia tym, co naciskają je zbyt silnie. Ale porzućmy tę wążką ścieżkę, obrosłą cykuta i dążmy dalej, poprzez wiatr i kurzawę ku w i e l k i e m u człowiekowi i człowiekowi m o c n e m u. Nazwę mocnym tego, co umie

dziwego filozofa, któryby umiał zastosować jego sposób argumentacji, kroczył śladem jego wskazaniom i kierował się w życiu jego wskazaniem; jednego choć, coby próbował ujarzmić złe namiętności i poskramiać rozluźnienie, coby chciał powstrzymać się od kalumnii i kręactwa, coby poświęcił żywot swój sławie i wielkości swej ziemi, lub nawet — co jest łatwiejszem a może i mądrzejszem również — dążył do zdobycia uzasadnionego istotnie osobistego zadowolenia i zasłużonego spokoju. Najlepszy z pośród nich, Ksenofont, składał ofiary bogom, wierzył w wyrocznie, zwracał się do wróżbitów, bladł na widok sojki i rozchorowywał się na widok sroki.

PLATON. Nie brak mu było w każdym razie odwagi.

DYOGENES. Odwagi tak szczególnego gatunku, że gotów był, o ile sojka lub sroka nie nasunęły mu się na oczy i nie stanęły na przeszkodzie — walczyć za Spartan lub Persów. Platon, którego cenisz znacznie więcej, a znasz mniej nieco, przywiązuje równie mało wagi, jak Dyogenes, do wróżb i przepowiedni. Nie mógłbym powiedzieć, co uczyniłby dla Persów, ale jestem pewien, że nie walczyłby za Spartan, tak jak nie biłby się za własnego ojca. Płonie atoli śmiertelną nienawiścią dla każdego, kogo Muzy darzą większą nad niego przychylnością, kto odziany odeń wytworniej i ma prawo do bliższego miejsca u boku faworyta tego

jąc go stale. Powinieneś mię uściskać: przemówiłem teraz na twój zupełnie sposób. Z racji, że wygłaszasz rzeczy najbardziej złośliwe z niezmacną pogodą, wierzysz w swą szczerłość i sądzisz, że ją praktykujesz.

PLATON. Ludzie, nie dający folgi swym uprzedzeniom i urazom, unikają niewątpliwie łacniej błędzeń, niż natury namiętne i chmurne.

DYOGENES. Mogliby unikać, gdyby chcieli. Ale człek umiarkowany nie jest zazwyczaj szczerzym od innych, ta sama bowiem przezorność, która dyktuje mu jego umiarkowanie, skłania go do wystrzegania się wszystkiego, co mogłoby narazić go komukolwiek. Brak mu śmiałości — nawet wobec fortuny i powodzeń — nie umie ryzykować. Szczerłość nie nagromadza się właściwie nigdy i nigdzie. Trzeba zbierać skrzętnie, gdziekolwiek je znajdziemy, nieliczne jej ziarna, a najlepsza pora ku temu — to chwile, przychodzące po nawałnicy, zrywającej tamy, burzącej wały i znoszącej słupy graniczne. Ludzie będą zawsze kryli coś z siebie, dopiero wstrząśnienie wydobywa na powierzchnię najgłębsze, najpoważniejsze i najczystsze pierwiastki ich istoty.

PLATON. Wstrząsając więc i poruszając w sobie wszystko, czem wstrząsnąć trzeba było w danej okoliczności, należało ci udowodnić, Dyogenesie, kiedy i w jaki sposób przypisałem Sokratesowi mniej przenikliwości i elokwencji, niż posiadał

w rzeczywistości, — należało również zastanowić się nad trudnością znalezienia nowych myśli i nowych określeń dla przedstawienia tych, co uposażeni byli w jednym i drugim kierunku hojniej nad wszystkich śmiertelnych i pokazać ich w całym ich blasku duchowym i w całym majestacie ich geniuszu. Nie twierdzę, żem dokonał tego, lecz powiedz mi, komu przyznasz, że zdołał to zdziałać, jeśli mnie wykluczysz? Kto uskutecznił więcej nade mnie w tym kierunku? Ten, co bez załamania linii ich postaci, wyprowadził w swych dyalogach Sokratesa, Solona czy Dyogenesa — przedstawia nierównie bliższą im siłę intelektualną, niż ktokolwiek inny w stosunku do niego.

DYOGENES. Zostaw w spokoju Dyogenesa, Sokratesa i Solona. Żaden z nich nie tracił czasu na barwienie i odświeżanie przyblakłych piór sprostytutowanej filozofii, ani poczytał za godne swej uwagi, trosk swych i zabiegów rzeczy, nie przyczyniających się w niczem do powiększenia dzielności człowieka i jego niezależności. Ale żądasz także, bym wyjaśnił ci, kiedy i w jaki sposób pokazałeś mistrza swego w błędnem świetle; z drugiej strony zdajesz się przypisywać jednaką doniosłość rozumowaniu i elokwencyi. Poświęcę ci tedy chwilę w każdej z tych kwestyi. Powiedz mi przede wszystkim, czy orzeczenie, że nie przystoi upijać się, j a k t y l k o podczas uroczystości na cześć Baccusa — jest jednym z aksjomatów sokratycznych.

PLATON. Bachus był odkrywcą wina i jego użytku.

DYOGENES. Czy pijaństwo jest jedną z form tego użytku, czy też odkryciem dokonaniem przez boga?

Jeśli Pallas lub Jupiter dali nam rozum, słuszniejszym byłoby znacznie, byśmy składali go im w ofierze. Bachusowi należy się libacja winna, z racji, że jako głosisz to właśnie, wino jest jego darem.

A teraz drugie pytanie w sprawie nierównie ważniejszej.

Czy Sokrates uczył cię, że „niewolników należy karać chłostą, nie zaś ograniczać się do udzielania im napomnień i nagany, jak gdyby byli dziećmi swego pana“?

PLATON. Nie mówił wogóle o sposobach rządzenia.

DYOGENES. Ale mówił o zasadach ludzkości, na których oparte są wszelkie rządy; tylko uzurpacya nie liczy się z niemi.

PLATON. Więc niewolników nie trzeba nigdy chłostać, choćby popełnili najcięższe przestępstwo?

DYOGENES. Żadne ich grzechy i wykroczenia nie dorównają winie człowieka, który zamienił ich w istoty niewolne.

PLATON. Nawet gdy niewolnik zamorduje całą jego rodzinę?

DYOGENES. Lub zatruje wodę w studni publicznej? Ale nie zastanowiłem się, co mówię i do kogo! Wszak ta straszliwa zbrodnia, nieustępująca niemal w okropności ojcobójstwu, waży mniej w twem

mniemaniu, niż ukradzenie figi czy winnego grona. Człowieka, który przyswoił sobie jedno czy drugie, czeka chłosta; trucicielowi nakażesz oczyścić wodozbiór. Muszę jednak oddać ci sprawiedliwość: istnieje pewien rodzaj zatrucia, który dostrzegasz w całej jego grozie i za którego dokonanie nałożyłbyś kapitalną karę na tak nietykalne nawet postacie, jak wróżbita lub ofiarnik. Surowość tę okazujesz mianowicie wobec zatrucia przez zakłęcie. Niechaj, wskutek wrzucenia do studni wiązki błekotu, zginę w mękach agonii, ja wraz z całą moją rodziną, niechaj zginie gród i rasa. Niewielkie zaiste nieszczęście! Lecz gdy jakiś obłąkaniec postawi w pobliżu ognia wyobrażenie moje, ulepione z wosku i pocznie dmuchać na nie i wyskakiwać przed niem, mrużyć, modlić się i wznosić hymn do Hekaty, błagając ją, gdy wosk mięknąć zaczyna, bym stopniał równie jak on łatwo — rzucisz się wnet ku niemu, w swym świętem poczuciu sprawieliwości, by zdusić go przy pierwszych dźwiękach jego psalmodji.

PLATON. Jeśli to jest niedorzecznością, mógłbyśli znaleźć inną jeszcze?

DYOGENES. Gdy zabrałem się do czytania twojej książki, wydało mi się pierwotnie, że nie pisałeś jej chyba w poważnej intencji, lecz raczej z zamiarem skrytykowania i ośmieszenia tych bezładnych mózgów, które zwykły mieszać się natrętnie do spraw cudzych. Dopiero wobec zapew-

nień twych przyjaciół, uwierzyłem, żeś nie miał na myśli podobnego żartu. Co się tyczy twego pytania — powiem ci tylko, że wylawianie absurdów z całego zespołu rzeczy, przeczących sobie wzajem i pozbawionych wszelkiej słuszności — byłoby zgoła bezpłodnem; mógłbym atoli dorzucać do tej masy jeden za drugim, czerpiąc je z kolejnych stron onej książki. Dwa krzyczące, jawne fałsze szczerzą na siebie wzajem dzioby, jak żaby na wiosnę. Mówisz, że żadna kara, nakazana przez prawo, nie może przyczynić się do wytworzenia zła. Jakto! nawet kara nadmierna? nawet stronna? Pocóż znosić w takim razie te czy owe ustawy, gdy istnieją nadal racye krytyki i nagany? W więzieniu człowiek, który popełnił wykroczenie małej wagi, zamknięty jest wespół ze zbrodniarzem, — niedoświadczony jeszcze w praktyce zła, wespół z zatwardziałym przestępcą. Jestto już częścią kary, poprzedzającą wyrok i wymierzaną niejednokrotnie ludziom, których sąd uniewinnia w następstwie: dopuszczając podobne rzeczy, prawo dźwiga odpowiedzialność za nie.

Drugi fałsz to twierdzenie, że ktokolwiek ukarany jest przez prawo, staje się stąd lepszym, lub w każdym razie mniej wyuzdanym w zepsuciu. Byćli to może, jeśli przed wydaniem nań wyroku przebywał w pośród najgorszych mętów społecznych, w otoczeniu, w którym pocieszano go, zabijając w nim poczucie wstydu i odejmując mu

lęk przed karą? Wiele praw czyni nas złymi równie niewątpliwie, jak niewątpliwem jest, że złość ludzka stworzyła praw wiele. Przy systemie przez cię głoszonym prawo bierze nas w swą pieczę od łona karmicielki, miesza nam strawę w misce i zdziera pościel z łoża, każe czuwać, gdy chcielibyśmy wypocząć, a spać, gdy chcemy czuwać i nie przestaje targać nami na wsze strony i wglądać w nasze istnienie, pokąd nie dopłyniemy wreszcie do portu śmierci. Nie możemy zrobić nic bezkarnie, (jak chyba tylko stać się ofiarą zatrucia). Najprzykrzejszym jest jednak w całej tej sprawie przymus małżeństwa, zwłaszcza gdy chodzi o istoty upośledzone przez naturę, powykręcane na wsze strony, bezzębne czy krostowate, o łzawiących i zaropiałych oczach lub włosach (jeśli wogóle posiadają włosy), zaćmiewających najbardziej płomienną pochodnię Hymenu, o skórze wreszcie, której barwa i pofałdowanie przewyższają odnośnie zalety najwięcej okazałej z szafrańowych szat jego. Na myśl o tem, przyjacielu Platonie, nawet ty, mimo niezłomne postanowienie nienarazania się na żadne niebezpieczeństwo, poczynasz krzywić się i kręcić nosem. Przyjdzie ci wyrzucić z siebie cały zapas odpowiednich sentencji moralnych, by wygładzić zmarszczki, co na twarz wnet wystąpiły. Z Hymenem, co prawda, nie utrzymujesz stosunków. Wiemy, jakimi wysubtelnieniami miłości chciałbyś karmić krzepki ape-

tyt herosów i wybredne gusta filozofów. Herosi jak bogowie, muszą kroczyć własną drogą, tobie jednak i twemu bractwu nie pozwoliłbym dostać się do pożądaných łakoci, choćby ślina ciekła wam do ust na ich widok. Mówię poważnie Platonie: ty, który nosisz kryte haftami ciżmy, powinieneś unikać bacznie stąpania po błocie.

Filozofowi przystoi nietylko prowadzić żywot najprostszyc, lecz posługiwać się również najprostszym językiem. Poeci, używając słów wspaniałych i dźwięcznych, uczą filozofii tem łacniej, iż obalają w taki sposób przypuszczenie, by najdoskonalsza poezya zawierać miała w sobie najdoskonalszą filozofię i nieść nam jej naukę. Nie pozwalasz nikomu zachować właściwego mu miejsca. Zestawiałbyś Solona z Homerem. A jest to rzetelnym absurdem. Za jedyne podobieństwo między nimi poczytać można wielką ich mądrość. Pindar również dostraja nawet kadencye swych dytyrambów do dźwięków fletni Rozumu... Twój głos, Platonie, z drugiej strony, rozsadziłby mą beczkę, zawierającą stokroć więcej mądrości, niż cała twa postać.

PLATON. Żegnaj mi, Dyogenesie.

DYOGENES. Zdaje mi się, żeś zbierał wszędy potrosze, podczas licznych podróży, swe pomysły

i fantazyje i czynił je uboższymi jeszcze i niklejszymi, niż były w rzeczywistości, wtłaczając je w swe skrytki. To, co napisałeś o nieśmiertelności duszy, skierowane jest raczej ku udowodnieniu nieśmiertelności ciała i stosuje się równie dobrze do węgorka i łasicy, jak do szlachetniejszej powłoki ziemskiej Agatona czy Astera. Czemu nie stworzyć od razu nowej religii, gdy wiadomo, że samo trwanie każdej z nich i sympatyje, jakie wzbudza, zależne są od stopnia zaprawienia jej solą niedorzeczności wewnątrz i na zewnątrz? Wielka bryła tej soli musi stanowić poza tem jej jądro środkowe. Filozofia natomiast niszczy i obumiera, o ile uchyla od swych ust wodę kryniczną. Gdy Pherecydes i Pythagoras poczuli w sobie majestat kontemplacji — jeden i drugi odrzucił jednakowo myśl, by zrodzić ją mogły krew, ciało i kości i by ten pierwiastek naszej istoty, który obejmuje zrozumieniem przeszłość i sięga w przyszłość, miał zgasnąć w jednej chwili i uleść niepowrotnie unicestwieniu. — „Nie — zaprotestowali zgodnie — władza myślenia nie przynależy tak samo mózgowi, jak nie przynależy włosom na przykład, mimo, iż mózg stanowić może instrument jego i narzędzie. Nie jest ta władza rzeczczą materialną — i nie jest z tego świata: istnieniem jej wieczność, a nieskończoność miejscem, kędy przebywa“. Wstrzymuję się od roztrząsania racjonalności ich opinii i przechodzę wprost do

twoich, choć nie wiem, czy mogę uważać za jedno opinię i doktrynę.

PLATON. Jak ci się podoba.

DYOGENES. Winienbym tedy traktować raczej te rzeczy jako ornamenty, podobne lirom i harfom, którymi wielu ludzi zdobi swe mieszkania, by spoglądać na nie z łoża z uczuciem dość obojętnego w gruncie zadowolenia, podczas gdy goście ich darzą je podziwem i wydobywają z nich tony.

PLATON. Nie przewiduję zgoła, w jaki sposób mógłbyś zbijać argumenty o nieśmiertelności duszy, zawarte w najlepszym z mych dyalogów. Przyjaciele moi zwracają się do mnie tak często w tej kwestyi, że zwykłem nosić go ze sobą.

DYOGENES. Masz go przy sobie nawet obecnie?

PLATON. Jakem ci to powiedział.

DYOGENES. Daj mi więc właściwe ustępy, bym je przejrzał.

PLATON. Jak najchętniej.

DYOGENES. Przyjdźcie mi z pomocą, Hermesie i Pallado! Gdy starczyłby mi jeden łokieć, wyciągasz całe plethrony.

PLATON. Oto miejsce, o które ci chodzi.

DYOGENES. Przeczytaj mi je.

PLATON. (Czyta): „Czy nie mówiłeś, że śmierć jest przeciwstawieniem życia i że jedno i drugie rodzą się z siebie wzajem? T a k j e s t , m ó w i ł e m t o . C o więc wyrasta z życia? Ś m i e r ć . A co ze śmierci?

Ż y w o t. Wszystkie tedy twory żyjące pochodzą z tego, co zmarło“.

DYOGENES. POCO to powtarzanie? Ale czytaj dalej.

PLATON. „Dusze istnieją więc po śmierci w krainie podziemnej“.

DYOGENES. Co znaczy to więc — i w stosunku do istnienia? Co się tyczy piekieł, nie posiadamy danych, prowadzących do udowodnienia czegoś odnośnie do nich lub zapowiadających choć wskazania w tym kierunku. Śmierć nie wyrasta z życia, ani życie ze śmierci. Śmierć jest bezsprzecznie nieuniknionem następstwem życia — o ile obserwacya i doświadczenie wieków posiadają jakąkolwiek wagę, nic nie wskazuje jednak ani wskazywało nigdy, by życie rodziło się ze śmierci. Mógłbyś powiedzieć równie dobrze, że ziarno jęczmienia umiera, zanim wyda zarodek nowego ziarna, a wiesz przecie, że byłoby to całkiem fałszywem, zamiera bowiem jedynie powłoka ochronna, gdy przestaje być potrzebną. Z zepsucia ciała nie wolno jeszcze wywodzić wniosku o pośmiertnem istnieniu duszy, gdyby nawet dało się wykazać, że z tego rozkładu wyrosnąć może jakieś życie. Nie powiedziałaś, że dusza należy do rzędu tych martwych tworów, z których muszą powstawać żywe; nie powiedziałaś, że żywa dusza wydaje z siebie martwą i że odwrotnie z martwej rodzi się żywa.

PLATON. Nie uczynilem tego istotnie.

DYOGENES. Nie przeszkodziło ci to, niestety, do wygłaszania rzeczy równie nierozważnych, równie pozbawionych logiki i zdrowego sensu. Ale tę właśnie trzebaby udowodnić, by argumenty twe nabrały jakowejś doniosłości. Czy z umarłych poczynają się dzieci?

PLATON. Nie twierdziłem nic podobnego.

DYOGENES. Wynika to z twego założenia.

PLATON. Poruszasz głębokie misterya, do których winniśmy przystępować z kornem uszanowaniem.

DYOGENES. Zaliczamy do tej kategorii wszystko, z czego nie umielibyśmy zdać sprawy. Możemy wygrywać wogóle na własnej ignorancyi, o ile udaje nam się uchodzić za tajemniczych. Lepiej potrząsać głową i nic z niej nie wytrząsać, niż mówić w sposób prosty i wyraźny o kwestiach, których rozwiązanie przedstawia pewne trudności. Nie mam tu na myśli spowiadania się ze swej nieświadoomości lub z niedoskonałego owdądnięcia przedmiotem, lecz jedynie dążenie do zrozumiałego wyjaśnienia rzeczy. Istotnie, uchodzimy jeszcze czasem w podobnym wypadku za ludzi żywych i bystrych, udzielających się łatwo i uprzejmym, nigdy atoli za ludzi mądrych i głębokich. Nie pomówią nas może o ostateczne upośledzenie intelektualne, każdy dostrzeże jednak w naszym umyśle różne braki i luki.

PLATON. Światło najwspanialszych z pośród gwiazd wydaje się najbardziej niepewne i drżące, nie

z powodu jakichś tkwiących w nich samych pierwiastków, lecz pod wpływem działania unoszących się pod nimi obłoków pary, zarówno jak wskutek ułomności naszej wizyi.

DYOGENES. Udrapuj się teraz w swą suknię, by fałdy spływały z majestatycznym wdziękiem. Wypowiedziałeś przepiękną sentencję, pomyliwszy się tylko w adresie. Nie szukam gwiazd, lecz domagam się sensu. Powiedz mi, czy para nie unosi się również pod innymi gwiazdami i czy wizya nasza przestaje być ułomną, gdy spoglądamy na nie? Ale nie będę się zastanawiał nad tem bliżej: podążę, krok za krokiem i z czujnością hyeny za martwemi ciałami i tym, co, pogrążony sam w ciemnie, wie dzie za sobą ich fantastyczne mary.

— — — — —
 — — — — —
 — — — — —

Wiem, jaki respekt żywisz dla ludzi o brutalnem usposobieniu i temu jedynie przypisuję uprzejmość, z jaką słuchasz mię, odkąd puściłem poję twej sukni. Gdyby Ateńczycy mieli kiedykolwiek wydać w swej niestałości dekret, pozbawiający mię przydomka, jaki mi nadali, przemów wówczas, proszę cię, za mną i powiedz im, że nie zasłużyłem na tak surową karę. W każdym bowiem razie zawdzięczasz mi coś nie coś: obdarzyłem cię przede wszystkim zapasem cierpliwo-

ści, w którą nie zaopatrzyłeś się sam zgoła, choć jest ona najskuteczniejszym wiatykiem i najbardziej ukrzepiającym karmem życia, poza tem zaś bronią z mej beczki, która pozwoli ci przepędzić raz jeszcze natrętnego koguta.

Markus Tulliusz i Kwinktus Cycero.

MARKUS. Ostatnie nieszczęścia, jakie kraj nasz nawiedziły, złączyły nas znowu, bracie Kwinktusie; zdaćby się mogło, że gdy zamilkły ambicje i rozwiały się nadzieje, powraca coś z miękkiej tkliwości dni dawnych. Niejednokrotnie rozmyślałem nad zmianami, zachodzącymi w nas wogóle od chwili, gdy dach ojcowskiego domostwa rozpada się w gruzy, jak zaszło to istotnie, a rozproszeni na wsze strony jego mieszkańcy, fundują, gdzie się zdarzy, nowe rodziny. Wielu z tych, co żyli poprzednio w zgodzie i jedności, przetwarza się wówczas na podobieństwo ludzi, którzy, dowiadując się o rozbiciu okrętu, gromadzą się wspólnie w celach grabieży i wszczynają spory, zaledwie wpadną im w ręce pierwsze łupy.

KWINKTUS. Nie było między nami nigdy nieporozumień w kwestyi podziału dóbr jakowychś, chyba, że uważalibyśmy za nie godności i zaszczyty państwowe. Jakkolwiek też, w stosunku do Cezara, fortuna zakreśliła nam w ostatnich czasach odmienne drogi, a wdzięczność dlań wstrzymywała mię od opuszczenia go, pokąd nie uległem wresz-

cie twym prośbom i namówom, — pomnisz jednak przecie, z jakim oddaniem pracowałem nad zapewnieniem ci konsulatu i tryumfu. Nie możesz i nie mogłeś chyba przypuszczać, że zatracę pamięć wszystkich dobrodziejstw Cezara i wysokich odznaczeń, jakie otrzymałem z jego woli, lub że porzucę bez żalu armię, gdzie podczas pobytu mego w Brytanii i Galii położyłem zasługi, za które wychwalał mię niejednokrotnie przed tobą. Zachował się zresztą wobec mnie tak wspaniałomyślnie, że nie wykreślił mego imienia ze swych *K o m e n t a r z y*, mimo odstęstwo od jego sprawy i jej zwalczanie. To też zamordowanie go nie mogło napełnić mnie radością niepodzielną: dał mi zaufanie swe i władzę, promował mię na coraz wyższe dostojeństwa; zawdzięczam mu nie tylko chwałę, lecz i wkroczenie w nieśmiertelność. Gdy sam zdecydowałeś się na opuszczenie Italii gwoli podążenia do Knejusza Pompejusza, wydało ci się słusznem, jakieś mi to powiedział, bym, z racyi mych zobowiązań względem Cezara, pozostał przynajmniej w kraju. Charakter naszych dyskusyi, naturalnych wogóle u ludzi, przywykłych do rozumowania, pozostał zawsze przyjacielskim; w rzeczach polityki wyznawaliśmy opinie zbliżone bardzo, najczęściej jednakie. Ty właściwie miałeś dążności nieco więcej arystokratyczne i senatoryjne — zgubiło to nas obu. Rzeczy można, iż nieśmiertelni bogowie utrudniają nam rozmyślnie wybór dróg i kierunku,

stawiając najlepszych ludzi na czele spraw najgorszych. Decimus Brutus i Porcysz Kato popierali dzieło Sylli, ostatecznie bowiem wojny cywilne były jedynie dalszym ciągiem tych, które stary dyktator ugasił był, jak sądziliśmy, na czas pewien, we krwi i ruinie. Fakcja jego dzierżyła ster rządów, gdy zjawiał się w Rzymie po raz pierwszy i jakkolwiek w gronie przyjaciół a czasem i publicznie mówił o Kajusie Maryuszu, jak powinien był mówić Rzymianin, jednakże liczenie się z Pompeuszem (najmniej szczerym z ludzi), nakazało ci przemilczeć zasługi Sertoryusza, choć nie było szlachetniejszego nadeń męża w życiu prywatnym, ni równie jak on prawego w pełnieniu swego urzędu; nie było bardziej czujnego wodza, ni obywatela bardziej dbałego o dobro i przywileje rzeczypospolitej. Kajus Cezar, późniejszy bojownik tegoż obozu, walczył z takimiż niemal trudnościami i przewyciężał je skutecznie, a prowadząc swą akcyę na rozleglejszej i świetniejszej arenie, może wydać się stąd postacią większej jeszcze miary.

MARKUS. Tym tylko, dla których umiarkowanie i przeczorność, wierne trwanie przy sztandarze i miłość dla ojczyzny nie należą do zasadniczych pierwiastków wielkości. Nikt lepiej nad Cezara nie wiedział, w jakim momencie zaufać może Fortunie; Sertoryusz nie spuszczał się na nią nigdy i nie czynił jednego kroku na drodze, której nie zbadał uprzednio cierpliwie i dokładnie. Najzac-

niejsi z pośród Rzymian zgładzili ze świata jednego, najnikczemniejsi zamordowali drugiego. Człowiek mądry a cnotliwy uczyniłby wszystko, by odwrócić od siebie i swego potomstwa koniec, podobny temu, jaki spotkał Cezara, gdy pragnąłby natomiast najwięcej takiej jak Sertoryusz śmierci.

Wdzieliśmy, Kwinktusie, ruinę kraju, a wrogowie jego postanowili naszą również zgubę, w każdym jednak razie winniśmy wdzięczność losowi, który pozwolił, by ostatnie lata naszego żywota nie były próżne chwały i bezpożyteczne i byśmy zamknęli prawdopodobnie oczy, potępieni przez takich ludzi, jak Lepidus czy Antoniusz, nie zaś Katon lub Brutus. Co się tyczy Cezara, rozmyślam o nim ze smutkiem raczej niż z surowością. Ah, jak wielkim byłby, jak wielkim nieskończenie, gdyby miał być równie mało ambicyi w sercu, jak sztuczności w stylu i śpieszył z równą gorliwością na sukurs ojczyźnie, jak dążył do jej ujarznienia! Napawaliibyśmy się wówczas może w tej willi i o tej godzinie czarem jego rozmowy pełnej humoru i erudycyi, nikt bowiem nie umiał ustosunkowywać właściwiej odeń i umiejętniej jej pierwiastków. A jakież wdzięk obejścia, jaka niewymuszoność! Pokazywał naturę swą bez zbędnych obsłon, jak zwykliśmy wyobrażać herosów i bogów. Dwa lata temu przybył tu niespodzianie, by spożyć ze mną wieczerzę o tej właśnie porze, w trzecim dniu Saturnalii i choć jeden z jego towarzyszy drogi czytał mu podczas

kąpieli, stosownie do jego życzenia, wiersze o nim i Mamurze — zachował zwykły swój humor i nastrój i dysputował po biesiadzie o literaturze z niezmierną swobodą i trafnością sądu. Takim ujrzę go znów niezadługo i gdy on hołduje memu poczuciu sprawiedliwości, ja hołdować będę jego zaletom, występującym w niezaćmionym niczem blasku. Zobaczę też ojca naszego i Mucyusza Scewolę, odnajdę ciebie i naszych synów, mego wiernego Tyrona. On jeden posiada władzę nad mem życiem, jeśli wogóle posiada ją ktokolwiek, jego bowiem pieczy powierzyłem swe dzieła. Spotkam równie zacnego naszego Markusa Brutusa, — jednego z ludzi, których pragnąłbym uściskać nade wszystko, bo choć nie skrzywdziłem go w niczem osobiście — stałem się przyczyną spadłej nań krzywdy. Gdybym nie istniał był wogóle lub nie pobudził jego zazdrości — pisałby był może tylko jak ja pisałem. Chcąc jednak uniknąć mego widoku, naraził się na febry i przeziębienie. Wybaczmy mu to i ponieśmy mu naszą miłość. Mimo słabość swą, która oddziaływała ujemnie na jego elokwencyę i miękkość charakteru, podkopującą konstytucyę państwową, nie jest niegodną latoroślą rodu, o którym pamięć przechowa się najdłużej między ludźmi.

O dniu szczęśliwy, gdy połączę się z równymi mi duchem i gdy wszelka powszedniość przestanie zakłócać spokój mego istnienia!

Zejście ze świata w chwili, kiedy roją ogrom projektów, wydaje się ludziom klęską i nieszczęściem, gdy powinnyby raczej uważać tworzenie ich za rzecz nieskończenie próżną. Wyraża się w nich bowiem własny tylko ich impuls, gdy koniec przychodzi bez udziału ich woli. Przeprowadzaniu zamiarów towarzyszą od początku zawody i udręka, śmierć kładzie im kres ostateczny. Z drugiej strony niema zgoła okresu życia, w którym nie budowalibyśmy planów i projektów. Z roku na rok wyrastają nawet bujniej i obficie, na terenie innych, porzuconych czy przeistoczonych, jak trawa wystrzela w górę z rozkładu i śmierci trawy, co przed nią żyła.

KWINKTUS. Czy przypuszczasz, że Maryaniści znieśliby kastę rycerską?

MARKUS. Sądzę, że bezpieczeństwo fakcyi domagałoby się jej zagłady i że dokonałaby jej zemsta — nie mogę powiedzieć poczucie sprawiedliwości. Wojna cywilna była wojną senatu przeciw stanowi rycerskiemu i ludowi. Dostarczały jej karmu i podniety bogactwa, nagromadzone przez patrycyuszów za czasów Sylli, dzięki wywłaszczaniu z jego dobytku każdego, kogo gwałt i łapczywość ogłaszały za przeciwnika ciała rządzącego. Lecz trzeba było skonfiskować wszystkie dobra kasty i skazać na banicyę wszystkich jej członków. Żadne inne postanowienie nie wydałoby się dostatecznem wynagrodzeniem za poniesione straty, ani też wy-

starczającą gwarancją utrzymania pokoju. Wyrugowanie trzystu rodzin z posiadłości, stanowiących przeważnie owoc łupu i wydalenie ich z kraju w krwi za ich sprawą tonącego, byłoby zapobiegło temu traktatowi podziałowemu, mocą którego żywot i fortuna całego narodu spoczywa w ręku trzech ludzi.

W żadnym rządzie nie powinna istnieć sprzeczność interesów. Nakładanie wędzidła jest pożyteczne, lepiej jednak, by nie zachodziła konieczność uciekania się do niego.

Kajdany i ława oskarżonych dobre są bezsprzecznie, mamyż li jednak zakładać szkołę rabusiów i rzezimieszków gwoli wypróbowania dodatkich stron ich karcenia? Nieszczęście nauczyło mnie prawd wielu, które przed kilku laty wydawałyby mi się podejrzanymi i niebezpiecznymi. Upadek Rzymu i Kartaginy, państw posiadających jednaką prawie formę rządu, spowodowany został przez rozterki w łonie Senatu — walkę pomiędzy ścierającymi się wzajem ambicyami. My bowiem, Ojcowie narodu, zwiemy ambicyą to, co w niższych warstwach społecznych uchodzi za łapczywość. Różnica między przedstawicielami sfer obu polega głównie na tem, że jeden przyodziany jest w suknię z cienkiej tkaniny, drugi w pospolitą wełnę, jeden pożąda wielkorządztwa nad prowincjami Azji, drugi beczki octu. Ludowi obojętnem było najzupełniej, która ze zmagających się stron posiadała przewagę, po-

kąd dobytek jego nie obrócił się w jednym z dwóch krajów w zgliszcza i gruz, i nie został wydany w drugim na pastwę złoczyńców i graczy.

KWINKTUS. Smutnem jest zaiste, że wielkość jednostek wyrasta przeważnie z przywłaszczania sobie przez nie ogólnego dobra drogą podstępu i gwałtu. Tymczasem wielkość państw opiera się na zasadzie najbardziej równomiernego podziału własności, zwłaszcza własności ziemskiej, na skromnem uposażeniu funkcyonaryuszów, zwłaszcza tych, którzy są poza tem posesyonatami, na jedności interesów i celów. Niema i nie może być bezpieczeństwa i pomyślności tam, gdzie zdobyte prowincye zbogacają tylko te czy owe rodziny, nie przysparzając pożytku ogółowi, gdzie konsulowie dążą do jednych rzeczy, a trybuni żądają innych. Gdyby Kartagina, posiadająca, jakeś to zauważył, podobną bardzo naszej formę rządu, nadała wspólne prawa wszystkim mieszkańcom Afryki, nad którymi pełniła władztwo, gdyby cywilizowała ich była z gorliwością, z jaką ich ciemiężła — zgniotłaby była naszą republikę i zdobyła panowanie nad światem. Gdy Rzym zagarnął Italię, posiadała ona wyższą odeń kulturę, której towarzyszyły jednak znieprawienie, wynikłe w znacznej części z nadmiernego przepychu i nieznajomość sztuki wojennej, a stąd większa podatność do dźwignania jarzma niewoli, niż do dokonania jakiegokolwiek wysiłku.

Zdobywca przelał z biegiem czasu w umysły zwyciężonych coś ze swego ducha i pozwolił im korzystać z pewnych swych instytucyi. Polityce jego nie można byłoby zarzucić nic zgoła, gdyby, zapewniając im^o dobrowolnie prawa, ku których otrzymaniu połączyli się, jak mógł to być przewidzieć, stworzył był organizm społeczny Italii. Uczyniłoby go to niezwalczonym. Lecz ambicya nie pozwoliła naszym senatorom dzielić z innymi bogactw i przywilejów, związanych z władzą; stąd najgorsi z obywateli kraju stali się kierownikami jego losów. Pod wpływem nierównie czystszych pobudek Sertoryusz dopuścił się tego samego błędu w Hiszpanii, obdarzając ją Senatem, do którego nie udzielił dostępu Hiszpanom. Mimo jednak tak wielką krzywdę i zniewagę, bezinteresowność jego i cnota zdobyły mu najpoczetniejszą i najdzielniejszą z nacyi. Gdyby przyznał był jej synom to, co należało im się z samej natury rzeczy i z czego oni przedewszystkiem winni byli korzystać, mógłby w spokoju sumienia żałować jedynie, że męstwo ich łamało tylokrotnie nasze legiony i okrywało wstydem i hańbą naszych wodzów.

Czego można oczekiwać od kraju, w którym arystokracja miała za czasów Sylli w posiadaniu więcej, niż połowę ogólnego obszaru ziemi, ześrodkowawszy jednocześnie w swem ręku wszystkie źródła dochodów i wszystkie urzędy, wyrosłe z naszych podbojów. Próżnem byłoby całkiem kła-

dzenie nacisku na fakt, że ze zdobytych skarbów opłacano armię, gdy owa armia stanowiła niejako przyboczną drużynę możnych, niezbędną dla osobistej ich straży i bezpieczeństwa. Rozumując w podobny sposób, nie uważalibyśmy żadnej bezwzględnie rzeczy za osobistą fortunę, posiadłość czy zysk czysty, z racji, że wydajemy część jego na kucharza i rzeźnika, na produkta ziemi, zapewniające nam strawę. Armie należały do arystokracji w takimże stopniu, jak pieniądź, z którego je opłacano i prowincye, które dostarczały żołnierza, jak należą do każdego jego łoże i sprzęty domowe.

Czemu nie mogliśmy byli zrobić w imię dobrze pojętej polityki i sprawiedliwości tego, co niejednokrotnie było i będzie jeszcze zrobione, — przybierając odmienne miano — w imię faworytyzmu.

Nigdy nie było między nami zgodności w kwestyi prawa agrarnego, choć plany Tyberyusza Gracchusa zyskały zwolenników wpośród ludzi najczęściej rozważnych i bezstronnych, najdostojniejszych mężów naszej rzeczypospolitej. Bronił ich Leliusz przyjaciel Scypiona, którego mądrość i umiarkowanie wystawiałeś ostatnio w jednym ze swych dyalogów, Krassus, który piastował wówczas godność arcykapłana, Appiusz Klaudiusz, przenikniony pragnieniem zatarcia tym patryotycznym i cnotliwym czynem piętna, jakie wycisnęły na jego ro-

dzinie, w ciągu długich pokoleń, jej wyuzdanie, tyrania i pycha. Do imion tych należy dołączyć jedno jeszcze, które nauczono nas czcić od wczesnej młodości. Mam, mówiąc to, na myśli Mucyusza Scewołę, najznakomitszego z naszych jurystów. Cały projekt reformy poczęty był w duchu najszerszego humanitaryzmu i najrozleglejszego uwzględnienia interesów ogółu — nie zaprzeczy temu żaden z jej przeciwników. Ci, którym mogła być grozić kara za pogwałcenie praw, zyskiwali odszkodowanie za stratę posiadłości, dzierzonych przez nich nielegalnie, same owe posiadłości miały być dzielone pomiędzy rodziny ubogie, nie w celu zdobycia ich głosów, lecz dla uchronienia ich od pokusy frymarczenia nimi.

Uśmiechasz się, Markusie.

MARKUS. Bo ten to właśnie wzgląd usposobił wrogo przeciw Tyberyuszowi Grachusowi Ojców narodu i podyktował im oskarżenie o próby wprowadzenia do trybu bytu republiki zmian fantastycznych i nie dających się urzeczywistnić. Niektórzy ze starszych jego popleczników pomówieni zostali o specjalne ambicje, inni o takież uprzedzenia; młodszych traktowano jako szaleńców, to znów jako zdrajców, stosownie do ich koligacyi rodzinnych i wpływów ich przyjaciół.

KWINKTUS. Najbardziej słuszną i pożyteczną z reform, przeprowadzonych w naszej republice w ostatnim okresie jej istnienia, było zaadoptowanie prawa,

proponowanego przez Kajusa Grachusa, który — wobec zagarnięcia przez Senat wszelkich form władzy sądowej i wynikającego stąd uniewinniania przestępców, których wyzysk i nadużycia zrujnowały nasze prowincje i podkopały naszą potęgę — zażądał przekazania owej władzy stanowi rycerskiemu. Prawo Cepia, przyjęte w dwadzieścia pięć lat później, było pogwałceniem tej zasady. Mowa, wypowiedziana w jego obronie przez Lucjusza Krasusa, świetniejąca blaskiem geniuszu i tchnąca mocą, jaką nadaje istotna wyższość, przyczyniła się w dużej mierze, jak sam przyznajesz, do ukształtowania zarówno twych opinii politycznych, jak twej elokwencji. Być może, iż węzły zażyłości łączące Krassusa z Akuleonem, mężem naszej ciotki, uczyniły cię tem skłonniejszym do przyjęcia jego opinii i przypisania jego słynnemu przemówieniu większej wagi, niż przyznałbyś mu ją w innych warunkach.

MARKUS. Przypomnij sobie, bracie; że nie byłem przeciwnym zasadniczo żadnym prawom agrarnym, ani też ogłaszałem się za ich wroga, jakkolwiek powstałem z całą energią przeciw projektowi Rullusa i zwalczałem go całą mocą swego autoritetu. Przy tej właśnie okazji wskazałem na Grachów, jako na najszlachetniejszych z ludzi, pałających dla ojczyzny czystą miłością, która natchnęła ich pragnieniem podzielenia między jej obywateli tego, co należało się im bezsprzecznie. Zaznaczy-

łem również, że mądrość ich i wprowadzone przez nich zarządzenia zbudowały w części najbardziej krzepkie podwaliny naszych rządów, występując jednocześnie przeciw prawu, proponowanemu w owym momencie, jako prowadzącemu do tyranii decemwiratu. Plany Cezara i Pompejusza w tej kwestyi były równie zgubne jak niesprawiedliwe. Przyznaję dziś, że plany Grachusa, będące aktem sprawiedliwości wobec obywateli kraju, niosły w sobie zarazem zbawienie organizmu państwowego. Jakże mógłbym wytłumaczyć, nie robiąc ci tego ustępstwa, me własne zachowanie, gdy przed kilku miesiącami skłaniałem Senat do podzielenia pomiędzy żołnierzy czwartej legii i legii Marsa, w nagrodę za świadczone republice usługi, obszarów Kampanii, które Cezar i Pompejusz zamierzali oddać ludziom popierającym ich uzurpatorskie knowania. Kajus Grachus przeciwnie, nie szukał nigdy i nigdzie zysków ni korzyści i utracił wskutek swej nieugiętej prawości najpotężniejszych z pośród swych przyjaciół i zwolenników.

— — — — —
 — — — — —

KWINKTUS. Bezczelnie i błędnie nazwano innowacją próbę przywrócenia najlepszego i najmądrszego z dawnych naszych zwyczajów. Prawo zapewniało ongi klasom niższym i średnim wyłączne korzystanie z dwóch trzecich ziem zdobytych, dając im

zarazem możność pozyskania — przy zapobiegliwości i pracy — części pozostałej. Lecz ucisk i opresya wszelkiego rodzaju pozbawiły je w następstwie wszystkiego tego niemal.

Kornelia nie była kobietą o przeczulonem chorobliwie sercu, wibrującem nieustannie i w każdej okoliczności; nie kultywowała w niem ani podniecała żadnych fałszywych wzruszeń. Podobnie, jak inni członkowie jej rodu, nie dbała o poklask ni opinję ogółu: kochała sprawiedliwość i pragnęła, by dzieci jej wzniosły na tych fundamentach gmach swej chwały. Pragnienia tego nie ugasiła w niej krew starszego jej syna. Uzyskał w dziejach ojczystych miejsce, jakiego dlań pożądała: wskazała na ten przykład Kajusowi. Korupcya, trafikująca głosami i lojalizmem obywatelskim, może wypisywać na murach, pod jego imieniem, obelżywe i potwarcze słowa, słabą jednak zaiste byłaby wartość człowieka, który utraciłby coś z niej wobec zespolonych ataków kredy i węgla.

MARKUS. Organizm moralny, podobnie jak fizyczny, niezawsze ma jednakie potrzeby i w jednakim stopniu. Stosownie do pory roku wdziewamy czy odrzucamy różne części ubrania; podobnie przy stosowywanie się do czasu i jego warunków musi być zachowane w sposobie rządzenia. Kilka za ledwie zasad wytycznych trwa w niezmiennej postaci. Dostrzegam dziś podobieństwo, zachodzące pomiędzy kierowniczymi prawami społeczeństw

ludzkich a prawami perspektywy, które domagają się, by to, co jest w dole, wznosiło się i rosło stopniowo; to zaś, co u góry, schodziło ku dołowi w takimże stosunku, nigdy wszelako nie stykając się z nim całkowicie. Tem mniej pouczałyby nas te prawa rzeczy, objających się dziś o nasze uszy, a głoszonych przez nowych mistrzów z obozu i szkoły. Dowiadujemy się od nich, że najmądrsi i najcnotliwsi powinniбы залеżeć od najslabszych i najgorszych; że, gdy jednostka, choćby nawet pozbawiona wszelkiej dyscypliny moralnej i nie umiejąca ująć w karby swych popędów, uznana jest w dwudziestym roku życia za zdolną do zajmowania się samodzielnie swemi sprawami — państwo nie powinno osiągnąć nigdy tej pełnoletności; że, gdy dzieci wyrastają z pod opieki, człowiek dojrzały dostaje się w nią ponownie; że słusznem jest wreszcie, by ludzie, tak godni pogardy w swych poczynaniach i środkach akcyi, jak tryumwirowie, stawali się z własnego wyboru stróżami i opiekunami kraju i ciążyli nad losami Brutusa, Warrona, Markusa Tulliusza. Rzymianie cofają się, jak widzę, pospiesznym krokiem ku rządóm monarchii dziedzicznej — mniejsza o to, pod jaką ukryją je nazwą — rządóm, których nie popierały nigdy ni zalecały, nie tolerowały nawet, szlachetność ni cnota, systematy filozoficzne ni sekty religijne; nad które żaden moralizator, ni żaden fabulista, żaden wizjoner ni poeta satyryczny lub

komiczny, żaden buffon, karzeł czy eunuch (najbardziej uprzywilejowana z klas uprzywilejowanych), żaden laufer, biegnący za wozem tryumfalnym nie wyobrazilby — w przystępie szału i skrajnego rozpętania — nic bezsensowniejszego, nic więcej uwłaczającego ogółowi obywateli i więcej nieprzystojnego. Wszak z ichto racyi właściwie nadajemy, wraz z Grekami, różnym narodom miano barbarzyńskich. Oneto nakładają na nie specjalne piętno, podtrzymując wysoko, co jest potwornością i znikczemnieniem.

Jak wstrząsającego doznałibyśmy wrażenia na widok sędziwego ojca rodziny, prowadzonego w kajdanach poprzez ulice, przy hałaśliwych krzykach wyrostków i nierządnic. Zali nie oddalilibyśmy się wnet z miejsc tych z bolesnem ściśnieniem serca! Dziś roztacza się przed nami obraz nierównie więcej przejmujący: patrzymy na naród liczący długie wieki istnienia, a zakuty w kajdany niewoli, przez tych, co u stóp ołtarzy przysięgli bronić go wiernie. Czyż odwrócenie oczu od całej tej ohydy miałoby wydawać nam się, Kwinktusie, rzeczą zbyt trudną? I czyżby trzeba było, by jakiś Gall lub Iliryjczyk nakazał nam zamknąć je na zawsze?

KWINKTUS. Nie, Markusie, nie zaiste. Rozmyślajmy o końcu, jak czynili to po wsze czasy nasi przodkowie, a niedawno jeszcze nasi przyjaciele.

MARKUS. Gościem mi jesteś, bracie, więc powinienbym zwrócić choć na chwilę twą uwagę na

rzeczy weselsze. Nieprawdaż, jak pięknem jest to wybrzeże Formijskie, jak smukłe kontury tej willi! Czemuż wywołałem twe rozważania! Widzimy się może po raz ostatni. Czy pomnisz gonitwy naszych dzieci po piaskach nadmorskich i ich lęk, gdy Tyro wykrzyknął: *L e s t r y g o n i ! L e s t r y g o n i !* Nie przypuszczał wówczas, by jego żart wesół mógł być prorocstwem i by wszystko, co wyobrażenia poetów przypisywała tym monstrom, stało się w tak krótkim czasie rzeczywistością. Żeglowałem tu ostatnimi dniami pod wieczór, na parę godzin przed zachodem słońca, przy słabym bardzo wietrze. Przystwory lądu zaległa wielka cisza; we mnie opadło dziwne serce. Przypomniałem sobie, jak niedawno jeszcze temu, przechadzając się z Katonem naokół willi, rozprawiałem z nim o Lukullusie, którego syn szedł za nami raczej, niż nam towarzyszył, tak wielką była skromność tego młodzieńca. Mógłżem przewidywać wówczas, o bogowie, że w niespełna rok później piecza nad nim, zarówno jak nad synem samego Katona mnie przypadnie w udziale wskutek tak bolesnego końca naturalnego ich opiekuna?

KWINKTUS. Te łagodne dni zimowe, gdy blask słońca wydaje się przesycony wilgocią, mają w sobie słodczy, nie wolną od smutku.

MARKUS. Nie wiem, Kwinktusie, na skutek jakich skojarzeń ideowych i jakiego biegu myśli dni te prowadzą mię raczej w przeszłość, niż kierują

ku przyszłości. Być może, iż fizyczne rozprężenie organizmu, jakie powoduje zawsze czas podobny, usposabia nas raczej do zamknięcia się w refleksyi, niż do przewidywań i budowania perspektyw jutra. Pamięć o tych wielkich mężach, których mądrość umocniła podstawy naszej republiki i których walor zlał na nią chwałę, gdy dzielność niosła jej zarazem obronę i podporę, — nie jest dla nas czemś oderwanem: wiodą nas za sobą i stawiają w swym szeregu. O Kwinktusie, pragnąłbym przelać w ciebie me niesłowne przeświadczenie, że po śmierci odnajdziemy się w ich gronie. Jeśli zaś miejscem połączenia nie będzie Kapitol ni Forum, nie będą pola Elizejskie ni wyspy Atlantyku — to już rzecz mniejszej wagi, bez znaczenia nawet zgoła dla wyzwolonego wreszcie ducha. Niechaj myśl ta nie opuszcza cię nigdy, a Śmierć, zarówno w razie, gdybyś poczytał ją za całkowity koniec naszego istnienia, jak w przeciwnym wypadku, przestanie przejmować cię, nie powiem już grozą, której uczucie obce jest odwadze i mądrości, lecz choćby udręką wewnętrzną i niepokojem.

KWINKTUS. Gdy widzę, bracie, jak wiele z dogmatów religii powstało gwoli ujarznienia intelektu, skłonny jestem właściwie do zwątpienia o innych.

MARKUS. Zapewne, o ile sąto zwłaszcza dogmaty, z których kollegium kapłańskie ciągnąć może zyski. Lecz ten, co nauczył pierwszy ludzi, że własna

wola zdobyć nam może wieczystą szczęśliwość, że droga, ku niej wiodąca, tak piękna jest i nie uciążliwa, że każdy poszedłby nią z wyboru i upodobania, gdyby nawet nic pożądanego nie czekało go u jej kresu — ten, co zdziałał to, zasłużył, by go uważano za boga i jako boga czczono. Nie krzywdzić nikogo i nie żywić do nikogo uraz — oto z pewnością rzeczy, dające nam najwyższą rozkosz i prowadzące do osiągnięcia najwyższej błogości. Nastrój nasz i uczucia w przyszłym stanie istnienia pozostają w ścisłym związku z użytkiem, jaki czynimy obecnie z naszego umysłu i naszych władz życiowych. Niewielu spodziewać się może doskonałej szczęśliwości, niewielu jednak również spotka cięższa, niż na ziemi, dola.

KWINKTUS. O ile wierzymy zasadniczo w przyszłe życie, traktowanie go w inny sposób stawiloby bogów niżej nas pod względem sprawiedliwości i dobroci — tych cech ich najistotniejszych.

MARKUS. Wiara w istnienie pozagrobowe jest głodem rozumu, i nie wiem czemu mielibyśmy zaspakajać go mniej chętnie, niż inne, pośledniejsze jego rodzaje. Religia nie żąda od nas przyjmowania baśni, któremi karmi się tłum, lecz całkiem przeciwnie ich sprostowywania.

KWINKTUS. Jeśli zaniedbany tego obowiązku, to, wobec zalania Rzymu przez tyle obcych nacyi, i gotowości, z jaką dawaliśmy posłuch i wiarę wszelkim błazeństwom, głoszonym przez kapłanów

syryjskich i egipskich — nasi obywatele, chłonący je z tak bezmierną łatwowiernością, poczną jeszcze hołdować tym fałszywom prorokom. Syryjczycy będą gwałtowali, pokąd nie przyłączymy się do nich, gwoli wspólnego opłakiwania Adonisa; Egipcyanie zaborą się do pouczenia nas, że spożywanie kurczenia jest rzeczą bezbożną, gdy natomiast jajko należy do rzędu pokarmów, zalecanych przez religię; chytry i wykrętny Semita, szeptać nam będzie do ucha: „Wszystko to jest przesądem; dawaj mi dziesięcinę od swych zbiorów a zdobędziesz królestwo niebieskie.“ Słyszałem z własnych ust Knejusa Pompejusza, że tak dzieje się istotnie w Judei.

MARKUS. Pomnij Kwinktusie, że owa dziesięcina opłacała wszystkie rozchody rządu cywilnego i religijnego, rządy były tam bowiem teokratyczne (o ile użyć można poważnie tego wyrażenia.) Opodatkowywanie własności w taki sposób nie byłoby oczywiście możebne w czasie pokoju. Ale ta rasa subtelna a medytatywna, melancholijna i posępna, zamieszkująca ziemię jałową, na pograniczu ziem płodnych, — prowadziła ciągle wojny. Nie wiem doprawdy, czy my nawet dokonaliśmy podobnych Żydom czynów i czy jakikolwiek naród umiał walczyć z równą im siłą postanowienia i wytrwania. Szydzimy z ich kultu, oni, ze swej strony, przeniknieni są dla naszego wstrętem naszym.

mem zdaniem, większą od nich mądrość, ze stanowiska bowiem spekulacji filozoficznej śmiech lepszy jest od nienawiści. Ale powiedz mi teraz, skąd doszły cię wieści o owych jajach i kurczętach? Słyszałem wiele od naszego Warrona o przeróżnych postanowieniach religii Egipcyan, nie przypominam sobie jednak tego szczegółu.

KWINKTUS. Wydaje się to zbyt bezsensownem nawet u hołdowników kotów i krokodyli. Być zresztą może, że pokrzywdziłem ich mimowolnie, przypisując im rzecz, zachodzącą u innej nacyi. Sam fakt jest jednak niezawodny. Składam go do archiwów przésądu, ty zaś znajdź dlań miejsce właściwe. Kapłance Minerwy przysługiwało w Atenach prawo do miary jęczmienia i miary pszenicy, a wraz z tem obol z racyi każdych narodzin i każdej śmierci. Niektóre narody Wschodu są tak bezwzględnie podległe władzy kapłanów, że odwołują się do nich przy urodzeniu, śmierci i nawet, na Talasiusza, — zawieraniu ślubów małżeńskich. Kapłanowi wolno wreszcie nakładać kary i nakazywać umartwienia, zmuszać ludzi do odkrywania mu tajemnic swego serca, przywoływać do się ich żonę, córkę, syna w pełnym rozkwicie młodzieńczości, absolwować każdego z jego grzechów, lub odmawiać mu ich przebaczenia.

MARKUS. Cóż znaczą wobec tego, Kwintusie, jaja i kurczęta, koty i krokodyle! Powtarzasz mi chyba jakieś baśnie; ród ludzki nie zeszedł równie nisko

w momentach największego upodlenia. Dziki zdusiłby tego, ktoby zaciążył nad nim podobną tyranią, człowiek cywilizowany wymierzyłby mu chłostę i wyrugował go poza społeczeństwo. Jest to właściwie stan rzeczy, którego można spodziewać się tam, gdzie geniusz Kiromezyjczyka kojarzy się z dzielnością Troglodyty. Przyobleczone w złoto, czy skute w żelazo religie wyczerpują się jednak. Jupiter mniej czczony jest dziś na Krecie, niż gdy przebywał tam niemowlęciem i szerzy mniej postrachu w Dodonie, niż pospolity pies owczarski. Nasi prokonsule uwieźli z Grecyi, Azyi i Sycylii najslyniejsze posągi bogów; podobne fakta niecą wkońcu wątpliwość, czy bóstwa, które można naładować na pierwszy lepszy wóz, zaprzężony w parę wołów, przebywają istotnie w niebie. Gdy skończą się wojny cywilne a umysły zleniwieją i ociężą, jak dzieje się zazwyczaj po silnem wstrząśnieniu, przyjdzie może do próby pewnych zmian w religii. Podobnie jednak, jak ziściły się me proroctwa co do przebiegu ostatnich wydarzeń, możesz wierzyć mi i teraz, gdy powiem, że religia nasza zachowa, zdaniem mem, nienaruszenie wiele ze swych obrządków i ceremonii, wiele z cech swych zasadniczych, mimo wszelkie nowe pierwiastki, wypaczające jej fizyognomię. Pokąd lęk i zaciekawienie zespolone są nierozłącznie z naturą ludzką, nie zabraknie nam nigdy ksiąg sybilińskich. Jest zresztą coś pocieszającego w tej idei trwania rze-

czy i ich identyczności, przyznać bowiem trzeba, że, niezależnie zgoła od natury naszych poglądów filozoficznych, myślimy z uczuciem zadowolenia, nie zdając sobie sprawy z jego przyczyn, że, po odejściu naszym ze świata zarówno rzeczy widzialne, jak koncepcye intelektualne, ulegają nieznacznej bardzo zmianie.

— — — — —
 — — — — —

Na przyłładku tym wznosi się dotąd domostwo Kornelii ; nabył je w następstwie Maryusz, a wkońcu zamieszkiwał nasz przyjaciel Lukullus. Czy to wskutek czci dla cnót jej i imienia, czy to, że bogowie roztaczają pieczę nad tym pomnikiem rodu niewieściego — budowla zachowała całkowicie na zewnątrz dawną swą postać. Kornelia spędziła tu długie lata; nic nie byłoby w mocy skłonić jej do nawiedzenia choćby Rzymu po zamordowaniu młodszego z jej synów. Hodowała liczne rodzaje kwiatów i próbowała przyswoić Italii różne rośliny egzotyczne; gromadziła w swych ogrodach drzewa z gór i dolin. Nie przynosiły wprawdzie owoców, lecz pielęgnowanie ich i czuwanie nad nimi było jej źródłem spokojnego zadowolenia, połączonego z pewnem wyczekiwaniem. „Niema wogóle“ — zwykła była mówić — „rozrywki mniej zawodnej nad ogrodnictwo, ani też zdrowszej nad nie i więcej urozmaiconej“. Babilończycy i Persowie uważali je również dawnymi

czasy za jedną z najlepszych form wytchnienia po innych pracach. Sam mało jestem biegły w tej sztuce i, przybywszy tu po raz pierwszy, zapytywałem raz po raz o różne szczegóły syna mego ogrodnika, chłopczynę lat może dziewięciu. Malec wziął mię stąd za większego jeszcze ignoranta, niż byłem w rzeczywistości i ozwał się wskazują na jedno z drzew parku: „Nie wiem, jak zwą krzew ten w Rzymie i czy rośnie tam nawet; tu, choć piękny bardzo, należy do najzwyczajniejszych, a nazywa się akacją“. „Dziękuję ci, dziecko, za objaśnienie“ — odparłem z uśmiechem — „a pragnąłbym dowiedzieć się jeszcze, jakie miano nadajecie tym wysokim, smutnym drzewom, co wystrzelają w końcu szpaleru nad samą przepaścią“. Tu wskazałem mu na dwa cyprysy. „Inne, podobne im rośliny“ — odrzekł — „zwą się cyprysami, nie wiem jednak czemu jeden z tych dwóch krzewów nazwany został Tyberyuszem a drugi Kajusem“.

KWINKTUS. Żaden rodzaj studyów nie wydaje mi się więcej pociągający. Zarodki wielkich wydarzeń leżą blisko powierzchni; dziejopisowie zapuszczają swą sondę zbyt głęboko. Niema zgoła historyi wiernej prawdzie, czytałem natomiast żywoty, które, jeśli nawet nie były z nią zgodne, posiadały wszystkie jej pozory i budząc także jak ona zainteresowanie, wywierały równie dodatnią akcję.

MARKUS. Zebrałem dość faktów, odnośnych do

Kornelii, które należałoby przechować dla potomności, tem zaś więcej jeszcze, że gdy Grecya wydała tyle wybitnych kobiet, my nie moglibyśmy chyba wynieść dwóch nawet.

KWINKTUS. Niewiasta rzymska posiada jednak zalety, których brak jej siostrom greckim. Czy Kornelia wytrwała do końca bez szemrania i skargi?

MARKUS. Przeświadczona była zawsze niezłomnie, że prawo agrarne byłoby aktem sprawiedliwości i dobrodziejstwem dla ogółu i znajdowała pociechę w myśli, że synowie uiścili się chlubnie wobec ojczyzny z długu, jaki nakłada na nas uczucie miłości dla niej. Sława — to światło, promieniące z nas samych, nie zaś gloria, którą zlewają na nas inni. Mocna przeświadczeniem, że przyszłe pokolenia wyznaczą jej synom przynależne im miejsce, Kornelia uważała z drugiej strony, całkiem słusznie, że zyskali już hołdy najwyższe, zdobywszy własne uznanie. Jeśli zaś brak było czegokolwiek w wieńcu ich chwały — dorzuciła to matka. Każdy wybitniejszy cudzoziemiec, przybywający do Italii, zjawiał się u niej. Sądzisz może, że ci goście unikali mowy o jej synach, ona zaś więcej od nich jeszcze? Mylne przypuszczenie — Tyberyusz i Kajus byli najmilszym przedmiotem jej roztrząsań: wysnuwała je, ilekroć odwiedzający ją ludzie wydali jej się godnymi tego zaszczytu. Słyszałem od ojca naszego i Scewoli, którzy w młodzieńczych latach byli często świad-

kami podobnych wywnętrzeń, że, mówiąc o synach, nie miała już na twarzy tego wyrazu spokojnej dumy i zadowolenia, z jakim pokazywała ich ongi, jako swe klejnoty i ozdoby, lecz tryumfalne napawanie się ich sławą, z jakim wskazywałyaby na bohaterów starożytności. We wzruszeniu, którem wibrowała, przypominając wydarzenia, tak mało było bólu, że ci, co nie mogli objąć zrozumieniem wielkości jej ducha, przypuszczali początkowo, że nadmiar nieszczęść pomieszał jej zmysły. Lecz mądrość promieniowała od niej tak potężnie, obojętnie nacechowane było taką powagą i spokojem, tak pogodną i majestatyczną słodyczą, że wkrótce już udzielało się każdemu wrażenie, jakiego doznajemy wobec bóstwa. Gdy wreszcie, pełni zdumienia, podziwu i zbożnego jakiegoś lęku, goście odważali się podnieść na nią oczy, czytali w jej wzroku, że mają przed sobą najczulszą z matek — matkę Grachów.

Podzielam twą opinię co do biografii, jednakże najlepsze nawet wyobrażenie ludzi, na których zleli światło bogowie, dalekiem jest nieskończenie od prawdy. O ile większymi wydawaliby się nam najwięksi z naszych współbliźnich, gdybyśmy mogli wejrzeć w niezliczone i przesubtelne pędy przędziwa ich myśli, rozpraszające się, zaledwie wytrysną z mózgu; najniklejsze z nich warte są więcej nad całą mądrość wielu z tych, od których zależy szczęście społeczeństw. Jest to nieosiągalne

czy i ich identyczności, przyznać bowiem trzeba, że, niezależnie zgoła od natury naszych poglądów filozoficznych, myślimy z uczuciem zadowolenia, nie zdając sobie sprawy z jego przyczyn, że, po odejściu naszym ze świata zarówno rzeczy widzialne, jak koncepcye intelektualne, ulegają nieznacznej bardzo zmianie.

— — — — —

Na przyłądku tym wznosi się dotąd domostwo Kornelii; nabył je w następstwie Maryusz, a wkońcu zamieszkiwał nasz przyjaciel Lukullus. Czy to wskutek czci dla cnót jej i imienia, czy to, że bogowie roztaczają pieczę nad tym pomnikiem rodu niewieściego — budowla zachowała całkowicie na zewnątrz dawną swą postać. Kornelia spędziła tu długie lata; nic nie byłoby w mocy skłonić jej do nawiedzenia choćby Rzymu po zamordowaniu młodszego z jej synów. Hodowała liczne rodzaje kwiatów i próbowała przyswoić Italii różne rośliny egzotyczne; gromadziła w swych ogrodach drzewa z gór i dolin. Nie przynosiły wprawdzie owoców, lecz pielęgnowanie ich i czuwanie nad nimi było jej źródłem spokojnego zadowolenia, połączonego z pewnem wyczekiwaniem. „Niema wogóle“ — zwykła była mówić — „rozrywki mniej zawodnej nad ogrodnictwo, ani też zdrowszej nad nie i więcej urozmaiconej“. Babilończycy i Persowie uważali je również dawnymi

czasy za jedną z najlepszych form wytchnienia po innych pracach. Sam mało jestem biegły w tej sztuce i, przybywszy tu po raz pierwszy, zapytywałem raz po raz o różne szczegóły syna mego ogrodnika, chłopczynę lat może dziewięciu. Malec wziął mię stąd za większego jeszcze ignorantą, niż byłem w rzeczywistości i ozwał się wskazując na jedno z drzew parku: „Nie wiem, jak zwą krzew ten w Rzymie i czy rośnie tam nawet; tu, choć piękny bardzo, należy do najzwyczajniejszych, a nazywa się akacją“. „Dziękuję ci, dziecko, za objaśnienie“ — odparłem z uśmiechem — „a pragnąłbym dowiedzieć się jeszcze, jakie miano nadajecie tym wysokim, smutnym drzewom, co wystrzelają w końcu szpaleru nad samą przepaścią“. Tu wskazałem mu na dwa cyprysy. „Inne, podobne im rośliny“ — odrzekł — „zwą się cyprysami, nie wiem jednak czemu jeden z tych dwóch krzewów nazwany został Tyberyuszem a drugi Kajusem“.

KWINKTUS. Żaden rodzaj studyów nie wydaje mi się więcej pociągający. Zarodki wielkich wydarzeń leżą blisko powierzchni; dziejopisowie zapuszczają swą sondę zbyt głęboko. Niema zgoła historii wiernej prawdzie, czytałem natomiast żywoty, które, jeśli nawet nie były z nią zgodne, posiadały wszystkie jej pozory i budząc także jak ona zainteresowanie, wywierały równie dodatnią akcję.

MARKUS. Zebrałem dość faktów, odnośnych do

fantazyi, że śmierć, podobnie jak sen, umacnia różne nasze władze, z racyi swej powszechności i nieuniknioności. Lecz mglista i niespokojna wyobrażenia tych poszukiwaczy rozkoszy woli raczej wpatrywać się w przepaści, niż zwrócić się, kiedyby znaleźć mogła słodycz i pogodne skupienie. Gdy sen powraca krzepkość ciała, przypuściłbym chętnie, za łaskawem ich pozwoleniem, że śmierć odgrywa też rolę wobec umysłu — i że ciało, z którym spaja go siła przyzwyczajania raczej, niż względy rozumowe, jest niemal dolegliwością tylko naszego nieśmiertelnego ducha; dolegliwością, co jak owa remora, paraliżująca akcyę wiosł i żagli, o której marynarze opowiadają takie dziwy; staje wpoprzek najdzielniejszym naszym wysiłkom ku zdobyciu szczęśliwości. Czyżbyśmy mieli boleć nad zniknięciem tej bestyi? Żaliż nie powinniśmy raczej spieszyć co żywo ku wybrzeżu i ofiarować bogom na znak wdzięczności wszystko, co nie uległo w nas ruinie i rozkładowi? Umysł spoldony czy złamany niepowrotnie jest rzeczą najmniej godną złożenia na ich ołtarzach.

KWINKTUS. Mówisz, bracie, jak gdyby istniała wielość bogów.

MARKUS. Nieznana mi jest ich liczba i nie troszczyć się zgoła o nią. Wskazania filozofii głoszą jedność. Tu wszelako, gdzie mówimy wogóle, jak ci, co nas otaczają, wydaje mi się naturalnem, byśmy używali w tej kwestyi przyjętych w naszej

ojczyźnie określić. Italia nie jest równie płodną w cykutę, jak Grecya, mędrzec wszelako ukryje i tu odpowiednio wiele z wywodów, do jakich doszedł w tej sprawie. Wiesz wreszcie, że używając formy dyalogów, kładłem niejednokrotnie swe opinie w usta innych; obecnie stosuję się w mych słowach nie do argumentów rozumu a li tylko do zwyczaju.

KWINKTUS. Wciąż jednak uderza mię u ciebie, Markusie, pewne uprzedzenie do Epikura. Zbijałeś w swych dyalogach niektóre z głoszonych przez nich zasad, najmniej zresztą doniosłe. Żałuję, żeś nie okazał się mniej ironizującym w wypełnieniu tego zadania i mniej skłonny do używania argumentów adwokackich — żeś nie naśladował Epikura w beznamiętnej pogodzie rozważań. Dwaj mężowie, wręcz odmiennych skądinąd poglądów, Brutus i Cezar, głosili w tej kwestyi podobne zdania. Religie mogą toczyć walki uliczne i zmagać się nad grobem, nie wolno czynić tego filozofii. Powinniśmy wyrzec się raz na zawsze sposobów dyskusyi, godnych Forum; jeśli bowiem prowadzić je będziemy nadal w równie niewłaściwym tonie, ogół określać je zacznie niezadługo nietylko już wulgarnymi epitetami, po które sięga do tego nieczystego źródła, lecz nawet — gdy wzajemna zaciekłość wzmoże się do paroksyzmu, dążąc zresztą, tem samem, do wyczerpania — terminami, zapożyczonymi z krwi przelewu i gwary

dzi za sobą cierpienia, jak złudną i niedojrzałą Ambicya, poczytana za najwięcej męskie z naszych dążeń — mąż ten, mówię, ma prawo do naszej wdzięczności. Dzieci nie oparłyby się snowi, gdyby miały bawić się bezcelowo błahostkami równie długo, jak poważni ze wszech miar ludzie. Jeśli musisz już prowadzić spór z Epikurem w kwestyi najwyższego dobra, zwrócisz może uwagę na moją w tej sprawie opinię. Człowiekiem szczęśliwym jest ten, co dostrzega granicę pomiędzy pragnieniem i rozkoszą i stoi niewzruszenie na najgodniejszym stanowisku; ten, co wie, że posiadanie nie tylko nie daje zadowolenia, lecz może zniweczyć je nawet lub narazić na niebezpieczeństwo. W życiu, jak w tym pejzażu, który dostrzeglibyśmy stąd, gdyby przyświecało jeszcze słońce, przedmioty, skąpane w najbardziej miękkim świetle i zarysowujące się w oddali najpiękniejszym konturem, najtrudniejsze są do osiągnięcia i najbardziej jałowe.

Donosiłeś mi w jednym z ostatnich swych listów, żeś wkroczył wkońcu do obozu dawnego swego przeciwnika.

MARKUS. Nie mogłem w nim pozostać. Niełatwo wybaczymy ludziom, którzy zburzyli nasze groby rodzinne; słusznemli jest tedy i właściwem, byśmy darowali tym, co zrównali z ziemią gmach, ku któremu prowadziły owe groby, stanowiące jedyne pierwotny w kształtach i czasowy jego przed-sionek?

KWINKTUS. Nauki Sokratesa słuchano z większym skupieniem. Pytagoras cieszył się za życia większym autorytetem, żaden jednak z filozofów nie wywołał tyle co Epikur entuzjazmu wpośród tych, którzy nie obcowali z nim nigdy, nie widzieli go ani słyszeli jego nauczania, choć doktryny jego, same w sobie, nie należą do rzędu pociągających zapatrywań. Podobny stosunek doń musiał więc wypływać po części z czystości jego życia, po części zaś z uczucia ulgi i wyzwolenia, jakiego doznawali ludzie, kroczący jego śladem, wznosząc się ponad niespokojne i nienasycone pragnienia. Wielu, co prawda także, mówiło o nim z nienawiścią — rzecz jednak godna uwagi, dziwna i zdumiewająca — żaden z tych nienawistników nie znał go zgoła. Nienawiść zaś, która wydaje się uczuciem równie zwykłym ludziom, jak głód, wzmagają się, jak on, wobec strawy; im też smaczniejsza ta strawa, tem silniejszym jest podniecenie.

MARKUS. Nie zdaje mi się, bym spotkał się już ze zdaniem, które wygłosiłeś obecnie. Jakkolwiek nienawiść przykra jest i bezpłodna, ród nasz okazuje się istotnie skłonny do niej. Powtarzamy za Enniuszem czy innym z dawnych poetów, że zejście ku wybrzeżom Awernu nie jest rzeczą trudną; z nie mniejszą łatwością schodzimy ku zatrutym ostrzejszymi jeszcze wyziewami wodom, w których toni pragnęlibyśmy pogrążyć każdego, kto góruje nad nami pod tym czy owym względem. Ludzie ciemni

postąpimy, stroniąc od nich, równie bezsensownie, jak gdy wybuchamy gniewem przeciw naszym sługom, czy nosicielom lektyki: nie zmniejszy to ich niedbalstwa ani nieświadomości.

— — — — —

KWINKTUS. Widzę, że słudzy pozapalali lampy wcześniej, niż zazwyczaj, prawdopodobnie w nadziei, że udamy się na spoczynek o wczesnej również godzinie, by ułatwić im jutrzejsze przygotowania do uroczystego obchodu twych urodzin. Jak szybko zapadła noc naokół nas. Nie widać już zupełnie zarysu przyłądków, ani, poniżej nich, zębatej linii skał przybrzeżnych. Tylko muszle, któremi wysypana jest ścieżka i kwiaty mącznicy wydzielają się jeszcze z ciemni nikłymi plamami światłości.

MARKUS. Istotnie, niepodobna nawet dojrzeć wzgórzy Cyrceańskich, ani mniej od nich odległych i wyższych zarazem, białych skał Anxuru. Rozstajemy się z Katonem i Lukullusem, z Kornelią i jej synami, ze wspomnieniami przyjaźni i wielkości, by zwrócić wejrzenie ku Lepidowi, Oktawiuszowi i Antoniuszowi. Kto wie, czy ten tak blizki już dzień urodzin, który będzie niewątpliwie z dni podobnych najsmutniejszym, nie będzie zarazem z nich ostatnim. Śmierć ma podwójne oblicze: złowieszcze i ponure dla ludzi szczęśliwych, dobrotliwe i niemal radosne dla tych, którym przeciwne są losy: — starcze, gdy patrzy na nią młodość, przejęta

grozą na jej widok i lękiem na dźwięk jej głosu, młode dla starca, do którego wezgłowia zbliża się jak przyjaciel, przemawiając doń szeptem wzywającym do wypoczynku. Nas, Kwinktusie, co przebyliśmy tak długą już drogę życia, nas, znużonych bezładną jej plątaniną i doznających zawrotu wobec jej przepaści — wita śmierć nadchodząca pogodnym wezwaniem. Przyjmijmy ją przyjaźnie.

Jeśli życie jest darem, którego wyrzekłby się chętnie każdy, ktoby mógł przewidzieć, na czym dar ów polega, — wynikaćby stąd powinno, że również każdy, kto posiadał doświadczenie, pragnąłby rozstać się z istnieniem. Oczywiście mam jedynie na myśli ludzi zdecydowanych, rozważnych i prawych, nie zaś zastępy tych, co, jak wielkorządcy pełniący niesumiennie swe czynności, zdjęci są trwogą na myśl o utracie przywilejów i złożeniu władzy, której nie byli godni zgoła. Gdybyśmy posiadali pewność, że z biegiem lat, wzrastać będziemy w mądrość i zbogacać się w szczęście — wówczas zaiste byłaby długowieczność ze wszech miar pożądaną. Ponieważ jednak, przeciwnie, nasza moc duchowa niszczeje powoli, a wraz z tem opuszczają nas radości, ustępując miejsca smutkom i chorobie, przeto chęć zejścia ze świata, nim jeszcze ugiął nas lat ciężar i zgnębiły cierpienia, nim czas ogołocił z najszlachetniejszych wartości — jest zasadniczo słuszniejszą nad wszystko. Zdawaćby się mogło na pozór, że

śmierć i życie przynależą nam w większym niż cokolwiek stopniu, wolnoli nam jednak istotnie poczytać za nasze to, co przychodzi i opuszcza nas bez udziału naszej wiedzy, czego nie mocniśmy ni zmienić ni usunąć, co zdolniśmy przewidzieć poniekąd tylko? Niewielu ludzi może regulować do pewnego stopnia bieg swego żywota; nikt nie jest mocen zakreślić granic wydarzeniom, wykluczać możliwości zajścia tych, czy owych faktów, orzekać o niej co do innych. Jakąż wobec tego wagę winien przywiązywać do istnienia człowieka, co zastanawiał się nad nim bliżej, gdy obowiązek lub konieczność wzywała go do opuszczenia świata? I jakąż przykrość może odczuwać na myśl przejścia do stanu, w którym, w każdym razie, czeka go mniej, niż na ziemi niepowodzeń i przeszkód niezwalczonych? Podobny jest wodzowi, co, po dzielnym przetrzymaniu długiego oblężenia i szturmów nieprzejednanego wroga, spełniwszy do końca swój obowiązek i wyczerpawszy amunicję — wydostaje się na światło dzienne, poprzez ukryte i mroczne galerie podziemne forticy.

Ze wszystkiego płynie właściwy pożytek; życie uczy nas pogardy śmierci, śmierć pogardy życia. Sława, wysuwająca się na plan przedni wpośród rzeczy, wypełniających istnienie pomiędzy początkiem jego i końcem — choć niektórzy filozofowie widzą w niej tylko próżność próżności i źródło

zawodów — podnieca nieraz wielkie umysły, na które nic innego nie wywarłoby podobnej akcji i prowadzi tam, gdzie dane im jest służyć najlepiej i najkorzystniej sprawie publicznej. Gardzić nią mogą prawdziwie ci jedynie, co zdobyli ją istotnie. Ludzie pospolici i o niskich instynktach, ludzie nieświadomi powinni by wybierać inne przedmioty dyskusyi. Filozof, osądzający ją surowo, liczy w rzędzie swych uczni różnych szalbierzy i wyobraża sobie może, że jego szkoła przetrwa inne. Są i tacy wszelako, którym mogło zabraknąć tylko sposobności do osiągnięcia sławy; przyznają to najzupełniej. Byli, jak zegary słoneczne, postawione w cieniu, zawsze gotowe do spełnienia swych czynności, nie zużytkowane nigdy. Dzieje się to przy rządach monarchicznych lub tam, gdzie najwyższe stanowiska zajęte są przez ludzi, którychby można było dopuścić zaledwie do miejsc drugorzędnych i których czynami kieruje nierównie częściej zawiść, niż sprawiedliwość.

Niewątpliwem jest, że rozdawcy sławy rozporządzają jej honorami w sposób równie niesłuszny jak dowolny, gwałcąc a nawet wypaczając całkowicie zasady, któremi kierować się należy w przyznawaniu naszym spółbliźnim prawa do czci naszej i hołdów. Kto chce być poczytanym za wielkiego wpośród ludzi, musi dopuścić się wobec nich jakiegoś niecnego czynu; im dłużej zaś krzywdzić ich będzie, tem żywsze wzbudzi uwielbienie.

życie i — co jest równie niemożliwym — wiedzieć z góry wszystko, na co patrzyłem w ciągu swej egzystencji, zawierałbym nieliczne bardzo znajomości, mniej jeszcze przyjaźni i nie posuwałbym się z nikim do zażyłości. Próżny balast tych stosunków — bo tem są tylko przeważnie — osłabia polot umysłu i obniża jego wartość. To, co domaga się podpory, runie, o ile wyrosło dość wysoko, lub, w przeciwnym razie, niknie, ukryte przez nią.

W literaturze przyjaciel małej miary okazuje się szkodliwszym dla wielkiego człowieka od jego potężnych wrogów. Nie przeciwnicy to bynajmniej podcinają w zarodku młode pędy naszej chwały, nie oni zieją na późniejsze zatrutem tchnieniem jadu. To dzieło ludzi, którzy, leżąc u stóp naszych, obejmują nas, zdałoby się, pełnem czulej troski wejrzeniem, pokąd, od wzrastającego wciąż cienia naszej postaci, nie powieje na nich chłodem. Wówczas poczynają przedstawiać nas, jako mężów niezaprzeczonej zasługi i dobrych obywateli, lecz próżnych raczej i — mówiąc już całą prawdę — pełnych pychy i zarozumienia. Nie wątpię bynajmniej o naszych uzdolnieniach literackich, lecz sprawiedliwość nakazuje im zaznaczyć, że oto wysuwają się na widownię imiona, zapowiadające świetniejsze urzeczywistnienia. Nalegaj, by ci je wyjawili, a przybierając się w skromność, odpowiedzą miękko i wstydliwie, że nie przystoi

im właściwie przytaczać panegiryków, które ich doszły i że nikt nie może wymawiać własnego imienia z takimże naciskiem, z jakim wymawiałby obce.

Miałem w sobie ongi pewną elokwencyę i dążyłem ku wyżynom pod przewodnictwem ducha najszlachetniejszych Greków. Oto jak myśleli o mnie ci ludzi i nie myśleli nic ponadto. Dotarli do cieśniny i ujrzeni przed sobą granice, zakreślone ich zrozumieniu: nieprzybyty Atlantyk światła intelektualnego. Obecnie jestem złym obywatelem i gorszym jeszcze pisarzem; dzieła mego nie grzeje tchnienie własnego ducha. Podnieta przychodzi mi od przeciwnika, tłum mi podporą. Nie istnieję poza Forum, Trybuną i Senatem, indywidualnie nie jestem zgoła niczem.

— — — — —
— — — — —

Czy pamiętasz przypowieść o Kritobulusie?

KWINKTUS. Nie przypominam jej sobie zupełnie.

MARKUS. Przesłał mi ją Pomponiusz Attikus wkrótce po moich zaślubinach. Czyżbym mógł nie pokazać ci nawet tego daru?

KWINKTUS. Dziwiłbym się sam, Markusie, żeś otrzymał rzecz tak cenną i tak rzadki dla Rzymu nabytek, jak nowe jakieś dzieło greckie, nie udzieliwszy mi go następnie, gdybyś nie zaznaczył,

w jakim stało się to momencie. Pragnąłbym usłyszeć ten apolog.

MARKUS. Wędrowałem był — mówi Kritobulus — poprzez las, gdy nagle ujrzałem przed sobą niewielki krągły basen, czy też staw może, o wodach kryształowo przezroczystych, na którego środku widniała, pomnę to dobrze, kępa białych kwiatów i rozłożystych liści, gdy u brzegów nie było żadnej roślinności. I oto, niespodzianie, wysunęła się z poza mnie smukła i piękna postać, stając pomiędzy mną i taflą wodną. Patrzyłem na nią w zdumieniu. Nie mogłem określić, jakiej płci było to zjawisko, o formach młodzieńczych, które, pochyliwszy się, zwróciło oblicze ku wodzie, szukając w niej swego odbicia, na wzór Hylasa lub Narcyza. Lecz wnet, chyląc się więcej jeszcze, jęło rwać, by zdobić się w nie, co najprostsze kwiaty, przekładając, jak mi się wydało, nad inne i darząc szczególną czułością te, na których pozostawiła ślad jego zręczna stopa. I dopiero skończywszy z tem, odwróciło się i spojrzało na mnie wzrokiem obojętnym i niejako obcym. Zobaczyłem teraz, iż mam przed sobą kobietę i, im dłużej spoczywało na niej me wejrzenie, tem większym żarem płonęło serce, lecz tem więcej wzrastało również nurtujące mnie zakłopotanie. Dojrzała to i uśmiech rozchylił jej wargi. Miała pogodne i wielkie oczy; nie było w nich zamyślenia płynącego z wahań ani też rozizgrania, zwiastującego

łatwy podbój; oblicze jej jaśniało cudnem światłem, jak gdyby padały na nie blaski od promienistych obłoków, sunących po niebie. Wdzięczna jej postać sprawiała wrażenie, że choć wszystko przystosowane w niej było doskonale do życia czynnego, miała naturalną skłonność do wypoczynku. Zapragnąłem ująć dłoń jej. „Zrób to“ — rzekła — i nigdy chyba nie padło na śmiertelnego równie boskie wejrzenie, jak na mnie w owej chwili. Powiedziałem jej to. „Mówisz rzecz słuszną“ odparła. Wyobraziłem sobie wówczas, że jest istotą prostą i słabą, lubującą się w pochlebstwach i począłem prawić jej wszelakie komplementy. Odwróciła twarz ode mnie, nie odpowiadając ni słowa. Wyznałem jej płomienną swą miłość dla niej — oddaliła się ode mnie o kilka kroków. Kląłem jej się, że ktokolwiek widział ją raz tylko, nie zdolen jest żyć bez niej — odeszła nieco dalej jeszcze. „Nie, nie opuścisz mię, klnę się na bogów nieśmiertelnych!“ — wykrzyknąłem rozpacznie. Spojrzała na mnie dobrotliwie, potrząsając jednak głową. „Należysz więc do innego! Powiedz mi, powiedz! Niechaj padnie wreszcie z ust twych słowo wyjaśnienia. Niechaj śmierć zabierze mnie ze świata!“ Uśmiechnęła się, bardziej melancholijnie niż poprzednio i przemówiła wkońcu: „O Kritobulusie, należę istotnie do innego. Związana jestem z rodem bogów“. W miarę, jak mówiła, wydało mi się, iż przenika mię jakaś

atmosfera niebiańska; jednocześnie wstrząsnął mną dreszcz namiętny. „Mogłem być domyśleć się tego!” wykrzyknąłem po chwili. „Czemu jednak ukazałaś się mym oczom, jeśli miałaś dręczyć mię tylko”? Ale ona poczęła wówczas igrać ze mną i swawolić, jak przystało jej latom raczej (tak przynajmniej sądziłem), niż jej godności i, nie czerwieniąc się nawet, położyła mą rękę na kwiatach, które trzymała na kolanach. Cała woda źródła nie byłaby mogła w owym momencie ukoić mego pragnienia. Brzęczenie owadów naokół nas i świegot ptaków, dźwięk jej głosu nawet — wszystko zlewało się w mych uszach w jeden szmer wielki, jak zlewają się barwy w pełni intensywnego światła. A ona mówiła rzeczy miłe i powabne, które jednak nie pozostawiały pierwotnie w mym umyśle żadnego wrażenia. Gdy zaś wreszcie zdolny już byłem coś zrozumieć i przysłuchiwałem się z uwagą, poczęła wyrwać mi z głowy siwe włosy i krytykować barwę tych, których szron nie przyprószył był jeszcze. Serce zamarło mi w piersi. Po włosach przyszła kolej na inne me niedoskonałości: odnajdywała je wszędzie niemal. „Ach, wykrzyknąłem żałośnie, przywykłaś do obcowania z bogami, nic więc dziwnego, że odkrywasz we mnie tylko wady i braki, nie sądzę wszelako, bym uchodził wpośród mych spółbliźnich za upośledzonego pod każdym względem“. Lecz ona nie zwracała prawie uwagi na me biadania i na me podrażnienie i roz-

trząsała nadal przez czas dłuższy me ułomności z tym samym spokojem i tą samą słodyczą, by oświadczyć mi w końcu, że usposobiona jest dla mnie nader przychylnie i pragnie natchnąć mnie wzajem tkliwością. I gdy oto zbierałem się odpowiedzieć jej w słowach zachwytu i uniesienia, wrażliła mi nagle, w młodzieńczem rozswawoleniu, kolec, który trzymała w ręku, bawiąc się nim, w część ciała dźwigającą, gdy siedzimy, cały jego ciężar. Być może, iż ostrze wbiło się głębiej, niż było jej zamiarem, wiem tylko, że, chwytając za nie, skoczyłem w górę, pełen gniewu i sromu, gdy poczułem, w tymże momencie, że coś dotyka mej ręki. Był to naramiennik, na którym widniał sadzony wypukło brylantami napis: „Jowisz, córce swej Prawdzie“.

A ona odstąpiła znów ode mnie, mówiąc z wdziękiem niezrównanym:

„Zbyt młoda jestem dla cię, Kritobulusie, i zbyt prosta, będziesz jednak kochał mię zawsze. Przystanie też z czasem ta miłość być ci źródłem nieszczęścia. Żegnaj mi teraz“.

KWINKTUS. Wybacz, że ci przerywam. Powtarzano mi niedawno zabawną refleksję Asiniusza Poliona: twierdził mianowicie podczas pewnej biesiady, że wysławiasz się, jak gdybyś był Allobrogiem.

MARKUS. Przypuszczam, że po biesiadzie raczej i wspólnie z Antoniuszem. Ulegając naturalnemu

popędowi instynktu, Asinius szuka z zapalem martwych badyli wpośród najswiezszej nawet trawy, a gdy ich znalezc nie moze, sni o nich i marzy. Zawdzieczam bezsprzecznie Allobrogom cos z mej wiedzy, a wiec i form mej mowy — ile wszelako, nie moglbym okreslic z cala dokladnoscia: mury Romulusa, przybytki Janusa i Saturna, swiatynia Jowisza Kapitolińskiego, — wszystko, co zdoalem uchronic podczas mego konsulatu, dzieki wyznaniom, jakie wydobyłem z ich wyslancow, znajduje sie w zbytniej wielkiej odleglosci od tego tarasu.

KWINKTUS. Dosć faktów z twej przeszlosci moze niesc ci niewatpliwie skutecznà pociechę. Swiadmosc zaslug polozonych jest tarczà przeciw zarzutom, wynosi ponad przeciwnosc i rozprasza magicznie mrocznà grozë smierci. Ciężko jest niemniej, bracie, pozostawic za sobà dzieci, o ile, oczywiscie, danem im będzie zachowac zywot.

MARKUS. A jestto przecie ta z pośród mozliwosci zycia, do ktorej powinniśmy byc najlepiej przygotowani, jako do najzwyczajszej w trybie bytu natury. Gdy mówimy do swych przyjaciół, zegnajac sie z nimi na lozu smierci: „Nie ujrzę cię wiecj“ — co poczytane jest przez umysly szlachetne za rzecz najsmutniejszà w oczekujacej je przemianie, — zachowujemy sie, jak gdybyśmy mieli nadal odczuwac takiez jak za dni istnienia pragnienie i takzà potrzebe ich widoku. Niekonsekwenca tak ogólna, że nie zostala dotąd zaznaczona

przez nikogo. To też uwaga moja, która wydaje ci się może nazbyt trywialną, niepokoi nieco swą nowością, zanim zawarta w niej prawda zdobywa jej uznanie. Przekazujemy dzieciom naszym niwę, opromienioną blaskiem naszej glori i użyzioną przykładem, jakiśmi im nieśli — wielką spuściznę, której nie może odebrać im wyrok pretora ni proskrypcya, wyjmująca je z pod opieki prawa. Nawet upadek nasz nie jest dla nich bezpłodnym: gwałtto bowiem sprawia, że rzecz, nie będąca istotnie klęską, wydaje się nią często; sam też wynagradza w pewnej mierze krzywdy, jakie czyni, niecąc w sercach tliwość i współczucie. Dzieci są dla nas źródłem szczęścia, które najwłaściwiej chyba porównać można z błogością, jakiej doznaje istota boska. Przypuszczać bowiem, że Bóstwo czerpie najwyższą rozkosz z tego, co działo i działać może, — znaczyłoby stawiać je na jednym poziomie z atletą czy szybkobiegaczem. Ukształtowanie świata czy tysięcy światów jest dlań równie łatwym jak ukształtowanie atomu. Intellekt i wszelkie wartości moralne są podobnież jego dziełem, które poddaje jednak w dużej mierze naszej woli. Patrząc, jak zdobywamy ją i wyносimy się ponad swe ułomności, odkrywając w nas z dniem każdym bliższe upodobnianie mu się naszej treści moralnej — znajduje w tem zadowolenie dla swej dobrotności. Każda nasza radość jest rezultatem wysiłku; żadna nie może rodzić

się z niego u bóstwa, wysiłek bowiem, w znaczeniu, jakie przywiązujemy do tego słowa, sprzeciwia się zasadniczo pojęciu wszechpotęgi.

KWINKTUS. Mów jeszcze, bracie. Ilekroć przychodzi na mnie upadek ducha lub też nadmierne podniecenie, słowa twe wracają mi utraconą równowagę. To, coś powiedział w zbyt zwięzły sposób o naszych dzieciach, przyniosło mi wielką ulgę i osłode.

MARKUS. Świadom jestem słuszności mych refleksji, a jednak, o Kwinktusie, są łyzy, których nie osusza filozofia i ból, który wschodzi w nas, gdy zbliżamy się do bogów.

Dwie rzeczy, poza filozofią, zdziałać mogą najwięcej ku poskramianiu pierwotnych namiętności, wstrząsających naszą istotą, i stawieniu zapory ich nadmiernemu rozrostowi; są niemi sprzyjające, że tak powiem, smutki i niewinne przyjemności, gdy jedno i drugie nie przekraczają pewnej miary. Istnieje poza tem przyjemność, prosta zapewne, lecz pełna czaru i przenikająca do głębi, która wykwita niejako z naszych smutków, godzi nas z nimi stopniowo i niejednokrotnie usposabia wręcz niechętnie do rozstania się z nimi. Jeśli wogóle święciłeś kiedy rocznicę utraty drogiego sercu przyjaciela — dzień ten wydał ci się z pewnością więcej podniosłym, a tchnącym zarazem większym spokojem, niż dzień poprzedni. Jeśli nawet żal jakiś pozostał w duszy, to rozprószy go niebawem

radosne niemal uczucie, jakiego doznajemy, wypełniając wobec Przyjaźni pobożny obowiązek, zgodnie z nakazami Natury. Gdy przeznaczenie zabrało mi Tulliołę, powstały wnet w mej myśli tysięczne plany nieśmiertelnego przechowania jej pamięci i wzniesienia pomnika memu wielkiemu i ciężkiemu cierpieniu. Wzniosło go ono samo; łzy, które wylewałem wówczas, ukoili jego udrękę i działały wszystko, co można było działać, czego mogłem pragnąć i ku czemu dążyć. Wzywałem Tullioli — usłyszał mię Rzym i świat cały: jej chwała była częścią mej chwały; moja — udzielała się jej odwrotnie. I gdy Wieczność przyjęła ją z rąk moich i za mem sprawieniem — nie płakałem już więcej. Tkliwość, z jaką wspomniałem ją i wspominał dotąd, tłumie wprawdzie głos w mej piersi, lecz niesie zarazem pociechę i porzepienie: jest niby miód i mleko, pozostawione przy grobie, niemniej nad nią słodkie, jak ufam, tym, co nas opuścili.

Bogowie, którzy obdarzyli nas uczuciami, pozwolili nam tem samym na wszystkie ich przejawy. Nadmierny smutek, jak wszystko, wykraczające poza należne granice, próżny jest i szkodliwy. Gdybyśmy jednak nie pobłażali mu u innych i nie umieli dźwigać go sami, ani też przygotowywać się doń, współczuć mu i zespalać się z nim, ukochać go nawet w pewnych momentach, — zdusilibyśmy w sobie i unicestwili częściowo najcenniejsze na-

sze wartości: wiele pierwiastków naszej wrażliwości i wiele szlachetnych porywów, wiele patryotyzmu i wiele geniuszu wreszcie.

Gdy słyszę kogoś, wzywającego swych bliźnich do męskiego wstrzymywania się od łez wówczas, gdy powodem ich są uczucia, płynące z serca i z instynktu społecznego, zaczynam wątpić o humanitaryzmie i nie dowierzać mądrości tego doradcy. Prawdziwa ludzkość czyniłaby go skłonniejszym do litości i sympatyi, niż do szafowania naganą i morałem; mądrość wskazałaby mu, iż łzy są lekiem przeciw smutkom i doświadczeniom, zesłanym nam przez Naturę, choć, jak wszystkie leki winnyby nieść pomoc i ulgę w ukryciu. Powiedzą nam, że filozofia może nie dopuścić do wylewania łez, odwracając ich źródła i wznosząc mur ochronny przeciw żalom i cierpieniu. Co się mnie tyczy, uważam, że czysta filozofia, oderwana całkowicie od naszych pożądań i namiętności, nie tylko nie jest nam pewniejszą nad wszystko podporą, lecz nawet w najlepszym wypadku, przynieśćby zdołała słaby bardzo pożytek. Nadmiar zlewającego się na nas światła, oślepia tylko; nadmiar teorii filozoficznych mąci zrozumienie. Nie miałem czasu i możliwości napisania wszystkiego, co mógłbym był napisać, o przedmiotach, nad którymi zacząłem zastanawiać się zbyt późno. I gdzie są, o Kwinktusie, ci, których uznanie byłoby mi podnietą i zachętą w tej pracy! Do Tuskula-

n ó w mych wniosłem niewiele całkowicie własnej zawartości: zaniechając roztrząsania wszelkich pozorów prawdy, szukałem przede wszystkim tego, co jest pożytecznym i, z rzadka jedynie przystępując do dyskusji ze zręcznym argumentatorem, słuchałem nierównie chętniej wskazań mędrca. Jeśli chcesz określić, co w dziele mem należy do mnie istotnie, wystarczy, byś sprawdził, a nie będzie ci to trudnem, jak ogromna jest ilość rzeczy nieziszczalnych, fantastycznych i bezpodstawnych, które wnoszą do swych systemów moi poprzednicy i jak wiele trzeba było przyłożyć czujności i zmysłu krytycznego, nie mówiąc już o cierpliwości i rozwadze, by dokonać w nich właściwego wyboru. Arystoteles jest jedynym z filozofów, z których teoriami zapoznałem się z blizka (o ile nie wyożesz na mnie ustępstwa na korzyść Epikura), który nie tonie w marzeniach i nie rozprasza się na błahostki — niemal jedynym też, którego forma słowna, zmieniając się stosownie do przedmiotu, zachowuje jednak zawsze powagę i zwięzłość, siłę przekonywającą i dostojność i który, nie schodząc nigdy na tory namiętnych dytyrambów, nie grzęźnie również w mdłej i płytkiej gadatliwości. W wielu okolicznościach zapożyczałem się bez wahania obficie u tego, który w tak licznych kierunkach, udzielać nam może hojnej pomocy. Wszystko, co zebrałem w taki sposób i co powstało z mych własnych zasobów

duchowych, dotyczy celów i dążeń naszego życia politycznego, społecznego i rodzinnego. Jakąkolwiek też (z łaskawem pozwoleniem Polliusa) jest wartość mej elokwencji, starczyło mi jej w każdym razie do rozświetlenia i zbadania dziedzin, które Grecy okrężali niedbale, nie dokonując w nich bliższych poszukiwań. Lecz choć sądzę, iż działałem nieco więcej niż oni, niejednokrotnie jeszcze ubolewam nad szczupłością swego dobytku i nazbyt ciasnymi granicami, w których musiałem zamknąć swe wycieczki myślowe. Każde zagadnienie prowadziło mię do nowych zagadnień, rozpatrywanych coraz umiejętniej. I jak Archimedes, którego grobowiec widzę teraz przed sobą, jak wówczas, gdy odnalazłem go po raz pierwszy w Syrakuzie, mógłbym niemal domagać się od wroga mego — czasu rozwiązania mego problemu.

Kwinktusie, Kwinktusie! Dajmy folgę naszej radości: nie zajdzie już nam potrzeba krycia się przed wrogiem ni łagodzenia jego gniewu. Bez wysiłku zgoła zbliżamy się ku krainie, kędy daniem nam będzie poznać wszystko, co poznać pragniemy — i jakże nieskończenie więcej nad to, czego zdołalibyśmy nauczyć się kiedykolwiek w Tusculum czy w Formii, w Rzymie czy Atenach!

Piotr Wielki i cesarzewicz Aleksy.

PIOTR. A więc tedy, uciekłeś pierwotnie z ojcowskiego domu, powracasz znów teraz z Wiednia, dokądeś się był schronił. Śmiesz zjawić się przede mną po afroncie, jaki mi uczyniłeś, wobec całej Europy.

ALEKSY. Nie własnowolnie wszak, panie i ojczy, staję dziś przed twym majestatem.

PIOTR. Niepotrzebnie zupełnie zapewniasz mię o tem.

ALEKSY. Nie chciałbym pobudzać cię do gniewu.

PIOTR. Ciekawym jednak, co skłoniło cię, zuchwalcze, do tej ucieczki?

ALEKSY. Nadzieja spokoju w ukryciu, nadzieja zdobycia osobistego bezpieczeństwa, a nadewszystko pragnienie nie obrażania cię już więcej mymi postępkami.

PIOTR. Na tym punkcie osiągnąłeś w zupełności cel wysiłku. Ale czy wyobrażałeś sobie istotnie, że mój dostojny kuzyn austriacki zachowa cię na swym dworze?

ALEKSY. Nie, panie. Przypuszczałem tylko, że zechce udzielić mi przytułku.

PIOTR. Czy miałeś choć pieniądze?

ALEKSY. Tak, nieco złota.

PIOTR. Wiele mianowicie?

ALEKSY. Około sześćdziesięciu sztuk monety.

PIOTR. Za połowę ich nawet nie szczeniłby ci był obietnic, lecz i dwakroć większa kwota nie wystarczyłaby ci była, głupi łotrze, na zdobycie dachu nad głową.

ALEKSY. Wiedziałem to nawet ja, Panie, jakkolwiek nie zdaje się, by zrządzenie losu urodzenia pozwoliło mi osiąść kiedykolwiek dom własny. Twoja szczodrość zapobiegała przytem dotąd wszystkim mym potrzebom.

PIOTR. Nie zdołała zapobiedz brakowi mądrości ani poczucia obowiązku, brakowi rozumu, odwagi i ambicyi. Chowałem cię między gwardzistami i ich końmi, przy muzyce trąb i bębnow, wpośród masztów i flag okrętowych. Gdy byłeś dzieckiem i z trudem jeszcze przebierałeś nogami, brałem cię do arsenału, choć sprzeciwiało się to przepisom regulaminu. Toczyłem w twych oczach kule armatnie po płaszczyznach z żelaza i pokazywałem ci lśniącą broń nową — bagnety i szable. I wrażałem ostrze jej w dłoń mą, aż krew poczyniała tryskać zewsząd, a ty ssałeś wówczas krew tę ustami. Potem zaś robiłem z tobą toż samo. Miałeś lat dziesięć, gdy zacząłem dosypywać prochu do twego grogu i karmić cię pieprzonemi brzoskwiniami i melonem oblanym wodą

morską, z dna okrętu z przymieszką zdrowej, smakowitej smoły. Sprowadzałem dziewczyny, które pieściły cię, ale i przedrwiwały i mówiły gwarą marynarzy, by rozwinąć w tobie pewną dzielność. Ale to wszystko nie pomagało zgoła. Nic, przypomnij sobie! Sam wiodłem cię do okna, gdy wieszano lub rozstrzeliwano ludzi i pokazywałem ci codzień przepołowione lub poćwiartowane ciała; posyłałem szambelana lub adjutanta po głowy i zrywałem z nich nakrycie i zmuszałem cię, niepoprawny tchórzu, do wpatrywania się w nie, mimo twej woli!

Ale powróćmy do twej skandalicznej ucieczki z pałacu, dokonanej na domiar w chwili całkowitego pokoju. Przystąpmy do samej rzeczy. Czy mój dostojny kuzyn zaprosił cię właściwie? Chcę wyraźnej odpowiedzi.

ALEKSY. Czy danie ci jej nie będzie połączone z ujmą i szkodą dla Jego Cesarskiej Mości?

PIOTR. Jakąż szkodę, pomyśl tylko, może wyrządzić swym językiem ty lub tobie podobny, człowiekowi postawionemu równie jak on wysoko?

ALEKSY. Nie zapraszał mię obecnie. Nie mogę też twierdzić, by uczynił to kiedykolwiek. Wyraził mi jedynie swe współczucie.

PIOTR. Współczucie! Z jakiejże racji? Licz się ze słowami. Ale mniejsza o to. Monarchowie litują się nad ludźmi, gdy chcą uczynić z nich zdrajców; serca ich stają się wówczas miększemi, niż trzewia.

Cesarz austriacki okazuje ci litość, naiwna duszo, gdy chce wygrażać tobą ojcu, ale, przekonawszy się, że sobie z nim nie poradzi, jemu współczuje obecnie i biada nad zuchwalstwem i krnąbrnością syna. W początku jednak musiały nastąpić z jego strony jakoweś awansy. Zbyt nieśmiały jesteś, byś mu się sam narzucił. Nie umiałeś nigdy kłamać — brak ci po temu sprytu, powiedz mi teraz prawdę, całą prawdę.

ALEKSY. Mówił mi, że o ile szukałbym schronienia, dwór jego stać mi będzie otworem.

PIOTR. Jak tawerna, ale w tawernie trzeba płacić za wszystko, czego ludziom dostarcza. Otworem! I byłoż tak istotnie?

ALEKSY. Cesarz zachował się wobec mnie przyjaźnie.

PIOTR. Widzę to, widzę.

ALEKSY. Nie zasługuję, ojcze, na twe szyderstwa.

PIOTR. To prawda. Nie miałem też bynajmniej intencji szydzić z ciebie.

ALEKSY. O dobry mój ojcze! Ukarz mię teraz według swego uznania.

PIOTR. Nędzny tworze! Chciałbyś może ucałować mą rękę? A czy wiesz choć, że Austryak odrzucił cię równie obojętnie, jak najmarniejszy liść ziela, przepalonego przez słońce?

ALEKSY. Nie jest mi to tajemem, niestety.

PIOTR. Odesłał cię tu na mój rozkaz. Gdybym zażądał był odeń, by córka jego dzieliła łożę pierw-

szego lepszego kałmuka, zgodziłby się na to, sławiąc jeszcze Boga.

ALEKSY. Ojcze, czyż poczytywać mi będziesz za zbrodnię jego małość?

PIOTR. Nie, tyś popełnił większą zbrodnię. Nosisz się z zamiarem obalenia wszystkiego, co było dziełem mego życia. Nigdy nie radowałeś się z mych wiktoryi.

ALEKSY. Radowałem się twemu szczęściu i bezpieczeństwu.

PIOTR. Kłamco! tchórz! zdrajco! Winszowałeś mi szczerze, gdy poskromiłem Polaków i Szwedów? Upiłżeś się choćby w domu czy poza domem, czciłżeś Pana bitew i Świętego Mikołaja? Nie byłżeś wówczas milczący i przykładowy, nie pokazałżeś się małoduszny!

ALEKSY. Ubolewałem nad niepowetowaną stratą tyłu istnień, nad tem, że najszlachetniejsi i najlepsi padali pierwsi ofiarą, że smutek i żałoba nawiedzały przedewszystkiem ludzi najspokojniejszych i najzacniejszych. Biadałem, widząc, że niepowściągliwość wyrugowała zewsząd skromność i umiarkowanie, że gdzie był porządek, nastął bezład i że Wasza Cesarska Wysokość obraca wniwec wielkie plany, które sama tylko powziąć była zdolna.

PIOTR. Obracam w niwecz! W jaki sposób? I jakieżto plany masz na myśli?

ALEKSY. Twe zamiary dania cywilizacyi temu kra-

jowi. Polacy posiadli ją częściowo, Szwedzi w wyższym stopniu, niż jakikolwiek naród kontynentu. I tak są biegli w sztuce wojennej, a tak poza tem waleczni, że każdy żołnierz, który ginął w ich szeregu, kosztował cię siedmiu czy ośmiu ludzi.

PIOTR. Łiesz, jako żywo. Nie kosztował i sześciu.

A już co się tyczy cywilizacyi, to istotnie niepoślednia. Żyd albo liburneńczyk nie dałby i trzech dukatów za suknię metropolity z Upsali. Nie sądzę też, by Polska i Szwecya miały być jedynymi krajami, produkującymi wielkich monarchów. I jakie mają prawo do takich Gustawów i Sobieskich! Europa powinaby wejrzeć w to, zanim niezadowolone nie stanie się ogólnem, by lud nie postąpił z nami, jak my na mocy przywilejów postępujemy z ludem. Ale tracę napróżno słowa; z podobnymi tobie obłąkańcami niema argumentów, ani rozumowania. Pragnąłbyś więc, bym pozostał w spokoju Polaków i Szwedów, dwa tak potężne narody?!

ALEKSY. Z tej właśnie i innych racyi uważałem, że nie należy zaczepiać jednego ni drugiego, pokąd nie wzrosniemy sami w potęgę i liczbę.

PIOTR. A więc śmiesz zaprzeczać mi w oczy prawa do pełnienia najwyższej władzy?!

ALEKSY. Boże uchwaj mię od tego.

PIOTR. Boże uchwaj! Jak gdyby tacy jak ty nędznicy liczyli się z nakazami Boga. Bóg zabrania dzieciom nieposłuszeństwa wobec rodziców. Bóg

zakazuje... zakazuje wielu bardzo rzeczy. Nie życzę sobie, nie chcę mieć następcy, który roi o jakichś zaginionych ludach.

ALEKSY. Ależ ojczcie — nie roilem zgoła o niczem podobnem.

PIOTR. Nie tylko roileś, ale mówiłeś nawet: zwa ich Scytami, o ile pomnę. Któżto ci powiedział, mości profesorze, że ci Scyci byli od nas szczęśliwsi, że nie mieli instynktów szkodniczych, że pędzili żywot narodu wolnego, wędrując ze swymi wozami od pastwiska do pastwiska i od rzeki do rzeki; że w wymianach handlowych wykazywali dobrą wiarę, a w walce prawdziwą odwagę, że nie czynili nikomu krzywdy, nie dopuszczali się najazdów i nie lękali się nikogo i niczego. Mierzając twą miarą, ja nie zdziałiałem nic zupełnie. Słyszałem był w Holandyi, że wielki założyciel Rzymu zabił swego brata, który drwił ze słabości murów miasta. Miałżeby fundator potężniejszego państwa oszczędzać wyrodnego syna, który przekłada tryb bytu koczowniczy nad żywot na łonie cywilizacyi, wozy nad grody, Scyta nad Moskwićina? Zgoliłem brody mojego ludu i przyodziałem go na sposób europejski. Dałem mu regularną armię, kapelę wojskową i tornistry żołnierskie. Czyżto łuki więcej warte są od armat, a pasterze lepsi od dragonów, czy mleko kobyle smaczniejsze jest od brandwajnu, a surowe mięso od pieczonego? Twoje dogmaty godzą w same podstawy

zdrowego ustroju państwowego. Każdy monarcha powinien trzebić je ogniem i mieczem. Niemasz innej broni wobec fałszywych doktryn: pierś przeciw piersi nie wystarczy.

ALEKSY. Nie próbowałem nigdy, panie, szerzyć mych opinii.

PIOTR. Nie zdołałbyś tego uczynić. Posiew padłby na skałę z granitu. Ci jednak, których uszu doszły twe poglądy, powtórzyli mi je.

ALEKSY. Nigdy nie obniżałem doniosłego znaczenia cywilizacji; przeciwnie, ubolewałem nad wszystkim, co tamowało jej postęp. Zło, jakie jej przypisywano, wypływa, mem zdaniem, z jej istniejących jeszcze braków i zbroczeń; wogóle zresztą ludzkość zdobyła ją dotąd w bardzo szczupłym zakresie.

PIOTR. Jakże to rozumiesz? Wyłóż mi swe racje, a właściwie przywidzenia, bo wszak niezdolny jesteś kierować się czem innym.

ALEKSY. Gdy widzę, jak ludzie, przodujący stanowiskiem i geniuszem, żywią dla się wzajem nienawiść i uciekają się do kłamstwa i oszczerstwa, by oczernić i poniżyć przeciwnika, gdy słyszę zewsząd głosy, wzywające Boga przebaczenia, by uświęcał mordy i wznoszące doń dziękczynne modły za to, co Bóg ten potępia i odrzuca — daremnie szukam wówczas u barbarzyńskich nacji czegoś bardziej barbarzyńskiego. Wyraziłem był istotnie uwielbienie dla naszych przodków, którzy, nie będąc chrześcijanami, okazali się niewątpliwie

na wszystko istnieją formy prawne. Nie przedłużaj mej niepewności. Mój ojciec twierdzi, aż nadto słusznie, że zbywa mi na odwadze, lecz śmierć, która poprowadzi mię przed oblicze Boga, nie zbudzi we mnie strachu“.

PIOTR. Widziałem już takich bladoliczych łotrów, umierających mężnie. Widziałem u nich spokojną zawziętość, jaką mają białe łasice o drobnych zębach i zamglonych źrenicach. Odczytałeś mu papier?

KANCLERZ. W części tylko. Gdy usłyszał, że Wasza Cesarska Wysokość oskarża go o zdradę stanu, knowanie buntu i zamiary ojcobójcze, zwałił się na ziemię bez głosu. Podnieśliśmy go, był nieruchomy; razila go śmierć nagła.

PIOTR. Barbarzyński i bezmyślny sługusie, zali nie rozumiesz, że nie powinieneś opowiadać tego smutnego wypadku ojcu! I to na domiar przed obiadem! Przynieś mi szklankę brandwajnu.

KANCLERZ. Czy Wasza Cesarska Mość pozwoli, bym zawołał...

PIOTR. Precz mi z oczu i przynieś sam w tej chwili, czego od ciebie żądałem. Wszyscy tu powinni służyć mi jednako i pełnić moją wolę. Poczekajno jeszcze. Brandwajnu całą butelkę. Muszę ochłonać nieco. Stójże, nie skończyłem. Przyniesiesz mi również płat słoniny, nieco marynowanego jesiotra, trochę kapusty, kawioru i smacznego, ostrego sera.

Cesarzowa Katarzyna i księżna Daszkow

KATARZYNA. W samo serce! w samo serce! Zgubieniśmy, jeśli on ocaleje. Czy myślisz, że usłyszą mnie poprzez te drzwi podwójne? Tak, usłyszeli: zrobili jakom mówiła. Jakiż pluskot!.... Raz tylko jęknął. Wieszli, że nigdy krew nie krążyła w jego żyłach równie wartko. Nie myślałam, by mogła ściekać tak głośno na posadzkę, choć, co prawda, łożę nasze jest bardzo wysokie. Przyłóż ucho do zamka.

DASZKOWA. Nic nie słyszę.

KATARZYNA. Lepszy mam słuch od ciebie i lepiej też znane mi są te dźwięki. Usuń się w takim razie. Ona nie słyszy nic! Nie nasłuchiwałaś dość długo, lub też brak ci było zimnej krwi i cierpliwości. Znowu! — Znowu! Krople, co spadają teraz, są jak z ołowiu: przesączają się przez pierzynę i materac, co pół minuty. A to co jeszcze?! Któryś z tych obłąkańców przyprowadził psa ze sobą. Zaczyna się żłopanie i bieganina. Takie psisko rozniesie ślady po całym pałacu na pysku i łapach.

DASZKOWA. O nieba!

KATARZYNA. Lękasz się czegoś?

DASZKOWA. Nie, to uczucie grozy, które przerasta lęk i nie ma z nim nic wspólnego. Nie znałam go dotąd.

KATARZYNA. Drżysz i bledniesz. A miałaś być mi pomocną, jeśli zaszłaby potrzeba.

DASZKOWA. Myślałam wówczas wyłącznie o tyranie, a żaden tyran, żywy czy umarły, nie przejąłby mię dreszczem strachu. Ale mąż, zabity przez żonę! Nie widziałam jasno w mem sercu. Nie wejrzałam w nie, stąd karze mię teraz.

KATARZYNA. Czy istotnie zrobiło ci się niedobrze?

DASZKOWA. Co powie Rosya! co powie Europa!

KATARZYNA. Rosya niema jest jak ryba. Może zresztą nawet rzucać się i burzyć; moja artylerya — gdyż teraz zaprawdę mogę nazwać ją swoją — będzie umiała nastraszyć ją i uspokoić.

DASZKOWA. Dałby Bóg!

KATARZYNA. Śmieszna wprost jesteś, moja miła. Dałby Bóg! Dał, jak dotąd, wszystko, czego spodziewaliśmy się od Niego: pozwolił nam pozbyć się szczęśliwie tego nienawistnego Piotra.

DASZKOWA. Ale Piotr kochał cię; zresztą najgorszy nawet mąż musi pozostawić żonie wspomnienie jakichś chwil błogich, najwięcej twardej i surowej doznaje dreszczu obawy i nadziei przy pierwszych zaburzeniach w zdrowiu towarzyski istnienia, pierwszej zapowiedzi prawdziwego związku, jaki stwarza dopiero zjawienie się potomstwa.

A dzięki, składane za nie wspólnie niebu! A udzielająca się wzajem błogość: doszukiwanie znaczeń każdego słowa dziecka! I gdy jednemu nie udało się uspokoić przenikliwych krzyków maleństwa, wrażliwego a niecierpliwującego się równie łatwo, jak władza najwyższa — radość drugiego, które zdołało dokonać tego dzieła. Czarowne ambicje, uwieńczone tryumfem, nie budzącym żadnych zażdrości!

KATARZYNA. Czyżby przemawiały przez cię w taki sposób wyniki pogłębiania filozofii stoicznej? Nie sąli to raczej nikłe refleksje jakiegoś powabnego epitalamisty z Liwonii czy Besarabii? Chodź, odejźmy stąd teraz. Wszak mam nie wiedzieć nic jeszcze o strasznym wydarzeniu. Ale powiedz mi, czyż nie pragnęłaś jego śmierci?

DASZKOWA. Nie jego śmierć mną wstrząsnęła.

KATARZYNA. Rozumiem cię; zresztą mówiłaś już to samo poprzednio.

DASZKOWA. Dręczy mię troska o twe dobre imię.

KATARZYNA. No i o twoje również. Nieprawdaż moja miła?

DASZKOWA. Cesarz nie był nigdy, ani też pragnęłam, by był, moim przyjacielem.

KATARZYNA. Nienawidziłaś go.

DASZKOWA. Nawet nienawiści nie można zawsze wrywać zbyt gwałtownie.

KATARZYNA. Europa zostanie powiadomiona o podobkach, jakie mną kierowały, jeśliby dowiedziała

się kiedykolwiek, że popierałam konspirację. Przekonamy ją, że jej spokój domagał się tego czynu, że memu własnemu życiu groziło niebezpieczeństwo, że rzuciłam się na kolana, by przebłagać spis-kowców i że wykonali swój wyrok straszliwy wówczas dopiero, gdy padła na ziemię zemdlona. Wie już, że Piotr miał wciąż na myśli nowe ćwiczenia wojskowe i nowe mundury. Moi ministrowie mogą zaświadczyć z drugiej strony na pierwszej już audyencji o mem niewieścim umiłowaniu pokoju.

DASZKOWA. Łatwiej byłoby ujarzmić Europę, niż wywieść ją w pole.

KATARZYNA. Dokonamy jednego i drugiego, jeśli Bóg pozwoli.

DASZKOWA. Gwałt tak jawny zachwiać może majestat tronów.

KATARZYNA. Ci, którzy zasiadają na tronach, nie narażają nigdy na szwank ich majestatu. Choćby broczyli je krwią, uchodzi to im bezkarniej, niż poddanym ich wyrwanie pióra z poduszki. Gwałt zaczyna dopiero być poczytanym za taki, gdy dopuszcza się go naród. Monarchowie mogą truć i mordować się wzajem całkiem prawowicie. Czy twe idee republikańskie burzą się przeciw podobnej doktrynie?

DASZKOWA. Nie kwestyonuję bynajmniej tego prawa królów i nie będę protestowała przeciw pełnieniu go przez nich. Lecz gdy zaczniecie po-

kazywać doświadczalnie ludowi, jak łatwą jest w rezultacie rzeczą zgładzić ze świata ukoronowaną głowę i radzić sobie potem pomyślnie i dogodnie — zdarzy się może, iż lud ów zechce dokonać od czasu do czasu odnośnej próby na własną rękę. Szczególniej, gdy posłyszysz jeszcze coś niebądź o gloryi i honorze, o nieśmiertelnej chwale, jaką wieńczono we wszystkich krajach i po wsze czasy tych, co wyzwolili świat, czy też ten lub ów naród z ucisku nieugiętych i depczących prawo despotów. I pomnij, że taki, co się na to odważy, może z łatwością ująć cało, zwłaszcza jeśli nie ma współników. A wątpić zgoła nie można, że przechowa się pamięć o nim; miecz, którym raził w słusznej sprawie, zapewni imieniu jego żywot poprzez czas i zmienność prądów.

KATARZYNA. Masz rację niewątpliwie, ale nam nie pora już dziś trzymać się rozumowań demokratycznych. Republikanizm, to najlepsze wyznanie wiary, gdy nie możemy osiąść władzy, nikt wszelako jeszcze nie zdołał go z nią pogodzić. Jestem obecnie przedstawicielką autokratyzmu.

DASZKOWA. Jeśli tak, winszuję szczerze Waszej Cesarskiej Mości. Autokratyzm jest najwyższą godnością, do jakiej wznieść się może śmiertelny.

KATARZYNA. Wiem to i czuję.

DASZKOWA. Oby zawsze tak było.

KATARZYNA. Nie powątpiewam o trwałości władzy: mogę ujarzmić zarówno fortunę, jak miłość. Mój

sposób pojmowania rzeczy wywołuje uśmiech na twe usta: zdobyłaś już owe przywileje i nie zardzościsz swej przyjaciółce nawet jej autokracji.

DASZKOWA. Owszem i bardzo gorąco.

KATARZYNA, Czemużto?

DASZKOWA. Wiem, co mieli na myśli ludzie, tworząc to słowo, błędzili jednak najcałkowiciej. Mimo ich interpretacyi, oznacza ono panowanie nad samym sobą, najpożądańsze niewątpliwie, lecz godzące się najtrudniej z władzą nad innymi.

Spodziewam się i ufam, że nie zachodzi obawa, by któryś z członków rady państwa mógł podburzyć przeciw monarchini gwardyę lub jakoweś inne wojsko?

KATARZYNA. Członkowie rady państwa nie zasiadają w niej, a siedzą wprost tylko, skrzyżowawszy beczynnienie ręce. Czy można lękać się stronników wodza, który sprawuje głównie rządy nad mundurami i szamerowaniem, buduje swą chwałę na galonach i pióropuszech i wierzy, iż batalie zdobywa się raczej, zmieniając formy czapki żołnierskiej, niż celując z armaty?

DASZKOWA. Zdobycie sławy nie było bynajmniej obojętnem Piotrowi — nie wielu gardzi nią zresztą. Przenikliwsi jednak odeń nie umieli znaleźć prowadzącej do niej drogi, innym stanął na przeszkodzie nadmiar zapалу wkładanego w dążenie do celu. Twierdziłam zawsze, iż można go osiągnąć, niosąc swój żywot na usługi dobra publicznego,

natomiast ani fortuna ani geniusz nawet niemocne są wznieść nas z prochu.

KATARZYNA. Miła moja — jesteś słodką i wrażliwą istotą, ale nazbyt raczej romantyczną w kwestyi zasad ulegająca nazbyt złudzeniom w rzeczach sławy. Zawsze jednak szanować cię będę i Kochać, wątpię jednak, czy znalazłaby się w Europie jedna choćby kobieta poza mną, mająca dość wielkości duszy, by zachować dla ciebie wyrozumienie, możesz bowiem istotnie doprowadzić każdego do ostateczności. Myślenie jest wrogiem piękna i nie sprzyja również tkliwości; mężczyźni znoszą je z trudem u siebie wzajem; kobiety stają się pod jego wpływem „pogardliwymi“, jak powiedziałby ogół ludzi (próżne zarozumienie z wysokiej prerogatywy) — zaczepnemi i brutalnemi, jak tybyś orzekła.

Co się tyczy mej reputacyi, która, nie wątpię o tem, jest ci drogą, to wiesz przecie, że mogę zdobyć sobie najlepszych pisarzy Europy posłaniem im tabakierki, a wszystkich innych jej zawartością. Niemasz jednego członka Akademii, który nie czułby się uszczęśliwionym, otrzymawszy ode mnie w darze wykałaczkę do zębów. Za cenę brylantu stanę się Seramidą, Wenerą za łańcuch do zegarka, Junoną za pierścień. Voltaire jest moim przyjacielem,

DASZKOWA. Był również przyjacielem Fryderyka.

KATARZYNA. Stanę się Pucelle Rosyi. Ah, nie,

nie! zapomniałam, że potraktował ją bardzo nieprzystojnie.

DASZKOWA. Czyżby Wasza Cesarska Mość przywiązywała istotnie wagę do pochlebstw pisarza, który ośmiesza najcnotliwszych i największych bohaterów swego narodu, a tarza się w prochu, przed tak występny monstrum jak Ludwik XV. i tem gorszem jeszcze monstrum, jakim był jego poprzednik, obrzucając jednocześnie błotem wszelkich obelg i sprosności kobietę, która ocalała Francję? Kobietę, jedyną z pomiędzy wszystkich, co prowadzili kiedykolwiek do boju armie tego kraju, która roznieciła postrach w duszy zdobywcy Anglika. Króle i wodze miotali się w hałaśliwym popłochu, jak stado kapłonów czmychających, wytrząsając grzebieniem, z jednego muru na drugi, z gdakaniem, w którym brzmi jednocześnie poddanie się i wyzwanie. Wiejska dziewczyna pchnęła ich do boju i zdobyła sobie na sojusznika przeciw wrogom Karola samo niebo. Wydała się nadziemską; wojsko angielskie poczęło pierzchać, nie chcąc walczyć przeciw Bogu.

KATARZYNA. Obląkańcy i bigoci!

DASZKOWA. Świat składał się właściwie z tych dwóch kategorii, z wyjątkiem jeszcze garstki, co z nich żyli. Joanna była istotą czystą i szczerą. Żywot jej świadczył o tych cnotach, a śmierć potwierdziła jego świadectwo. Chwała jej, Katarzyno, jeśli kochasz chwałę! Nienawistnym mi, kto zbez-

nie, że ludzie domagają się wogóle prawdy? O ty moja niewinna! Niemasz, wierzaj mi, nic przyjemniejszego, nad odkrycie u jakiejś głośnej postaci grzechu kłamstwa. Czyżbyś nie znała takich, co radują się z tego? A raczej, czy mogłabyś wskazać mi jednego choćby człowieka, którego dokonanie podobnego odkrycia nie przejęłoby błogim zachwytem? Najbardziej umęczony podagryk pobiegnie bez szczudła zakomunikować je o dwunastej w nocy swemu przyjacielowi, i zdecyduje się w ostateczności przejść przez Nowę, choćby nawet wąpił o krzepkości lodu. Prawda przychodzi nam wogóle z takim trudem, że, dla umocnienia się w niej, musimy wzywać na pomoc odwagę. Ale skąd ludzie, powiesz mi, mogą szczyścić się swą odwagą, gdy najmężniejszy z nich posiada jej mniej nieskończenie, niż suka w swym barłogu. Tyle tylko, że wobec podobnego stanu rzeczy, mogą być łotrami, nie słysząc tego z ust niczyich, i zdobywać fortuny, nie zdając z tego nikomu sprawy.

Widzisz, oto gawędzimy znów po dawnemu; odzyskałaś wesołość i entuzjazm. Odwagi, moja miła! Nie zaczynaj aby znów wzdychać. Nie może nam zabraknąć kandydatów do małżeństwa, pokąd jesteśmy młode i pełne życia. Niestety, Niestety, nic nie jest wiecznotrwałe! Ale pozostanę rozdawczynią wysokich dostojęstw i włości. Nikt nie ośmieli się odrzucić mię w wieku lat dziewięć-

dziesięciu, mając do wyboru Paphos lub Tobolsk.

Czy nie zechciałabyś zaśpiewać mi jakiejś piosenki?

DASZKOWA. Niemieckiej czy rosyjskiej?

KATARZYNA. Ani jednej, ani drugiej. Jakieś straszne słowo mogłoby paść nagle, — mogłoby mi przypomnieć.... Nie, nic nie powinno przypominać mi.... Francuską piosnkę raczej — najwięcej w niej wesela. Czy róż trzyma mi się dobrze na twarzy?

DASZKOWA. Starł się i stopił tu i owdzie, tworząc plamy i smugi; nie drgnął tylko pod oczyma.

KATARZYNA. Cała płonę z gorąca i mam silne pragnienie. Nie rozumiem czemu. Ah, pewnie dlatego, że nie piłyśmy kawy. Czy była zbyt mocna? Co mi się też marzy? Wszak na śniadanie zdołałam zaledwie zjeść kawałek melonu; wzywał mię wówczas obowiązek. Na obiad zaś trzeba jeszcze poczekać. Pamiętaj, że mam zemdleć, siedząc za stołem, gdy mi doniosą.... a raczej, gdy mimo wysiłki, czynione w celu ukrycia przede mną straszliwej prawdy, wyczuję ją w nagłym błysku. Pamiętaj, że chwycisz mię w objęcia i poczniesz wołać o pomoc i rwać te piękne, jasne włosy, które kładłyśmy wespół na toalecie. Pomnij, że będziemy nieutulone w żalu, jak gdyby chodziło o nasze własne życie. Ale nie pora jeszcze na to, dziecko, nie pora. Zaśpiewaj mi teraz cośkolwiek. Nie wiem, w jaki sposób wypełnić ten czas wyczekiwania długie. Dwie godziny! Jakież

to nieznośne i męczące! Pragnęłabym, ażeby ze sprawami tego rodzaju można było załatwiać się jak najszybciej — w ciągu dnia jednego. Są one przykre nad wyraz dla ludzi, których naturze obce jest okrucieństwo. Ogół myli się co do mego usposobienia. Mam niezmiernie tkliwe serce. Jestem odważna, lecz pełna wszelkich słabości. Posiadam najcenniejsze zalety męskie i — mogę to powiedzieć przyjaciółce — najwięcej pociągające cechy kobiece. Ah! Uśmiechasz się wreszcie! Powiedz mi, jakążto myśl budzą w tobie me słowa?

DASZKOWA. Słyszałam pięćdziesięciu mężczyzn, przysięgających, iż jest istotnie, jakoś rzekła.

KATARZYNA. Kłamali nędznicy! Znałam ich może zaledwie z widzenia. Ale mówiłyśmy o smutnej konieczności. Obecnie kolej na Iwana: jest następcą tronu. Mam gwałtownego, dzikiego i przyjemnego młodego protégé, który będzie próbował oswobodzić go z zamknięcia. Zostanie podmówiony i pchnięty ku temu, — upewniony również, iż uzyska przebaczenie na szafocie. Nie dowie się nigdy, jakiego płatamy mu figla, chyba, że mózg jego, jak wytrawne Bordeaux, dojrzeje na podłożu z trocin. Wydane są rozkazy zabicia Iwana za pierwszym alarmem w obrębie fortecznym, a więc za strzałem szyldwacha. Ale zrobi się to nie teraz jeszcze — później nieco. Dwa podobne zajścia, bez pewnej przerwy między nimi, mogłyby zaniepokoić umysły.

Zdaje mi się, że mówiłyśmy o śpiewie: nie każ mi czekać, moja słodka. Cóżto, nie możesz śpiewać jak zwykle: wycierasz chustką swój gardziołek gołębi i zdejmujesz naszyjnik? Daj mi go; będę go trzymała. Muszę się czemś bawić.

Śpiewaj, śpiewaj. Spieszno mi do twego śpiewu.

Przypiski tłumaczkii.

Do dialogu „Leofryk i Godiwa“ str. 9.

LEOFRYK I GODIWA. Godiwa, żona Leofryka, księcia Mercyi, który żył w XI-tym wieku, za panowania Edwarda Sprawiedliwego, jest bohaterką szczególnego aktu poświęcenia. Nalóżywszy na poległe mu Coventry nazbyt wysoką dаниnę, Leofryk przystał, wobec błagań żony, na oswobodzenie od niej mieszkańców, pod warunkiem, iż Godiwa przejedzie nago przez gród, z jednego krańca po drugi. Uczyniła to istotnie, nakrywszy się jedynie płaszczem swych włosów, poprzednio jednak wydała nakaz, by żaden z mieszkańców nie ośmielił się, pod karą śmierci, wyjść na ulicę. Pewien piekarz uległ jednak ciekawości i wyrzał przez okno, za co skazany został przez księżnę na powieszenie. Obniża to niewątpliwie wartość jej czynu. Na tle tej historii osnuty jest między innymi dramat Leopolda Staffa p. t. Godiwa.

Do dialogu „Józef Scaliger i Montaigne“ str. 19.

JÓZEF SCALIGER (1540—1609), filolog francuski, syn filozofa i lekarza włoskiego Juliusza Cezara Scaliger'a, który skierowywał w swych dziełach ostre napaści przeciw Erasmus'owi i Cardan'owi. Z drugiej strony podawał się za syna Benedetta della Scala. Nieprawdopodobieństwo tej legendy zostało dowiedzione, niemniej jednak Józef Scaliger wydał pracę p. t. *Epistola de vetustate et splendore*

gentis Scaligeri, w której próbował ją uzasadnić. Pisarz ten, który w r. 1562-gim przeszedł na łono kościoła reformowanego, był jednym z najwybitniejszych lingwistów epoki. Znał łacinę, arabski, hebrajski, syryjski, perski i większość języków nowożytnych. Z dzieł jego zasługują najwięcej na wyróżnienie dwie słynne prace chronologiczne, które dały impuls poszukiwaniom w tym kierunku. Pozostawił również swe traktaty z dziedziny numizmatyki, pracę o kwadraturze koła, poezye i t. d.

Do dialogu „Henryk VIII. i Anna Boleyn“ str. 29

ANNA BOLEYN (1500—36). Nie wiele imion w historii było przedmiotem dyskusji równie namiętnych, a nie doprowadzających w rezultacie do żadnego pozytywnego wyniku. Według niektórych pisarzy możnaby skierowywać przeciw niej bardzo surowe oskarżenia, nie wkraczając w dziedzinę kalumnii; inni poczytali ją za kobietę bezwzględnie cnotliwą i czystą.

Za młodych lat Anna przebywała przez czas pewien na dworze francuskim, przy boku królowej Maryi, córki Henryka VII-go angielskiego a żony Ludwika XII-go. Posiadłszy wówczas rzekomo sztukę kokieterii, wtajemniczyła się również podobno w arkana mądrości politycznej. Henryk VIII. poznał ją wkrótce po powrocie jej do Anglii i, zapłonawszy do niej gwałtowną miłością, uczynił ją damą dworu Katarzyny. Poślubienie jej było racją ostatecznego zerwania z Rzymem, który nie chciał uznać prawomocności jego rozwodu. Szczęście i tryumf Anny były wszelako krótkotrwałe. Względy króla zwróciły się ku Joannie Seymour. Anna, oskarżona o nieprawdopodobne najzupełniej wyuzdania, wtrącona została do więzienia i osądzona na śmierć przez trybunał, którego członkowie wybrani specjalnie przez króla, byli jedynie narzędziami jego woli. W dniu wykonania wyroku wykazała niezrównaną godność i odwagę.

Do dialogu „Cesarzowa Katarzyna i księżna Daszkow“ str. 210.

KSIĘŻNA DASZKOW (1744—1810), urodzona Woroncow. Kobieta wybitnej inteligencji i wysokiego wykształcenia. Od wczesnej młodości pędziła dni na dworze przyszłej cesarzowej Katarzyny II., dzieląc zarówno jej ambicje polityczne, jak upodobania literackie. Daszkowa, mająca wówczas lat 18, odegrała znaczną rolę w konspiracji, która pozbawiła Piotra III. tronu i życia, czyniąc Katarzynę władczynią Rosji. Serdeczny stosunek dwóch przyjaciółek zachwiał się w następstwie. Niezależność charakteru i szorstkość obejścia księżnej poróżniły z nią cesarzową przez czas pewien.

Opuściwszy dwór, poświęciła się wówczas poważniejszym studiom i podróżowała wiele, utrzymując stosunki z najznakomitszymi pisarzami epoki, między innymi z Voltairem. Za powrotem jej do Petersburga w r. 1782, Katarzyna przywróciła jej swe łaski i mianowała ją prezydentem Akademii Nauk i nowej Akademii rosyjskiej, ufundowanej na wzór francuskiej. Daszkowa przyjęła czynny udział w opracowaniu wielkiego słownika rosyjskiego, uzupełnionego według jej planów. Była również autorką dramatyczną, poetką, założycielką czasopisma „Sobiesiednik“ i autorką licznych artykułów.

Do dialogu „Lord Bacon i Ryszard Hooker“ Str. 41.

FRANCISZEK BACON, lord Verulam, słynny filozof i kanclerz Anglii (1561—1626). Charakter człowieka nie stał, niestety, na wysokości geniuszu pisarza. Żadne argumenty jego zwolenników nie mogą np. wytłumaczyć i usprawiedliwić jego wystąpienia wobec Essex'a, któremu zawdzięczał nader wiele. Gdy eks-faworyt królowej stał się duszą spisku przeciw niej, który poprowadził go na szafot, Bacon nie zadowolając się naturalnem zupełnie i zrozumiałem wyrzeczeniem się wszel-

kiej z nim solidarności, wystąpił w procesie jego jako oskarżyciel i napisał na żądanie Elżbiety i gwoli zdobycia łask jej apologię rządu, potępiając najsurowiej dawnego swego dobroczyńcę. Nie posłużyło mu to zresztą na nic wobec królowej. Dopiero za panowania Jakóba I. osiągnął upragnione godności, dla zdobycia których gotów był poświęcić zbyt wiele. W roku 1618 mianowany został wielkim kanclerzem, roku następnego uzyskał tytuł lorda Verulam. Dotarł do kulminacyjnego punktu swej kariery życiowej, blizkim jest już jednak upadku. W roku 1621 oskarżony zostaje o korupcję i skazany na 40.000 funtów kary, której nie zapłacił zresztą, a zarazem pozbawiony godności kanclerza. Podobnie, jak ogół sędziów w owej epoce, Bacon otrzymywał od stron procesujących się, pełniąc odnośne obowiązki, sumy pieniężne i podarki. Na tym to fakcie oparto akt oskarżenia przeciw niemu, chcąc właściwie sięgnąć poza niego wyżej, bo samego króla i jego pierwszego ministra Buckinghama. Dyalog Landora odtwarza ten właśnie moment jego żywota.

Do dyalogu „Barrow i Newton“ str. 73.

IZAAK NEWTON (1642—1725). Landor czyni w swym dyalogu aluzję do kultu, jaki znakomity ten uczony i filozof żywił dla Apokalipsy. Istotnie, komentował ją nawet w chwilach wypoczynku od swych prac naukowych. Od roku 1688—1705 zasiadał w Parlamencie, jako przedstawiciel wszechnicy Cambridgeu, nigdy jednak i w żadnej okoliczności nie zabrał głosu. Cechowała go zawsze, wraz z wielką pobożnością wielka tolerancja religijna.

IZAAK BARROW (1630—77), teolog, matematyk angielski, mianowany w r. 1664 profesorem matematyki w Cambridgeu. Liczył wówczas pośród swych uczni Newtona, dla którego powziął z czasem najżywszą przyjaźń i uznanie, i któremu ustąpił w r. 1669 swą katedrę, by uniwersytet zachował go w swych murach. Jakkolwiek zajmował się wiele teologią,

zawdzięcza głównie swą sławę pracom matematycznym. Odkrycia jego w tej dziedzinie przygotowały, między innymi, drogę do stosowania w geometrii rachunku różniczkowego. Doskonały znawca arabskiego i greckiego, przełożył na angielski i zredukował traktaty Euklidesa, Archimedesesa, Apolloniusza i Teodozjusza. Był człowiekiem wielkiej siły intelektualnej i umiał unikać sztucznej oryginalności i fałszywej ornamentacji, cechujących przedstawicieli poprzedniego okresu.

Walter Savage Landor.

Przekład z R. W. Emersona.

W dylizansach, toczących się po drogach Nowej Anglii, zdarza nam się spotykać czasem rosłych i barczystych mężczyzn w miękkim kapeluszu na głowie, o cerze kwitnącej i dosadnym sposobie mówienia, który zdradza niezwłocznie wielkobrytańskich podróżników. Żaden z nich zresztą nie stara się o ukrycie swego pochodzenia ani nazwiska, zarówno jak wyraźnego dość lekceważenia dla otaczających go ludzi i rzeczy. Gdy Mrs. Bull zasiadł w amerykańskim dylizansie, poczyną mówić głośno i z ożywieniem, spowiadając się chętnie ze swej ignorancji względem wszystkiego, z czem się styka: mieszkańców kraju, trybu życia, obyczajów, polityki i geografii. Dziwi się, że Amerykanie używają drzewa jako materiału budulcowego, gdy tyle kamienia leży u skraju drogi i dowiadamuje się z równem zdziwieniem, że drewniany dom przetrwać może wiek cały, zaniechując zresztą zapamiętania tego przez kilka choćby minut. Nie pojmuje czemu Amerykanie nie produkują wina bżowego ani „cherrybounce“, gdy mają wszędzie wiśnie i gdy na każdym kroku ude-

rza obfitość bżyny. Nie widział nigdy w Ameryce dobrego konia, dobrego wehikułu ani dobrego zajazdu. Gotów jest uznać zalety ziemi i wody i obfitość jednej i drugiej, lecz zamyka oczy na wszystkie inne dary natury i przymioty człowieka, domagając się nieubłaganie pod każdym względem tego samego ściśle, do czego przywykł był w Anglii. Do tego wyniosłego zaślepienia dodać należy rysy sympatyczniejsze — wielką szczerzość w mówieniu prawdy i umiłowanie lojalności w postępowaniu, we wszelkich okolicznościach, ponadto zaś szczególną własność rasy, polegającą na tem, że cnoty jej synów ujawniają się dopiero w chwilach kłótni i dyskusyi.

Obdarzmy temi cechami człowieka o wyróżniającym się i nader wytwornym umyśle, a otrzymamy nienajgorszy portret Waltera Savagea Landora, który przedstawia niejako dodatnie uosobienie geniuszu swych współrodaków za dni naszych. Ostry i dogmatyczny, posiada niepośledni zasób wiedzy, dużą wartość i dużą również pychę, wraz z głęboką pogardą dla wszystkiego, co nie jest mu zrozumiałem; mistrz szlachetnej kultury duchowej, umie wykazywać największe wysubtelnienia uczucia, lecz skłonny jest zarazem do ostentacyjnego niejako używania wulgarnych obrazów i wulgarnej mowy. Niema racyi czynić mu zarzuty z jego stronności i uprzedzeń, fantastycznych często i zabawnych, w każdym jednak razie całkowicie szczerych i, podobnie jak stronne sądy Coleridgea i Johnsona, łatwo dających się

odłączyć od człowieka. To, co mówi o Wordsworth'ie, słusznem jest w zastosowaniu do niego samego; ciska z rzetelnem zadowoleniem na stół grudkę błota, wykrzykując: „Panowie, oto człowiek, wartujący więcej od was wszystkich“. Bolivar, Mina i generał Jackson nie będą nigdy znakomitszymi wodzami od Napoleona i Aleksandra, cokolwiek myśli w tym względzie Savage Landor; nie przekona nas również, byśmy oddali na pastwę płomieni Platona i Ksenofonta, wyrażając w ten sposób swe uwielbienie dla biskupa Patryka, dla „Łukasza w Szczęśliwości“, czy „Łukasza w Świętości“, a choćby nawet dla Kazań Barrowa. Można jednak miłować paradoks, nie tracąc prawaści ani siły zrozumienia. Mniej wybaczalnym dziwactwem wydaje nam się zbędne, a dokonywane z zimnym rozmysłem wprowadzanie nazbyt swobodnych obrazów, świadczących nie tyle o wesołym nastroju, jak o rozgoryczeniu. Montaigne tłómaczy licencyę swego języka rozdrażnieniem, o jakie przyprawiało go spotykanie swych *Essay'ów*, na stole każdej lady wśród jej robótek; postanowił tedy, aby na przyszłość trzymały je w ukryciu. W wulgarności Landora jest pewne zaczepne wyzwanie; prostacki wyraz zdaje się chwilami rodzić się ze wstrętu do wysokiego wyrafinowania i wyszukanej delikatności. Będąc w towarzystwie dobrze ubranych ludzi, zanurza palce w wodościeku, jak gdyby chciał wystawić na pokaz białosc swych rąk i drogocenne kamienie swego pierścienia. Obmywa je następnie

w wodzie i obmywa w winie, nigdy wszelako nie jesteśmy całkowicie zabezpieczeni od jego wybryków. Jest poniekąd hrabią Peterborough literatury, którego ekscentryczność zbyt jest rozmyślna, by nie obniżała w pewnej mierze jego wielkości. Posiada dość bogate zasoby, by zaopatrzyć mózgi pięćdziesięciu autorów, nie napisał jednak prawdziwie żadnej książki.

Lecz wypowiedzieliśmy już całe swe niezadowolenie. Być może, że dorobek jego dostarcza przedmiotu do surowszej cenzury, my wszelako miłujemy człowieka, zarówno ze względu osobistej dlań sympatii, jak z racji, które wyłożymy poniżej i nie pragniemy bynajmniej, choćby to było nawet w naszej mocy, dostarczać argumentów jego krytykom. W ciągu długich lat dwudziestu są nam jego *DIALOGI fikcyjne* niezawodzącą nigdy ucieczką w chwilach samotności, a zawartość ich i forma wydają nam się zawsze jednako oryginalnymi. I gdy tylko przywodzimy na pamięć te pełne i bogate treściowo strony, w których znajdziemy zawsze z pewnością myśl krzepką, wypowiadającą się swobodnie, przenikliwe i dokładne zrozumienie, pamięć niepospolicie zasobną a żywą, obcującą z bliska ze wszystkimi wybranymi działami literatury, skrzętną obserwację, sięgającą wszystkich dziedzin życia, doświadczenie, które z każdej rzeczy umiało wyciągnąć pożytek, niezmiennie hołdowanie szlachetnym i czystym porywom i dłoń karzącą, groźną jak gniew Fu-

autora dramatycznego i najskromniejszego skryby stanowi już sama w sobie dobry omen. Pewien czar przywiązany jest do imienia najbardziej nawet podrzędnych autorów, gdy zdołali zapisać je w jakimkolwiek sposób w archiwach Domu Sławy, choćby tylko pełnili w nim funkcję sług i odźwiernych, — a więc do wspomnienia Creecha i Fentona, Theobalda i Dennisa, Aubreya i Spencea. Z chwilą, gdy, wszedłszy do biblioteki, otworzyliśmy wybraną przez się książkę, przestajemy być obywatelami, dłużnikami i wierzycielami, głowami domu, ludźmi, dźwigającymi brzemię trosk i niepokojów. Jakaż nieograniczona swoboda! i jak niezwykła jurysdykcya! Zeszły z widowni dawne konstelacje i ukazały się nowe, promieniejące żywszym blaskiem; wszystko, co nas otacza, skąpane jest w światłości elizejskiej.

W godzinach popołudnia zeszliśmy na ziemię.
Gdzie trwała zawždy zda się pora popołudnia.

To słodkie schronisko życia intelektualnego, musi wydawać nam się rzeczą uświęconą przez naturę, gdy tylu ludzi przychodzi na świat ze zdecydowanym pociąganiem do studyów i pisania. Witajmy wdzięcznie każdą sztukę i talent każdy, który ukazuje zacieśnionemu życiu naszemu i otwiera przed nim nowe przestworza. Myśl posiada rozległe widnokreśli i niewolnik, przed którym rozwarły się podwoje uczucia religijnego, korzysta ze swobody, wobec której niezależność jego pana jest niewolą.

i piękna, nie zaś dla pobocznych i dalszych względów, należy do tychże poświęconych zastępów twórczych. Niewielu zaś z pośród przedstawicieli naszej epoki zaliczyć możemy do nich z równą słusnością jak Landora. Gdzie tylko istniał smak i geniusz, gdzie tylko zagrożone były zasady sprawiedliwości i wolności, poczytane przezeń za główne pierwiastki atmosfery, w której rozwijać się mógł ów geniusz, wnet dąży tam jego zainteresowanie. Ma namiętne ukochanie piękna, które ujawnia się we wszystkich jego wrzących i pogardliwych ekspresjach.

Lecz poza wielbieniem geniuszu i kultem wolności osobistej i obywatelskiej, cechuje Landora dar rzadszy jeszcze — zdolność wnikania w istotę charakteru. Dar ten tem więcej zdumiewa, gdy przypomnimy jego mocno zaznaczający się nacyonalizm, na który zwracaliśmy uwagę już poprzednio. Zapięty jest po szyję w angielskie odzienie. Nienawidzi Austryaków, Włochów, Francuzów, Szkotów i Irlandczyków. Ma przesady wspólne ogółowi posiadaczy ziemskich w swej ojczyźnie, szczyci się swem drzewem genealogicznym, swem nazwiskiem i obszarem swych posiadłości, rad jest ze wszystkich swych przywilejów i nie obojętny bynajmniej na zalety pieczętki, wiszącej przy jego zegarku, lub na wrażenie, jakie sprawia gałka jego parasola. Mimo jednak te różnorodne przejawy pychy, żyje w nim duch szlachetny, pouczający go, że jest dość możnym posesorem, aby módz obywać się bez! wszel-

kich ornamentów i, pozostawiając innym odmalowywanie rzeczy przypadkowych, dążyć do pokazywania charakterów. Rysuje siebie samego w przybraniu nauczyciela wiejskiego i marynarza i napawa się pogodnie zwycięstwem natury nad fortuną. Nietylko opracowana drobiazgowo historia Normanbyego, lecz i fantastyczna kolekcja jego portretów świadczy o tem upodobaniu. Kreśli z widoczną przyjemnością portret człowieka, który nie powiedział nigdy nic słusznego i nie postąpił nigdy w sposób niesłuszny. Ale charakter Peryklesa dostarczył mu pola do uwydatnienia piękna, kojarzącego się z wielkością postępowania, harmonii, zachodzącej pomiędzy człowiekiem i okolicznościami. Choć szkicowe całkowicie, portrety te posiadają cenną wagę prób z dziedziny najwyższego rodzaju narracyi, który uprawiało nader niewielu pisarzy i gdzie znajdujemy również mało bardzo rzeczy udanych w pewnej mierze. Jako wyraz „Charakter“ jest we wszystkich ustach; siłato, którą odczuwamy ogólnie, kto jednak dokonał bliższej jej analizy? Jaka jest istotna natura tego subtelnego a majestatycznego zarazem pierwiastku, który wytwarza owe na wskroś duchowe raczej niż osobiste więzy, łączące nas z pewnymi ludźmi. Jaki gatunek wartości wewnętrznych posiadają ci, co, nie odgrywając roli w życiu publicznem, nie będąc pisarzami ani potentatami, ludźmi czynu ani wiary (w popularnem znaczeniu tego słowa), przejawiają jakąś zbawczą wszędy obecność w dziejach żywota

naszego rodu, nadając niejako własny ton i nastrój atmosferze i pejzażowi. Są siłą moralną, stojącą jednak poza wszelkimi wierzeniami i katechizmami, siłą intelektualną, gardzącą wszelako książkami i działającą bezpośrednio, bez określonych środków akcji, a choć oprzeć się jej można — stawianie tego oporu równa się samobójstwu. Bo ludzie, którzy zajmują wobec swych współbliźnich tak podniosłe stanowisko, są dla nich widomym kształtem ich sumienia. Wystarczającym dowodem nadzwyczajnej subtelności onego pierwiastku, uchwytne jedynie dla najbardziej zdolnej do sympatycznego wycucia go wizyi — jest fakt niezmiernie rzadkiego wprowadzania go do dramatu i powieści. Jedyny prawie z pośród żyjących autorów angielskich, Landor udowodnił nam, że umie dostrzedz go i ująć.

Zasługato, która zapewnia mu w rzeczy pospolitej wszechliteratury miejsce wybitne i dostojne. Pełni swój urząd z wielkością ducha i dźwiga jego obowiązki z niezaprzeczoną i antyczną iście szlachetnością. Nie pomnimy przykładu całkowitszej nad jego niezależności w dziejach piśmiennictwa. Nie ulega wpływom przyjaźni ani koteryi literackich. Był jednym z pierwszych, którzy ogłosili Wordswortha za wielkiego poetę wieku, wydobywa jednak bez wahania jego błędy. Ukochał Pindara, Eschylosa, Eurypidesa, Arystofanesa, Demostenesa, Wirgiliusza, nie zamyka atoli oczu na ich braki. Nie wkroczył sam bynajmniej na najwyższe szczyty literatury: nie jest

ani poetą ani filozofem. Bogaty w myśli, nie posiada jak Coleridge mózgu płodnego w idee. Definicji spodziewać się możemy wogóle tylko od ludzi, obcujących z filozofią u samych jej źródeł. Coleridge zbogacił nowoczesną literaturę gatunkowo i ilościowo pokaznym ich dorobkiem. Definicje Landora są jedynie wyliczaniem właściwości: nie zdołał ująć prawa ogólnego. Jak jednak oko obejmuje najbardziej powabne krajobrazy nie z najwynioślejszych zgoła cyplów, lecz raczej z względnie niskich wierzchołków — tak również Landor jest najprzyjemniejszym i najbardziej pożytecznym z krytyków. Komentował w dziele swem zastępy pisarzy z równych dziedzin twórczych, wykazując przy tem gruntowne obeznanie z nimi i rozległość ujęcia, dzięki którym potęguje dla czytelnika wartości tych autorów. Jego dyalog o filozofii epikurejskiej przedstawia wyłożenie cech geniuszu Epikura. Dyalog pomiędzy Newtonem i Barrowem stanowi najlepszą krytykę essayów Bacona. Sposób, w jaki odmalowuje Demostenesa w trzech różnych dyalogach, jest całkiem nowy a odpowiedni zarazem. Sławił geniusz Homera, Eschylosa, Pindara, Eurypidesa, Tucydydesa. Zbadał każdą rzecz, nim zaczął ją roztrząsać, a drobiazgowa dokładność jego krytycyzmu słownego budzi w nas zaufanie, że pozostaje wiernym prawdzie, gdy przemawia językiem rozmyślenia i namiętności. Jego wniknięcie w arkaną mowy ojczystej jest wprost nieprześcigłe. „Nienawistnym mu jest wyraz nie-

właściwy i szuka z czujną troską, trudem i irytacją należytego określenia". Zna też wartość tego, co mówi: „Nie piszę“ — powie — „na tablicy z łupka“. Nigdy nie wdaje się w udzielanie wyjaśnień, nie używa siedmiu słów, gdzie starczy jedno. Jest mistrzem w sztuce kondensowania i odrzucania wszystkiego, co zbędne, a darto niepowszedni. Zna olbrzymią różnicę pomiędzy zwartością a stylem ciemnym i zawilym. Pisarz zwięzły posiada niemniej całą swobodę ruchów i może wybierać w obfitych zasobach ekspresji — a nawet pozwalać krzepkim swym słowom na pewne rozigranie. W zdaniu jego niema nierówności i nieprzyjemnych skrótów, tak, jak niema ich w twarzy ludzkiej, która, na przestrzeni kilku cali kwadratowych, odzwierciedlić może wszystkie bez wyjątku odcienie wyrazu.

Nie jako artysta wszelako zdobywa nas przedewszystkiem. Nie jest epikiem i brak mu zmysłu dramatycznego. Nie posiadał wysokiej i ujarzmiającej nieprzepraczonej umiejętności, mocą której mistrz wszelki nadaje jedność i pełnię całości dziełu, złożonemu z wielu części. Zbyt wiele ma uporu i nie daje nigdy swobodnie folgi swemu geniuszowi. Książki jego są dziwną mieszaniną polityki, etymologii, alegoryi, uczucia i historii jego osobistej. Jeśli zaś nawet posiada pewną umiejętność przechodzenia z jednego przedmiotu na drugi i łączeniu ich wzajem, jest ona powierzchowną a nie wewnętrzną. Zasluga Landora polega ostatecznie nie na samym

duchu jego dyalogów, ani na harmonii portretów historycznych, lecz na gatunku jego sentencyi. Wiele z nich zapewni sobie nieśmiertelność w piśmiennictwie angielskiem, zważmy zaś, że niepoślednia to już zasługa. To nie rośliny ni twory zwierzęce, lecz atomy genetyczne, z których ukształtowane są jedne i drugie. Obfite skarby, jakie zawdzięczamy Wschodowi, należą do tegoż rodzaju wartości: nie są to naczynia ni posągi z kruszców drogocennych, lecz bryły metalu i piasek złoty. Wobec wielu sentencyi Landora przypominamy, radzi, co mówione było o sentencyach Sokratesa: są jako sześciany, stojące jednako krzepko, gdziekolwiek i w jakimkolwiek sposób je umieścimy.

SPIS RZECZY:

	Strona
Wstęp	V.
Dyalogi fikcyjne	
1. Epiktet i Seneka	1
2. Leofryk i Godiwa	9
3. Józef Scaliger i Montaigne	19
4. Henryk VIII. i Anna Boleyn	29
5. Lord Bacon i Ryszard Hooker	41
6. Oliwier Cromwell i Walter Noble	51
7. Lukullus i Cezar	60
8. Barrow i Newton	73
9. Alfieri i Salomon, żyd florencki	106
10. Dyogenes i Platon	119
11. Markus Tulliusz i Kwinktus Cycero	146
12. Piotr Wielki i cesarzewicz Aleksy	198
13. Cesarzowa Katarzyna i księżna Daszkow	210
Przypiski	223
Walter Savage Landor przez R. W. Emersona	228



WYDAWNICTWO

SYMPOSION

∞ POD REDAKCYĄ LEOPOLDA STAFFA ∞

OBEJMUJE NASTĘPUJĄCE DZIEŁA:

- Platon. Uczta.* Dyalog o miłości. W przekładzie, ze wstępem i objaśnieniami Władysława Witwickiego. Wydanie drugie Kor. 3.
- Montaigne. Wybór dzieł.* W przekładzie Stanisława Lacka. Kor. 3.
- Vauvenargues. Uwagi i myśli.* W przekładzie Jana Kasprowicza Kor. 2.
- Walter Pater. Wybór pism.* W przekładzie Stanisława Lacka. Kor. 3.
- La Rochefoucauld. Zdania moralne i uwagi.* W przekładzie Leopolda Staffa. Kor. 2.
- Leopardi. Myśli.* W przekładzie Józefa Ruffera. Kor. 2.
- Diderot. Kuzynek mistrza Rameau.* W przekładzie Leopolda Staffa. Kor. 3.
- Goethe. Wybór myśli prozą.* W przekładzie Stefana Frycza. Kor. 3.
- Chamfort. Maksymy i myśli.* W przekładzie Konrada Drzewieckiego. Kor. 3.
- Cztery głosy. O Poezie.* Ralph Waldo Emerson. Karol Spitteler. Ryszard Dehmel. Hugo von

-
-
- Hofmannsthal. W przekładzie Jana Kasprowicza. Kor. 2.
- La Bruyère. Charaktery.* W przekładzie Antoniego Potockiego. Kor. 3.
- Fichte. Powołanie człowieka.* W przekładzie Adama Zieleńczyka. Kor. 3.
- Fontenelle. Rozmowy zmarłych.* W przekładzie Juliusza Germana. Kor. 3.
- Savage Walter Landor. Dyalogi fikcyjne.* W przekładzie Maryi Rakowskiej. Kor. 3.

POD PRASĄ:

- Voltaire. Wybór pism.* W przekładzie Grzegorza Glassa.
- Hebbel. Pamiętnik.* W przekładzie Karola Irzykowskiego.
- Hello. Z życia i sztuki.* W przekładzie Walerego Gostomskiego.
- Emerson. Wybór dzieł.* W przekładzie Maryana Olszewskiego.
- Kardynał Newman. Wybór myśli.* W przekładzie Stanisława Brzozowskiego.

DALSZE TOMY W PRZYGOTOWANIU.

LEOPOLD STAFF.

- Poezye:** Sny o potędze, wydanie III. kor. 3.— *∞* Mistrz Twardowski. Poemat z ilustracyami E. Okunia kor. 6.— *∞* Dzień duszy, wydanie II., kor. 3.— *∞* Ptakom niebieskim, wydanie II., kor. 4.— *∞* Gałąź kwitnąca kor. 3.— *∞* Uśmiechy godzin, kor. 3.—
- Dramaty:** Skarb, wydanie II., kor. 4.— *∞* Godiwa, kor. 3.— *∞* Igrzysko. kor. 3.—
- Każdy tom w oprawie droższy o 1 koronę, w oprawie ozdobniejszej o 2 korony.
-
-